

ANDRZEJ RADZIKOWSKI
BILANS PRZEWODNICZENIA
RADZIE DIALOGU SPOŁECZNEGO**ANTONI WIT**
DYRYGENCI KONTRA ORKIESTRY**BIZNESY KOŚCIOŁA**
Z DEWELOPEREM**Prof. Raciborski:**
Połączenie SLD
z Wiosną było farsą

SAMOBÓJCZA GRA LEWICY



Afry Kamera

#BLACK
FILMS
MATTER

22-31.10.22
ONLINE

ORGANIZATOR:



WSPÓŁORGANIZATOR:



WSPÓŁORGANIZATOR:



WSPÓŁORGANIZATOR:



STATE STREET.
J.P.Morgan

PARTNERZY:



PARTNERZY:



PARTNERZY:



PARTNERZY:



PARTNERZY:



PARTNERZY:



PARTNERZY:



PARTNERZY:



PARTNERZY:



WSPÓŁORGANIZATOR:





Muł, koń i Kukiz

Fascynacja Ameryką nie jest w Polsce niczym nadzwyczajnym. Świat od dawna wie, że Polacy kochają USA bardziej niż niejeden Amerykanin. Zdarzają się też tacy, którzy chcą zrobić Stany Zjednoczone nad Wisłą. Z bronią w każdej zagrodzie. I z szeryfami. Z samozwańczym szeryfem na czele. W tej roli Paweł Kukiz obsadził sam siebie. Umościł się w polityce pod hasłami zmian ustrojowych. Gdy lata mijały, a płyta z tymi hasłami jakoś się ludziom znudziła, Kukizowi zostały w Sejmie tylko trzy osoby. Malutko. Ale wystarczająco dużo, by obalić rząd, który wisi na takich głosach. Można więc żądać czego tylko dusza zapagnie. I zgłaszać nawet najgłupsze pomysły. Sztandarowym projektem Kukiza są sądy pokoju. Kompletny odłot. I przepis na jeszcze większy kryzys sądownictwa. Nie pomoże mamienie ludzi odwoływaniem się do rozwiązań anglosaskich. Z najprostszego powodu. Jakoś nie ma u nas tamtego społeczeństwa, z jego tradycją i kulturą. Taniej i prościej byłoby wysłać Kukiza, z popierającym go prezydentem Dudą, do Wielkiej Brytanii albo do USA. Na koszt państwa. Lepsze to niż brnięcie w ustawę o sędziach pokoju. Zdaje sobie z tego sprawę prezes Kaczyński, który zauważył, że między projektem Kukiza a modelem anglosaskim jest różnica większa niż między mułem a koniem. Odwołanie do muła bardzo mi się podoba. Z podtekstami opisuje całą tę hecę. Polskie sądownictwo wymaga dużych, trudnych i bolesnych

reform. A po rządach Ziobry najpierw trzeba będzie je reanimować, a później sprzątać.

Niedawno wydrukowaliśmy bardzo kompetentną analizę wad projektu Kukiza. Andrzej Dryszel na konkretnych przykładach pokazał zagrożenia zarówno dla sądownictwa, jak i dla obywateli, którym przyszedłoby stanąć przed sędzią pokoju. Jakże wyciągnął wnioski po przeanalizowaniu projektu ustawy i rozmowach z prawniczymi ekspertami? Po planowanych zmianach wymiar sprawiedliwości stanie się jeszcze bardziej niż dziś zależny od rządzących. Będzie jeszcze bardziej upolityczniony. A jednocześnie nie zniknie żadna z jego wad. Skutki takiej zmiany będą dołącznie odwrotne do tych, które obiecuje Kukiz.

Będzie gorzej, drożej i wolniej. Zadziwia mnie więc poparcie, jakie Kukiz dostaje od Lewicy i PSL. A przede wszystkim od prezydenta Dudy, który do wolt i dwuznacznego zachowania zdążył już Polaków przyzwyczaić. Popiera Kukiza, choć musi zdawać sobie sprawę z tego, że ten projekt nie ma większego sensu. Może popiera, by zaszkodzić Ziobrze, który finalnie odpowie za katastrofę sądownictwa? Dołożenie mu sądów pokoju jeszcze bardziej go pograży. Małe są te gierki ze strony ludzi kieszonkowego formatu.

Tekst Andrzeja Dryszla można przeczytać tu:
www.tygodnikprzeglad.pl/jak-sparalizowac-sadownictwo/

BAKOWSKI



CYTATY

PROF. TADEUSZ KLEMENTEWICZ, politolog

Władza swój kieszonkowy militarizm kleci kosztem rozwoju usług w dziedzinie ochrony zdrowia, edukacji i nauki. „Dziennik Trybuna”

ARTUR BALAZS, rolnik, były minister rolnictwa

Rząd ciągle próbuje coś lukrować. Mistrzem świata w mistyfikacji okazał się premier Morawiecki. „Wolna Sobota”

JOANNA BATOR, pisarka, laureatka Nike

Jako gatunek jesteśmy tak nieudani, okrutni, głupi, chciwi, nie uczymy się na błędach. Wojna za wojną, ludobójstwo za ludobójstwem. „Polityka”

MARIA PESZEK, aktorka, autorka tekstów

Nie ma takich okoliczności, w których nie można być szczęśliwym. „Tygodnik Powszechny”

KRAJ

- 8 Lewica musi się zbudować na nowo**
– rozmowa z prof. Jackiem Raciborskim
- 12 Otwarta wojna na kościelnym polu**
Inwestycja w Rybakach
- 16 Tam, gdzie toczą się negocjacje**
– rozmowa z Andrzejem Radzikowskim
- 20 Państwo nie broni najstabszych**
Sądy po stronie oprawców
- 24 Pogrzeb Jerzego Urbana**

ZAGRANICA

- 26 Kryzys globalizacji i czas niepewności**
Uzależnienia Europy
- 30 Stadiony na krwi i pieniądzech**
Najdroższy mundial w historii
- 32 Saudyjska porażka Bidena**
OPEC+ zmniejsza produkcję ropy
- 34 Miliarder, geopolityk, troll**
Elon Musk wtrąca się w wojnę
- 56 Awantura o gotowanie makaronu**
We Włoszech nie zadzieraj z tradycją

MEDIA

- 36 Dobrze i źle praktyki dziennikarskie**
Media o wojnie w Ukrainie

KULTURA

- 38 Pan Bóg z centrali telefonicznej**
Zaległości filmowe dla wymagających
- 41 Kulturalia**
- 42 W 235 orkiestr dookoła świata**
– rozmowa z Antonim Witem
- 66 Demaskarada**

HISTORIA

- 46 Czystki etniczne w Ameryce**
Napaści, lincze, strzelaniny

NAUKA

- 50 Majstrowanie w kosmosie**
DART kontra asteroida

ZWIERZĘTA

- 52 Dom dla wszystkich**
Rzecz o bocianich gniazdach

OBSERWACJE

- 58 Windą bliżej**
Użyteczne zabytki

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Muł, koń i Kukiz
- 15 Jan Widacki**
Tęsknota za iluzją
- 19 Roman Kurkiewicz**
Obywatelu, gdzie jest twój schron
- 23 Andrzej Szahaj**
Chile
- 29 Tomasz Jastrun**
Poezja i polityka
- 49 Wojciech Kuczok**
Nastrój pogrzebowy
- 51 Agnieszka Wolny-Hamkało**
To chyba żart



KULTURA

PAN BÓG Z CENTRAŁKI TELEFONICZNEJ

Zaległości filmowe dla wymagających



56
ZAGRANICA

AWANTURA O GOTOWANIE MAKARONU

We Włoszech
nie zadzieraj z tradycją



ZWIERZĘTA

DOM DLA WSZYSTKICH

Rzecz o bocianich gniazdach

Projekt okładki: Daria Słowińska-Kettner

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI (3), PIOTR MOŁECKI/EAST NEWS,
GRZEGORZ BANASZAK/REPORTER, MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS,
ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER



✉ Podwyżka, czyli obniżka

Licho mnie bierze, gdy media od prawej do lewej informują o przyszłorocznej, dużej podwyżce rent i emerytur (ok. 14%). Jest to tylko waloryzacja, i to wsteczna. W pierwszych miesiącach przyszłego roku inflacja sięgnie zapewne 20%, a emeryci cieszyć się będą z 14-procentowej podwyżki, pomimo że w roku 2022, kiedy inflacja była kilkunastoprocentowa, mieli rewaloryzację kilkuprocentową. System rewaloryzacji jest zbudowany tak, że dokonywana jest z rocznym opóźnieniem i nigdy nie odtwarza wartości nabywczej emerytury czy renty. Słowem, należałoby mówić o obniżce tych świadczeń w przyszłym roku! Wiem, że 14% może zawrócić biednym emerytom w głowie, ale nie widzę powodu, by poprzez bezrozumne powtarzanie informacji o „podwyżce” wpisywać się w pisowską propagandę sukcesu, którego przyczyną jest szalejąca inflacja! A może ktoś biegły w tych sprawach dokonał obliczeń rzeczywistej wartości nabywczej rent i emerytur w ostatnich latach?

Witold Graboś

✉ Magister, czyli kto?

Dawno temu na jednym z posiedzeń Komitetu Polska 2000 mówiono o potrzebie podwojenia liczby osób z wyższym wykształceniem, by sprostać wyzwaniom, które stawia potrzeba podniesienia standardów cywilizacyjnego rozwoju. Kiedy jednak urynkowiono niemal całe nasze życie, okazało się, że magistrów mamy aż nadto! Ten wyśniony rynek nie jest dziś w stanie ich wchłonąć. A zewsząd billboardy oferują pracę. Szukają pracowników metro i zakłady autobusowe, McDonald's i szkoły. A czym zajmują się wykształceni tak wielkim nakładem sił i środków? Jak to pięknie zwerbalizowała jedna z bohaterek artykułu, „racjonalizowaniem tego,



że w ogóle jestem tu (w firmie – przyp.) do czegoś potrzebna”. Zabrakło mi jednak wspomnienia o roli, jaką powinna odgrywać Polska Komisja Akredytacyjna. Bo rynek, znaczy biznes, rynkiem, ale przy tylu wyłączeniach z jego praw i koncesji mamy dziś potwierdzenie wiekopomnego prawa Kopernika, że „gorszy pieniądź wypiera pieniądź lepszy”. Ale tego, że Kopernik wpadł na to przed Greshamem, większość naszych magistrów nie wie.

Janusz M. Kowalski, magister uniwersytecki

f Żegnaj, Redaktorze

Jerzy Urban był wielką osobowością. W ostatnich dekadach dał się poznać jako założyciel i redaktor naczelny tygodnika „Nie”, odważny satyryk drwiący z religijnych absurdów i tępego prawactwa. To ogromna strata nie tylko dla polskiej publicystyki, lecz także dla całego społeczeństwa.

Franek Vetulani



Człowiek, którego przebogaty życiorys został sprowadzony przez post-Solidarność do kilku lat bycia sprawnym rzecznikiem autorytarnych rządów. To nie pierwszy i nie ostatni przypadek, gdy historię pisze się cepem.

Michał Błaszczak

✉ Nie to kazanie premiera

W ostatnim numerze PRZEGLĄDU w rubryce Przebłyski napisano, że premier Morawiecki modlił się przy grobie Jerzego Popiełuszki w 75-lecie jego urodzin. Skoro Jerzy Popiełuszko nie żyje, to należało napisać 75. rocznica urodzin.

Liliana Sawicka



ZDJĘCIE TYGODNIA

Okręt podwodny Leninskij Komsomol przetransportowano ulicami Sankt Petersburga do muzeum w Kronsztadzie. Rosja, 12 października 2022 r.



Dr Zdzisław Słowik, publicysta i wydawca, były redaktor naczelny czasopism „Argumenty” oraz „Człowiek i Światopogląd”, a od 1991 r. szef wydawanego przez Towarzystwo Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego dwumiesięcznika „Res Humana”, ceniony komentator myśli i spraw polskiej lewicy, obchodzi 90. urodziny.

Ad multos annos!

Gabriela Morawska-Stanec – wicemarszałkini Senatu reprezentująca PPS, została wybrana przez przedstawicieli 185 parlamentów w skład Komitetu Promującego Poszanowanie Międzynarodowego Prawa Humanitarne.

Iwona Pietrzak-Płachta, nauczycielka z Zespołu Szkolno-Przedszkolnego w Pliszczynie (woj. lubelskie), która szkolną bibliotekę zamieniła w Wypożyczalnię Skrzydeł, została Nauczycielką Roku 2022. Tytuł Nauczycielki Jutr@ 2022 otrzymała **Aldona Rumińska-Szalska**, nauczycielka wspomagająca ze Szkoły Podstawowej nr 105 w Krakowie.

Nagrody przyznaje tygodnik „Głos Nauczycielski”.

45 mld zł wydali Polacy w 2021 r. na zakup alkoholu.

Przy okazji budowy pałacu Saskiego, kaprysu prezydenta Dudy, zdewastowany zostanie Ogród Saski założony w latach 1724-1748 dla króla Augusta II Mocnego. Wytnie się prawie 100 drzew. I wyda w czasie ciężkiego kryzysu 2,5 mld zł.

189 policjantów i 60 radiowozów chroniło Jarosława Kaczyńskiego w czasie spotkań 23 lipca z wyborcami w powiecie poznańskim.

155 aut planuje kupić rząd dla jednostek administracji publicznej. Nie żałuje też

na premie. Samo Ministerstwo Finansów w tym roku nagrodziło już pracowników kwotą 25,5 mln zł.

12 służb może w Polsce stosować podsłuchy, sięgać do billingów i mejli. W ubiegłym roku sprawdzały 1,85 mln billingów i lokalizacji. A kontroli operacyjnej poddano 6922 osoby. Najczęściej robią to policja, Straż Graniczna, CBA i ABW.

Ministrowi Czarnkowi nie można odmówić troski o rodzinę i uczelnię, na której jest wykładowcą. Katolicki Uniwersytet Lubelski dostał 40 mln zł na nowy wydział medycyny. Znajdzie w nim pracę dr Katarzyna Czarnek (żona ministra). Pozytywna opinia Czarnka i jego zabiegi o powstanie wydziału mają więc szczęśliwy finał.

Przeciętny dochód z pracy w indywidualnych gospodarstwach rolnych z 1 ha przeliczeniowego wyniósł w 2021 r. 3288 zł. A to oznacza, że jest mniejszy o 532 zł od tego w 2020 r. (GUS).

Iga Świątek przekazała 280 tys. zł otrzymanych za finał turnieju WTA w Ostrawie na rzecz SOS Wioski Dziecięce. Na wsparcie psychologiczne dla podopiecznych w całym kraju.

Jest zgoda władz Warszawy na odstrzał 200 dzików, które mieszkają i żywią się na terenie miasta.

Według Narodowego Spisu Powszechnego w **Warszawie mieszka 1 860 281 osób**.

Z danych Eurostatu (Europejskiego Urzędu Statystycznego) wynika, że najdłużej w ciągu swojego życia pracują Holendrzy (42,5 roku), Szwedzi i Duńczycy. A najkrócej Rumuni (31,3 roku), Włosi i Grecy. Polacy – 34,3 roku.

PRZEBŁYSKI

Czarnek wycofuje się, ale pozostaje

Najpierw naczelny edukator z PiS Przemysław Czarnek powiedział: „Skończmy słuchać tych idiotyzmów o jakichś prawach człowieka czy jakiejś równości. Ci ludzie nie są równi ludziom normalnym i skończmy wreszcie z tą dyskusją”. Szybko został za to pozwany do sądu przez prof.



Jakuba Urbanika. W ramach ugody wynegocjowano przeprosiny: „(...) wycofuję się ze swoich słów, które padły 13 czerwca 2020 roku na antenie TVP Info oraz 3 sierpnia 2020 roku na antenie Radia Maryja, pozostając jednocześnie przy swoich poglądach. Moją intencją nie było urażenie kogokolwiek, w tym także osób ze społeczności LGBT+, w szczególności Pana prof. Jakuba Urbanika. Uznaję, że sposób sformułowania wypowiedzi spowodował, że Pan prof. Jakub Urbanik odebrał je osobiście, co nie było moją intencją, za co Pana prof. Jakuba Urbanika bardzo przepraszam”. Szczerości w tym tyle, ile kot prezesa by napłakał, gdyby umiał czytać.

Ręka uzbrojona w różaniec

Dla biskupa elckiego Jerzego Mazura Elkowisko, czyli Festyn Łowiecki i Święto Miodu, było okazją do wygłoszenia takiego apelu: „Droży bracia myśliwi, odkrywajcie skarb, jakim jest różaniec. Wyruszając na polowanie, weźcie ze sobą różaniec. Ręka uzbrojona w różaniec nie uczyni nikomu krzywdy, nie złamie myśliwskiej normy”.



Zapominalscy myśliwi mogli nabyć różańce przed polowaniem. Od księży kapelanów Lasów Państwowych i Polskiego Związku Łowieckiego. Za stosowne co taska. A lizusy mogły kupić jeszcze na zapas.

O Stachowiaku nie słyszeli

Na pogrzebie Jerzego Urbana grupa demonstrantów przypomniała o śmierci ks. Popieluszki. Tragiczna sprawa.

Pytani o śmierć Igora Stachowiaka – nie znali sprawy. A to przecież już za rządów PiS, 15 maja 2016 r., czterech policjantów skatowało go na śmierć na komisariacie we Wrocławiu. Znęcali się psychicznie i fizycznie nad 25-latkami skutym kajdankami. Torturowali paralizatorem. Stachowiak zmarł na komendzie. Gdyby nie reporter „Superwizjera” Wojciech Bojanowski, sprawy by nie było. Bo wprawdzie monitoring na komisariacie zamontowano, ale taki, że niczego nie zarejestrował. Były symboliczne kary. I cisza nad tą trumną.

„Przyjazna” TVN

Pracowała w TVN. Długo. Całe 15 lat. Anna Wendzikowska robiła programy dla „Dzień Dobry TVN”. W sierpniu odeszła. Bo mobbing, parszywe stosunki i strach.



Pisze: „Byłam poniżana, gnębiona, codziennie drżałam o pracę. Niby gwiazda telewizji, a byłam traktowana jak dziewczynka z podstawówki, którą co chwilę bije się po łapkach za każde niedociągnięcie”.

Smutny obraz. I poważna sprawa. Co na to TVN? Wydali z siebie infantylny szczebiot, że „zdarzały się zachowania, które nie powinny mieć miejsca w dobrze zarządzanej, PRZYJAZNEJ firmie, jaką chcemy, żeby TVN był...”. Kpią z inteligencji widzów.



PYTANIE TYGODNIA | Czy propaganda ministra Czarnka wpływa na uczniów?

ALEKSANDRA DULAS,
socjolożka, edukatorka, nauczycielka, terapeutka

To do pewnego stopnia zależy od miejsca w Polsce, środowiska i typu szkoły. Uczniowie z dużych miast są bardziej otwarci i tolerancyjni niż ktokolwiek, kto ma 30 czy 40 lat, i zwłaszcza w liceach traktują podręcznik do HiT jako dobry żart. Widzą różnorodność świata i traktują ją jako jego walor, a nie zagrożenie, dlatego do wizji ministra Czarnka mają stosunek jednoznacznie negatywny. Zdarza mi się jednak prowadzić warsztaty w mniejszych miejscowościach i tam nie jest to już takie oczywiste. W tym przypadku podkręcanie przez PiS lęków młodzieży, mające na celu zachęcenie jej do konserwatywnego światopoglądu, trafia na znacznie bardziej podatny grunt, zwłaszcza wśród uczniów, których rodziny sympatyzują z partią rządzącą.

AGNIESZKA JANKOWIAK-MAIK,
nauczycielka, aktywistka, autorka fanpage'a Babka od histy

Minister Czarnek w ogóle nie zna młodzieży – co więcej, nie chce jej poznać. Gdyby spróbował to zrobić, wiedziałby, że w dobie powszechnego dostępu do informacji próba ulepienia młodego człowieka za pomocą propagandy nie ma szans się powieść. Młodzież prędzej go wyśmiewa – już to robi – niż przejmie poglądy, które

minister próbuje wtłoczyć jej do głów. Efektem działań obecnej władzy jest przebudzenie społeczeństwa obywatelskiego, aczkolwiek nikt nie powinien być poddawany takim zabiegom, a świadomość uczniów nie powinna być budowana jedynie w opozycji wobec rządzących.

JAROSŁAW PYTLAK,
pedagog, dyrektor szkoły, autor bloga Wokół Szkoły

Nie można przeceniać mocy przekonywania propagandy, co wiem także z własnego doświadczenia, bo jakoś po szkole w PRL nie zostałem wyznawcą tamtego ustroju. Dlatego myślę, że i wysiłki pana Czarnka, aby wychować pokolenie swoiście rozumianych patriotów, są skazane na niepowodzenie. Tym bardziej że swój przekaz ogłasza tam, skąd do młodzieży nie dociera, bo przecież uczniowie nie śledzą Radia Maryja ani mediów braci Karnowskich. Poglądy ministra są przywoływane także przez przeciwników, ale głównie na dziadeckim Facebooku. Jaki efekt daje tendencyjny podręcznik do HiT w dobie powszechnego dostępu do internetu, widać wyraźnie – można znaleźć mnóstwo materiałów prezentujących inny obraz naszej najnowszej historii. W związku z tym jestem raczej spokojny, że ksenofobiczna wizja świata pana ministra tak łatwo nie przełoży się na postawę młodego pokolenia.

Not. Michał Sobczyk

Lewica musi się zbudować na nowo

Połączenie SLD z Wiosną było farsą

Rozmawia Robert Walenciak

Regularnie przeglądam sondaże, a ponieważ mam w pamięci historie upadków poprzednich rządów, AWS, SLD, PO, zdumiewa mnie, że przy tych wszystkich klęskach, które spadają na PiS, ta formacja tak dobrze się trzyma. Owszem, traci, ale są to straty wręcz symboliczne. Czy to znaczy, że scena polityczna ogranicza się do PiS i anty-PiS i jest to już zabetonowane?

– Tak! Scena jest zamknięta. Ten podział istnieje co najmniej od roku 2018, od wyborów samorządowych. A później krzepł. W istocie wszystkie kolejne wybory go potwierdzały i zarazem umacniały. Jest to zasadniczy podział strukturalizujący postawy i emocje Polaków. I to jest jeden z powodów stabilności poparcia dla PiS. Istnienie oponenta, a właściwie wroga.

Wyborcę PiS on drażni, mobilizuje?

– Taka sytuacja tworzy bardzo silny konflikt, polaryzację obejmującą wiele aspektów codziennego życia, na szczęście nie wszystkie. Polaryzacja powoduje bardzo tendencyjne przyswajanie informacji przez jednostki – trafiają do nas tylko takie, które potwierdzają nasze mniemania i, szerzej, obraz świata. Drugim powodem względnie wysokich notowań PiS jest zróżnicowany charakter poparcia.

O tych, którzy kochają PiS

Czyli nie 500+?

– Myślę, że są trzy źródła poparcia dla PiS. Pierwsze – rzeczywiście swoje zrobiły polityka socjalna i dobra koniunktura gospodarcza. Ludziom w masie żyje się coraz lepiej. Teraz przychodzi załamanie, ale ono



PROF. JACEK RACIBORSKI

dopiero się zarysowuje, jeszcze nie ma dużego bezrobocia. A trudności już widoczne na razie są przez propagandę pisowską dość skutecznie wyjaśniane.

Jak?

– Głównie czynnikami zewnętrznymi. Wola boża! Dostawnie. Epidemia, Niemcy dyrygujący Unią, teraz wojna. Czyli PiS w niczym nie zawinił i zмага się heroicznie z wszelkimi przeciwnościami.

Drugie źródło poparcia dla PiS to jednak bliskość kulturowa: apel PiS i ogólny wizerunek koresponduje z orientacjami światopoglądowymi,

moralnymi istotnej części Polaków. To źródło poparcia jest mocne – zestaw wartości, nacisk na rodzinę, na polskość, na Kościół. Także umiejętność zagospodarowanie lęku przed Unią, przed tym, co nowe itd. A trzecie źródło stanowią ci, których wskazywali Sadura i Sierakowski – cyniczni wyborcy są chyba dość liczni. Oni nie dzielą lęku przed Europą, nie są religijni, nie wierzą w zamach smoleński, propaganda PiS ich nie uwodzi, ale uważają, że w ogólnym rozrachunku na władzy PiS zyskują. Nie tylko w sprawach socjalnych, ale też statusowo. Bo elementami

Prof. dr hab. Jacek Raciborski – kierownik Katedry Socjologii Polityki na Wydziale Socjologii UW, opublikował kilkanaście monografii i ponad 100 artykułów w periodykach krajowych i zagranicznych. Jego ostatnio wydane monografie to: „Obywatelstwo w perspektywie socjologicznej”, „Państwo w praktyce: style działania”. Redaktor naczelny półrocznika „Studia Socjologiczno-Polityczne”.

statusu są również prestiż, poczucie godności i znaczenia – w tym przypadku pracuje antyestablishmentowość PiS, wywyższani są „normalni”, „zwykli” Polacy.

A mądralom z dużych miast przyciera się nosa.

– Ale podsumowując ten wątek, trzeba zauważyć, że widać spadek poparcia dla PiS. Sondażowe poparcie oscyluje wokół 30%, a było powyżej 40% – także realne, w głosowaniu. Jeszcze bardziej widoczny i systematyczny jest spadek akceptacji dla działalności rządu. Teraz ma on dużo więcej przeciwników (ponad 40%) niż zwolenników (ok. 30%). To wszystko według komunikatów CBOS. Ale ciekawszy wynik to tendencja do absencji, która wyraźniej zarysowuje się wśród zwolenników PiS niż Koalicji Obywatelskiej. W czerwcowym badaniu firmy Kantar Public zdecydowaną chęć uczestniczenia w wyborach wyraziło 56% osób deklarujących poparcie dla KO i tylko 48% deklarujących poparcie dla PiS. Demobilizacja wyborcza dotychczasowych zwolenników to podstawowy mechanizm w procesie zmiany preferencji wyborczych. Nie wiemy natomiast, który typ wyborców PiS się demobilizuje. Podejrzewam, że szczególnie często wyborcy cyniczni.

O wyborcach, że chcą mało

Jeszcze bardziej zróżnicowany jest elektorat anty-PiS. Tych ludzi częściej nie łączy. A wielu żywi szczerą niechęć do PO.

– W tym przypadku ta niechęć schodzi na drugi plan. To nie jest emocja najważniejsza, tłumiąca wszystkie inne.

Lewicowcy mogą ją czuć.

– Nie tylko oni, również część ludowców... W środowiskach inteligentnych też są kręgi niechętnie Platformie, stąd sukces wizerunkowy Trzaskowskiego. Dla rozległego bloku anty-PiS jest on bardziej do zaakceptowania. Tylko że dynamika kampanii wymusza krystalizację tożsamości. Jeżeli więc utrzyma się obecny poziom poparcia dla Koalicji Obywatelskiej, a zwłaszcza jeśli trochę wzrośnie, to ta sytuacja przesądzi, że w ramach anty-PiS nie będzie

pluralizmu. Obecne dominujące identyfikacje staną się jeszcze bardziej dominujące.

Czyli ten nastrój, który jest budowany, to podkreślanie emocji, służy najbardziej Kaczyńskiemu i Tusko- wi? Bo wzmacnia ich we własnych środowiskach?

– Tak. Trzeba pamiętać, że bardzo trudno wnosi się nowe konflikty i emocje na scenę polityczną, która jest tak dobrze zdefiniowana jak w Polsce. Znany współczesny socjolog i badacz ruchów społecznych Randall Collins zwraca uwagę na pewną prawidłowość. Otóż przestrzeń społeczna uwagi emocjonalnej w kampaniach politycznych jest ograniczona do bardzo małej liczby kwestii. Tylko trzy-cztery sprawy mogą równocześnie budzić emocje społeczne i być efektywnie wykorzystywane w kampaniach wyborczych. Przestrzeń społeczna jest mało pojemna. I to widzimy w czasie kampanii wyborczych. Każdorazowo możemy wskazać te dwie, trzy, góra cztery kwestie, które pochłonęły całą uwagę społeczną.

Więcej spraw nie da się wcisnąć?

– I na tym polega problem, by zdecydować umiejętnie, które kwestie wejdą do kampanii. Wbrew pozorom to nie jest czas dla autorów programów. Przykładowo w roku 2015 szczególnie nośny był temat uchodźców i zapewne 500+ oraz emerytury. W kampanii 2020 r. Andrzej Duda postawił na konflikt kulturowy, eksponując kwestię mniejszości seksualnych.

A teraz? Jakie sprawy mogą zdominować przyszłoroczną kampanię?

– Patrząc z dzisiejszej perspektywy, wskazałbym drożynę. Ale czy temat drożyny da się utrzymać przez rok w centrum społecznego zainteresowania? W każdym razie, jak widzimy, Tusk na to stawia.

A na co stawia PiS?

– Ciekawa jest sprawa reparacji. I stanowisko opozycji, które jest jakąś próbą...

...zejszcia z linii ataku?

– Ale to jest dramatyczny oportunizm! Bo mamy do czynienia z olbrzymim awanturnictwem PiS i gdyby nie fakt, że w Europie PiS jest traktowane jako pacjent szczególnej

troski, byłaby to sprawa bardzo poważna, o trudno przewidywalnych konsekwencjach, z pewnością jednak negatywnych dla Polski.

Na co skazany jest Tusk?

Mówił pan, że na wynik kampanii wyborczej wielki wpływ mają kwestie, które staną się częścią debaty. Ale jest jeszcze jeden istotny element wpływający na wyborców: czy ktoś jest sprawczy? Czy ma w sobie mistykę przywódcy?

– Przekonanie, kto wygra, jest w kampanii wyborczej szalenie istotne. Uruchamia silny tzw. bandwagon effect, efekt większości. Ludzie mają tendencję do przyłączania się do zwycięzcy, chcą być w obozie wygranych. Stąd znaczenie sondaży. **Mogą zdołować, zwłaszcza jeśli są progi, ale mogą też wzmacniać.**

– Liderzy opozycji popełniają podstawowy błąd. Mówią, że chodzi o to, żeby suma głosów oddanych na partie opozycyjne była większa niż oddanych na PiS, żeby łącznie pokonać PiS. Otóż źle mówią! Chodzi o to, by w wyborach pierwszą partią, pierwszą formacją była partia – lub blok – antypisowska, opozycyjna. Tylko wtedy można będzie zbudować znaczącą przewagę. Poza tym trzeba pamiętać, że misję formowania rządu powierza prezydent, więc tym bardziej, jeśli PiS wygrało, nawet jeśli nie miałyby widoków na sejmową większość, to jego lider w praktyce wyznaczy osobę, która dostanie misję formowania rządu. I będzie starał się pozyskać koalicjanta wszelkimi metodami, również takimi, które powszechnie określane są mianem korupcji politycznej. Dlatego tak ważne jest, by przeskoczyć PiS. I stąd problem jednej listy.

Duży problem.

– Suma mandatów, które zdobędą partie opozycyjne, idąc samodzielnie do wyborów, będzie mniejsza, niż gdyby te głosy padły na jedną listę. To jest ewidentne, tak działa nasza ordynacja, głównie za sprawą relatywnie małych okręgów wyborczych i metody przeliczania głosów na mandaty. Zachęta do jednej listy opozycji demokratycznej jest więc potężna. Jedna lista pozwala przy tym ▶

► zachować odrębność podmiotów ją tworzących. Nie musi oznaczać jednoczenia partii. Jeśli nie będzie na nią perspektyw, Tusk i Koalicja Obywatelska staną przed innym zadaniem – będą musieli grać tak, by nawet topiąc innych czy ich rozbijając, być pierwszą partią w wyborach. Taka logika zostanie wprowadzona do myślenia elektoratu. A elektorat niektórych formacji, zwłaszcza lewicy, jest refleksyjny, kalkulujący. W związku z tym zagrożenie dla formacji lewicowej jest wręcz śmiertelne. Jej liderzy muszą wybierać: albo jedna lista, albo działania obronne, które trzeba podjąć natychmiast.

Czy lewica może uniknąć losu przystawki?

Jakie?

– Działanie obronne to prawdziwe zjednoczenie lewicy. Bardzo szeroko rozumiane, jako próba zbudowania formatu otwartego na wszystkich. Zwłaszcza na Razem, ale też na Unię Pracy, na Stowarzyszenie Lewicy Demokratycznej, na PPS, także wszelkie lewicowe kanapy. Bo to zjednoczenie, które miało miejsce, Wiosny i SLD, to była farsa. Ono pomniejszyło siłę lewicy, a nie powiększyło. W wielu miastach połowa aktywu SLD albo została wyrzucona, albo wystąpiła. Partia Razem pozostała zaś z boku.

Ale jak dokonać kolejnego zjednoczenia?

– Trzeba by unikać jakichkolwiek rozliczeń. Czarzasty, jak likwidował SLD, tak powinien teraz samemu się obalić, w imię zbudowania czegoś większego, szerokiego i jeśli chciałby tej formacji przewodzić bądź przynajmniej być w grupie liderów. Musiałby zaprosić wszystkich, których wyrzucił... i wszystkich innych, o których wspominałem. Gdyby taka operacja się udała, powstałby podmiot, którego z perspektywy Platformy nie dałoby się zdołować ani rozbić. A w ogóle podmiot ten powinien być budowany nie na opozycji wobec PO, tylko jako element tego antypisowskiego bloku. Jeżeli PO nie chciałaby wspólnej listy z taką lewicą, to trudno, i tak byłaby to formacja mocno ponadprogowa.

Mimo wszystko jest to scenariusz mało prawdopodobny.

– Jeśli to się nie zdarzy, Platforma z racji struktury konfliktu – niezależnie od tego, jak to oceniamy – będzie musiała wezwać wyborców lewicy, by w imię Polski, w imię wartości najwyższych, obrony demokracji itd., głosowali na jej liście.

Wtedy wielu wyborców lewicy zgłasza na PO.

– A resztki lewicy spadną pod próg. Dziś w sondażach lewica ma notowania w granicach 5-11%. Mielibyśmy świadomość, że są to notowania w pewnym sensie historyczne. Dotyczą formacji, która była, marki z wyborów 2019 r. W konflikcie, w sytuacji kampanii, tak ostrej przecież, mają małe szanse się obronić. Wszystko więc może się skończyć bardzo źle.

Odnoszę wrażenie, że te działania już mają miejsce. Nie bez powodu Donald Tusk zadeklarował, że na listach nie będzie miejsc dla przeciwników prawa do aborcji.

– W kwestii aborcji Tusk zrobił bardzo ważny krok. To świetne zagranie taktyczne. A z punktu widzenia lewicy bardzo rozmywa jej tożsamość. Znosi u wyborców lewicowych istotną blokadę przed wsparciem Koalicji Obywatelskiej. Ponadto Tusk może sobie

tej tradycji itd. Poza tym PO jest budowana w dużej części na niechęci do lewicy, jest antylewicowa. Partie te dzieli także historia i stosunek do niej. Trzeba więc widzieć ten wspólny blok jako układ przejściowy. Jako coś, co będzie służyło przywróceniu elementarnych zasad demokracji i państwa prawnego. Wspólna lista siłą rzeczy musi mieć bardzo ograniczony program. Ale to może być zarazem program bardzo ambitny i wyrazisty.

A lidera?

– Gdyby przywództwo Tuska było opakowane podmiotowym traktowaniem koalicjantów, pokazywaniem innych, w tym Trzaskowskiego, Kosińskiego-Kamysza, Hołowni, lidera lewicy takiej czy innej...

Ale przecież każdy widzi, że jest opakowane w chęć zdominowania, podporządkowania.

– Jeżeli lewica nie spróbuje w najbliższych miesiącach zbudować się na nowo, uznać, że zjednoczenie sprzed roku było nieudane, że było co najwyżej pierwszym krokiem i trzeba zacząć na nowo budować formację, która wraz z KO odsunie PiS od władzy, to będzie w kłopotach.

Jeżeli lewica będzie trzymana na obecnych pozycjach, Czarzasty i Biedroń dostaną ochłapy. A jak się obrażą – nie będą mieli nic.

zbudować wasalną lewicę w dwa miesiące. Ale taki scenariusz jest bardzo niedobry dla ogólnego wyniku obecnej opozycji.

Bo np. 4% ogółu głosów zostanie wyrzucone w błoto?

– Myślę, że więcej. Agrounia wystartuje prawie na pewno sama. Też pewnie znajdzie się pod progiem. Pod progiem może być PSL... I jeśli teraz weźmiemy pod uwagę, że PiS będzie w wyborach pierwszą partią... **Ostrzega pan przed niebezpieczeństwem osobnych list ugrupowań opozycyjnych. Z drugiej strony jest duża grupa wyborców opozycji przeciwna wspólnej liście. I nie zniosłaby połączenia lewicy i PO.**

– Na dłuższą metę oczywiście to niemożliwe. KO nie jest w stanie wyartykułować tych wszystkich postulatów lewicy, tych wrażliwości,

Musi to się odbyć na zasadzie unieważnienia tych fatalnych działań: wyrzucania, zawieszania, demobilizacji itd. Inaczej lewica będzie przystawką. W każdym układzie. Czy dojdzie do jednej listy, czy nie. Jeżeli dojdzie do jednej listy, to na warunkach Platformy. Widzieliśmy na przykładzie Senatu, jakie te warunki były, więc wiemy, jakie będą.

Dla lewicy były upokarzające.

– Powiedzmy, że partia, która dominuje, musi mieć pewną premię. Ale nie aż taką! I jeżeli lewica będzie trzymana na obecnych pozycjach, Czarzasty i Biedroń dostaną ochłapy. A jak się obrażą – to koniec, nie będą mieli nic.

No to się nie obrażą. Wejdą do Sejmu.

– Ale jeśli wejdą tak połamanymi, w małej liczbie, to perspektywy



odbudowania silnej socjaldemokracji będą żadne.

Czyli lewica ma szansę na przeżycie i rozwój, jeśli wejdzie w sojusz z PO jako pełnoprawny, silny organizm. A nie w roli przystawki. Ale, jak mówiliśmy, szansa na silną lewicę jest dziś minimalna.

– To, co sugeruję, jest chyba psychologicznie trudne dla obecnych liderów lewicy, ale poza nimi też to się nie zrodzi. Bez Czarzastego, Biedronia, Zandberga nie da się skonstruować mocnej lewicy. Ale nie da się także skonstruować mocnej lewicy bez przyciągnięcia i współpracy OPZZ, Unii Pracy Witkowskiego, SLD Kwiatkowskiego i – podkreślił – lewicowych think tanków, zwłaszcza środowiska „Krytyki Politycznej”, i oczywiście jest potrzeba przychylności waszego tygodnika.

Historia lewicy to również historia Polski Ludowej i od tego nie ma ucieczki. Choć, gdy patrząc na Nową Lewicę, to oni pytali o tamte czasy unikają.

– A to dla lewicy nie jest dzisiaj żadnym obciążeniem! Dziedzictwo PRL mogło stanowić obciążenie przed rokiem 1993. Może jeszcze trochę w 1997 r. Ale Kwaśniewski przełamał podział postkomunistyczny. Zebrał miliony głosów od ludzi, którzy wcześniej głosowali na Solidarność i partie postsolidarnościowe. Natomiast czy teraz historia PRL

może być pozytywnie waloryzowana? Czy może być argumentem za? Wszak był to reżim autorytarny – nawet w końcówce. To jest kwestia przypomnienia pewnych osiągnięć, typu mieszkania czy niektóre gierkowskie inwestycje. Ale też takich jak trwałe usytuowanie Polski w nowych granicach. A czy można to wykorzystać w wyborach? Gdyby lewica musiała iść sama, mógłby to być istotny element jej tożsamości. Natomiast w rozgrywce z PiS, tej głównej, raczej nie ma szans na takie powroty, na nawiązanie do tradycji, bo to byłoby konfliktowe w obrębie obozu demokratycznego. Na okres wyborów trzeba zamazywać różnice i ekspozować elementy wspólne. Europa, demokracja itd.

Co nam zaserwują politycy?

Czekają nas zatem wybory blok na blok? Z naciskiem na mobilizację wahających się?

– Gdy o tym mówimy, zasygnalizuję, że ma miejsce bardzo niepokojące zjawisko – ponownie zdemonstrowana jest młodzież. Deklaracje uczestnictwa w wyborach w grupie najmłodszej, 18-24 lata, są prawie dwukrotnie rzadsze niż w grupie starszej. Znowu odwołuję się do badań Kantar Public. Młodzież to grupa jednoznacznie antypisowska. Jeżeli więc nie zmobilizuje się wyborców

Bez Czarzastego, Biedronia czy Zandberga nie da się skonstruować mocnej lewicy. Ale Nowa Lewica, Wiosna i Razem to za mało.

najmłodszych, wśród których poparcie dla lewicy i dla Koalicji Obywatelskiej, niestety również dla Konfederacji, jest najwyższe, a bardzo niskie dla PiS, to może być niedobrze. PiS to wie, potrafi zresztą bardzo dobrze prowadzić selektywną mobilizację. Przypominam wybory prezydenckie – te wozy strażackie dla gmin, te zapewnienia, że nie ma żadnej epidemii, że osoby starsze mają pierwszeństwo, że idzie o wartości podstawowe – o wiarę, Polskę itd.

A teraz jakie polityczne menu może zostać rzucone na stół?

– W badaniach wyborczych jest taki paradygmat, który nazywa się issues ownership i który na gruncie polskim rozwija mój bliski współpracownik dr Wojciech Rafałowski. Paradygmat ten wskazuje znaczenie „własności kwestii programowych”. Partie wygrywają, jeżeli przekonują wyborców, w kwestiach nawet nie-licznych, ale ważnych, budzących społeczne emocje, że są wiarygodne w danej sprawie, że tylko one potrafią ten konkretny problem rozwiązać. Pytanie zatem, w jakich kwestiach opozycja będzie absolutnie wiarygodna. Będzie odbierana jako kompetentna. Na pewno jest to Europa.

To mówi Tusk: Europa, drożyna, prawa kobiet...

– I chyba tego bym się trzymał, może dodałbym 20% podwyżki dla budżetówki. Jest jeszcze problem wojny. Cały czas musimy mieć świadomość, że analizujemy sytuację w czasach olbrzymiej niestabilności. Zakładam, że konflikt na wschodzie będzie się instytucjonalizował, trwał w formach mniej gwałtownych. I dlatego da się wyprzeć poza polityczny spór. Nie odegra wtedy wyborczej roli. Ale zagrożenia mogą się uwypuklić. Mogą jakieś rakiety spaść na terytorium Polski, coś może wybuchnąć... Nic na to nie poradzimy. Możemy tylko zastrzec, że rozmawiamy w końcu września, a sytuacja jest nadzwyczaj dynamiczna.

Robert Walenciak

Otwarta wojna na kościelnym polu

Kościelno-deweloperska inwestycja hotelowa koło Łańska stała się powodem konfliktu z obrońcami przyrody. Niektórzy mówią, że to wojna milionerów

Marek Książek

Inwestycja w Rybakach budzi wiele emocji z co najmniej kilku powodów. Jednym z ważniejszych jest udział w niej Kościoła katolickiego, bo ten działkę, którą uzyskał jako rekompensatę za tzw. mienie utracone w PRL, przeznaczył pod budowę ekskluzywnego hotelu. Będzie to więc inwestycja biznesowa, niezwiązana ze sprawowaniem kultu religijnego.

Posłanka angażuje Unię

Po jednej stronie frontu jest spółka Projekt Rybaki-Łańsk, w której 51% udziałów ma wpływowy deweloper z Warszawy, a 49% – archidiecezja warmińska. Przeciw budowie protestują miłośnicy warmińskiej przyrody, wspierani przez kilka znanych osób. Jest wśród nich utytułowany żeglarz Tomasz Rumszewicz, który na półwyspie Łalka prowadzi ośrodek żeglarski dla młodzieży na terenie wydzierzawionym od rodziny Oskrobów, właścicieli zakładów piekarniczych spod Garwolina. Po tej samej stronie sporu stanęła lewicowa posłanka Monika Falej, składając w tej sprawie, wspólnie z olsztyńskim aktywistą Łukaszem Michnikiem, wniosek o interwencję u samego komisarza Unii Europejskiej ds. środowiska, oceanów i rybołówstwa. „W polskiej miejscowości Rybaki w gminie Stawiguda w województwie warmińsko-mazurskim Archidiecezja Warmińska wraz ze spółką zależną BBI Development Realty 4 Management planują wybudować hotel z kompleksem domków

letniskowych nad samym Jeziorem Łańskim. Cała miejscowość, jak i Jezioro Łańskie znajdują się na obszarze Natury 2000 w Puszczy Napiwodzko-Ramuckiej i stanowią unikatowy okaz przyrody”, czytamy w liście do komisarza. Dalej wnioskodawcy piszą, że pomimo społecznego sprzeciwu Kościoła wraz ze spółką planują budowę kompleksu wypoczynkowego wartości 300 mln zł. A instytucje odpowiedzialne w Polsce za ochronę środowiska nie podjęły żadnych działań, aby ukroć te zapędy. „Każdy dzień bez działania zbliża nas do nieodwracalnego zdewastowania perły Warmii i Mazur, jaką jest Jezioro Łańskie i miejscowość Rybaki”, alarmują autorzy we wniosku z 15 września br.

Perła w rękach księży

Rybaki to niewielka miejscowość położona nieopodal dawnego ośrodka rządowego w Łańsku, gdzie bywali kiedyś promieniści PRL, z Gomulką na czele, zapraszając tam na polowania takie osobistości jak Chruszczow, Breżniew, szach Iranu czy król Belgów. Główny ośrodek Puszcza w Łańsku pozostał w rękach rządowych, choć każdy może tam wykupić wczasy, ale zmieniły się stosunki własnościowe w okolicznych obiektach „imperium łańskiego”. Także w Rybakach, gdzie zlokalizowano zaplecze gospodarcze dla całego kompleksu. Za pierwszych rządów PiS, w 2007 r., ośrodek w Rybakach, z dostępem do plaży nad jeziorem – w sumie 26 ha z obiektami – trafił do Caritasu Archidiecezji Warmińskiej. Wypełniał bardzo szlachetną misję, m.in. goszcząc

uchodźców o polskich korzeniach, którzy w 2015 r. uciekli z ogarniętej wojną wschodniej Ukrainy. A po tegorocznej napaści Putina przyjął również rodowitych Ukraińców.

Ośrodkiem zarządzał ks. Piotr Hartkiewicz, wiceszef Caritasu na całą diecezję, uważany za operatywnego dyrektora, lubiany przez podopiecznych i ceniony przez przełożonych w kurii. Nieco ponad dwa lata temu ks. Hartkiewicz przepadł bez wieści. Zapewne metropolita warmiński abp Józef Górzyński dobrze wiedział, co się z nim dzieje, lecz Olsztyn i okolice obieży wieści, powtarzane nawet przez ludzi związanych z klerem, jakoby kapłan uciekł z pieniędzmi do Ameryki Południowej. Próbowałem wtedy ustalić stan faktyczny, ale nie uzyskałem odpowiedzi z olsztyńskiej centrali Caritasu, choć w tym czasie był już nowy dyrektor oddziału w Rybakach. Niebawem okazało się, że ks. Piotr zamieszkał w Warszawie, czym zaprzeczył pogłoskom o defraudacji funduszy i ucieczce z kraju. Nie wiadomo jednak, dlaczego przestał zarządzać ośrodkiem; podobno został odwołany. Ostatnio reporterzy Wirtualnej Polski ustalili, że ks. Hartkiewicz kupił mieszkanie w stolicy na podstawie umowy deweloperskiej z firmą BBI, a więc udziałowcem spółki mającej budować hotel nad Jeziorem Łańskim. Spółki, w zarządzie której był też szef Caritasu w Rybakach.

Papież dał zgodę

Tu ważna uwaga: ośrodek Caritasu w Rybakach to jedno, a teren pod planowany kompleks hotelowy – drugie.





Wizualizacja planowanego kompleksu hotelowego w Rybakach.

Na tej działce ma powstać kościelny hotel.



To 27,3 ha ziemi na cyplu nad Jezio-rem Łąńskim, którą wcześniej Kościół dzierżał od Agencji Nieruchomości Rolnych. Olsztyńska hierarchia zabiegała o przyznanie jej na własność tego terenu, gdzie miejscowa parafia, tak jak kiedyś, miała uprawiać rolę, a na trawiastym cyplu miały paść się kozy. W 2013 r. do boju wysła- no trzech energicznych kapłanów: ks. Piotra Babskiego, ks. Artura Kle- packiego i właśnie ks. Hartkiewicza. Wtedy się nie udało, bo rządząca ko- alicja PO-PSL nie znalazła podstaw do nieodpłatnego przekazania ziemi. Ale po wygraniu wyborów przez PiS sytuacja zmieniła się diametralnie, zwłaszcza że dyrektorem oddzia- łu ANR w Olsztynie został Grzegorz Kierozalski, aktywny działacz PiS, wcześniej szef gabinetu pisowskiego wojewody Zbigniewa Babalskiego.

I tak oto Kościół katolicki – jak wy- licza OKO.press – dostał w okolicach wsi Rybaki w sumie 70 ha wartych 56 mln zł, w tym atrakcyjny kawałek

nad jeziorem. Przy czym wcale nie za- mierzał uprawiać tam roli. Teren – po przekwalifikowaniu go na turystyczny – miał zostać przeznaczony pod bu- dowę luksusowego hotelu. Miejsco- we parafie przekazały ziemię archi- diecezji, a ujawnione w 2018 r. plany były na tyle zaskakujące, że przed opinią publiczną zdecydował się wytłumaczyć metropolita warmiński abp Józef Górzyński. Przekonywał, że dzięki tej inwestycji kuria zdobędzie pieniądze na kosztowne konserwacje kościelnych zabytków. Idea godna pochwały, lecz na przeszkodzie sta- nęli obrońcy przyrody. Na szczęście dla inwestora projekt pobłogosławił (czyli dał zgodę) papież Franciszek.

Inwestorzy kontra bogacze

Nie do końca wiadomo, kto wpadł na pomysł mariażu ołtarza z dewe- loperką, choć można się domyślać, że przykład przyszedł z Warszawy (Roma Tower). A jaką rolę odegrał

ks. Hartkiewicz? Na tak postawione pytanie Piotr Artymowski z agencji medialnej obsługującej większościo- wego udziałowca spółki Projekt Ry- baki-Łąńsk odpowiedział: „Informacje o prowadzonych rozmowach z udział- tem przedstawicieli BBI Development S.A. nie podlegają upublicznieniu”. Nawiązał jednak do publikacji Wirtual- nej Polski z 28 sierpnia br., zawierają- cej sugestie, że ks. Hartkiewicz za mi- sję pozyskania gruntów pod budowę hotelu miał otrzymać „korzyść mająt- kową w postaci mieszkania nabytego przez niego od Spółki”. Stwierdził, że są to insynuacje, za które deweloper podejmie wobec WP kroki prawne. Oficjalnie ks. Piotr kupił od BBI De- velopment 30-metrowy lokal na eks- kluzywnym warszawskim osiedlu, ale stało się to dwa miesiące przed tym, zanim został członkiem zarządu spół- ki Projekt Rybaki-Łąńsk (przestał nim być w lutym 2020 r., po odwołaniu z funkcji dyrektora Caritasu).

Podobne pytanie, jak zauważył Piotr Artymowski, zostało zadane wcześniej przez wiele innych re- dakcji. Ma to świadczyć o istnieniu czarnego PR wobec budowy hotelu w Rybakach. A któż tym czernidłem smaruje szlachetne przedsięwzięcie? Obrońcy unikatowej natury, któ- rzy w liczbie 12 tys. podpisali jeden z protestów? 12 tys. to tyle, ilu miesz- kańców ma cała gmina Stawiguda – jak podaliśmy w tekście „Po lepszej stronie Olsztyna” z 14 lutego br. Istot- nie, taki powszechny protest wydaje się naciągany, a sterują nim – wedle dewelopera – powiązani z gminą bo- gacze, multimilionerzy, w tym wspo- mniana rodzina piekarzy. Posiada ona nie tylko tereny na półwyspie Łalka, wydzierżawione firmie żeglarza Rum- szewicza, ale i prywatną rezydencję, sąsiadującą z cyplem, na którym ma powstać kościelno-deweloperski ho- tel. „W naszej opinii rodzina Oskro- bów dążyła do zdominowania Jezio- ra Łąńskiego. Potwierdza to sytuacja z 2018 r., kiedy przedstawiciel rodziny Oskrobów próbował pozyskać teren, na którym powstanie hotel. Złożył ofertę zakupu nieruchomości za kwo- tę 600 tys. zł – nie została ona jednak przyjęta, ponieważ był to ułamek wartości gruntu!”, donosi Piotr Arty- mowski z agencji CE Communication, ▶

► dodając, że przeciwko inwestycji działa nawet „bardzo droga, warszawska firma lobbująca, która zarządza na jest przez byłego posła i byłego dziennikarza”. W domyśle: bogaci przeciwnicy nie żałują środków, żeby oczernić inwestora.

Odwracanie kota ogonem

Takie stawianie sprawy mocno irytuje Agatę Oskrobę, reprezentującą tę rodzinę w mediach. Na nasze pytania odpowiada ona jednoznacznie, że z tą okolicą jest związana od lat, ale jej relacje nie mają nic wspólnego z „wpływowym inwestorem z Warszawy i jego planami dotyczącymi budowy ogromnego kompleksu hotelowego”. Poza tym jej rodzina nie prowadzi w gminie Stawiguda działalności gospodarczej, a tylko spędza wolny czas. Agata Oskroba demontuje także wieści na temat rzekomej próby pozyskania terenu. A próbę wciągnięcia jej rodziny w konflikt odczytuje jako usiłowanie odwrócenia

na którym BBI wraz z archidiecezją planuje zbudować hotel. Jak podkreśla Artymowski, zamierzała prowadzić na nim działalność komercyjną, a nie zakupić go, aby chronić środowisko naturalne.

Tomasz Rumszewicz potwierdza, że istotnie na początku czerwca inwestor skierował przeciw jego firmie pozew sądowy o stosowanie nieuczciwej konkurencji, co uważa za oczywistą próbę zastraszania przeciwników budowy. Była to reakcja na wpis zamieszczony – po burzliwym zebraniu w tej sprawie w Pluskach – na facebookowym profilu firmy Rumszewicza, że o teren na cyplu zabiega potencjalny inwestor, nawet bez wymieniania konkretnej nazwy.

– Nie można mnie posądzać, że boję się konkurencji, bo w tym rejonie organizuję tylko obozy żeglarsko-sportowe dla dzieci i młodzieży, a moje jachty pływają po mazurskich jeziorach, w rejonie Mikołajek i Giżycka, z którymi Jezioro Łańskie nie ma połączenia. Natomiast zależy mi na

wyrazić opinię, że trzeba z tym poczekać na lepsze czasy.

Karawana idzie dalej

Rumszewicz podważa też argumenty zwolenników budowy hotelu, że w pobliżu funkcjonują już takie obiekty, ale ich obecność nie wyzwała w miłośnikach przyrody gwałtownych emocji. Padają nazwy hoteli nad jeziorami w Pluskach i w Sile. Tyle że, jak łatwo sprawdzić, ten pierwszy ma ledwie 101 miejsc noclegowych, a drugi 196. Tymczasem sam hotel w Rybakach planowany jest na 700 miejsc, dodatkowe 800 ma być w obszernych pawilonach, a właściwie apartamentowcach obok.

Przyszłość tego projektu leży teraz w rękach stawigudzkich radnych. Mogą oni uchwalić plan miejscowego zagospodarowania, ale również go odrzucić. Zwłaszcza że zgłoszono do niego ponad 270 uwag, w tym przez Wspólnotę Mieszkaniową Rybaki, okoliczne stowarzyszenia oraz osoby fizyczne doceniające piękno tej okolicy. Według ostatnich doniesień wójt gminy Stawiguda Michał Kontraktowicz odrzucił większość merytorycznych zastrzeżeń i nie planuje ponownej procedury uchwalenia planu.

Tymczasem spółka kościelno-deweloperska pod wodzą prezesa Rafała Szczepańskiego i wiceprezesa ks. Artura Klepackiego nie odpuszcza. Ostatnio w „Gazecie Olsztyńskiej” ukazała się wypowiedź Krzysztofa Tyszkiewicza z zarządu BBI, przedstawiająca inwestycję jako bajeczną perspektywę dla mieszkańców gminy i miłośników przyrody. Podaje on, że budynek hotelu nie przewyższy koron drzew i będzie widoczny na ich tle od strony jeziora. Jednak realisci przestrzegają, że budowa potrwa 10-12 lat i powstaną takie szkody w przyrodzie, że nikt ich potem nie naprawi. – Nie chcę być przedstawiany jako bezrefleksyjny przeciwnik rozwoju gminy, ale tak wielką inwestycję można zaplanować w innym miejscu, a nie narażać unikatowe środowisko przyrodnicze na bezpowrotne zniszczenie – dodaje Wojciech Kujawski, fotografik, współautor monografii gminy Stawiguda.

Marek Książek

Sam hotel w Rybakach planowany jest na 700 miejsc, dodatkowe 800 ma być w pawilonach, a właściwie apartamentowcach obok.

uwagi od właściwego tematu, czyli merytorycznej dyskusji dotyczącej przygotowania miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego. Bo to ten plan, który mają przyjąć radni gminy, narzuci ramy możliwej zabudowy, wobec czego obecne deklaracje inwestora nie mają szczególnego znaczenia – jeszcze wszystko może się zmienić.

Podobnie uważa Tomasz Rumszewicz, którego deweloper uważa za równie ważnego jak rodzina Oskrobów inicjatora buntu przeciw budowie kompleksu hotelowego. Co więcej, inwestor skierował nawet do sądu pozew przeciwko spółce Rumszewicz Sailing o stosowanie nieuczciwej konkurencji, która ma polegać na publicznym podawaniu informacji na temat budowy hotelu nad Jezioro Łańskim. W opinii inwestora motywem jest prawdopodobnie fakt, że przed laty firma żeglarsza chciała pozyskać teren,

zachowaniu unikatowych walorów przyrody w tej okolicy, które budowa tak potężnego hotelu, na dodatek trwająca ładnych kilka lat, bezpowrotnie zmieni – dodaje Rumszewicz.

Komentując zarzut agencji PR inwestora, jakoby motywem jego działania był fakt, że przed laty starał się o grunt, na którym spółka Projekt Rybaki-Łańsk ma budować hotel, Rumszewicz odpowiada: – Owszem, 16 lat temu (tj. w 2006 r., czyli za pierwszych rządów PiS – przyp. MK) starałem się o wydzierżawienie lub zakup kawałka terenu obok tej działki, na skraju boiska piłkarskiego, gdzie chcieliśmy postawić pawilon noclegowy dla 150 uczestników wakacyjnych obozów sportów wodnych. Wyżywienie miał zapewnić Caritas w Rybakach. Nic z tego nie wyszło, bo – jak sobie przypominam – proces przekazania tego terenu gminie został wstrzymany przez nieżyjącego już abp. Wojciecha Ziembę. Miał on

Z Galicji



Jan Widacki

Tęsknota za iluzją

Coraz częściej łapię się na tym, że im dalej w IV RP (choć PiS tak jej dziś nie nazywa, ona już jest), tym bardziej zaczynamy idealizować III RP, podobnie jak przez całą PRL idealizowaliśmy II RP, czyli międzywojnie. Tymczasem, tak jak przed końcem wojny każde ugrupowanie polityczne, może poza jakimś nieistotnym marginesem, wiedziało, że po wojnie nie będzie powrotu do Polski przedwojennej, i teraz warto sobie uświadomić, że po rządach PiS, których koniec kiedyś przecież nastąpi (oby jak najprędzej, już po najbliższych wyborach), nie będzie powrotu do III RP. Trzeba więc myśleć nie tylko o tym, jak wygrać wybory i odsunąć PiS od władzy, jak rządzić przez trzy lata w koabitacji z prezydentem Dudą i silną opozycją zjednoczonej lub nawet podzielonej prawicy, w trudnej sytuacji międzynarodowej, przy katastrofalnym stanie gospodarki. Koniecznie trzeba by też myśleć o tym, jak poprawiać Polskę i po jej rujnacji dokonanej przez PiS na wszystkich niemal polach, i po błędach III RP.

Przecież to efektem tych błędów było dojście PiS do władzy. To w wyniku tych błędów ludzie mieli już dość rządów PO razem z PSL i zagłosowali na PiS. Naprawy wymaga wiele dziedzin, niemal wszystko, w tym wymiar sprawiedliwości. Nie wystarczy usunąć neosędziów (przy założeniu, że w ogóle uda się to zrobić). Oczywiście wymiar sprawiedliwości, nawet funkcjonując idealnie, ze swej istoty produkuje rocznie kilkadziesiąt tysięcy niezadowolonych. To wszyscy, którzy przegrali sprawy cywilne, wszyscy skazani i ich rodziny etc. Ale nasz wymiar sprawiedliwości nie działał idealnie i produkował znacznie więcej niezadowolonych. W dodatku PiS, nie bacząc na to, że rujnuje potrzebny autorytet sądów, prawa i w końcu samego państwa, cynicznie tym niezadowolonym administrowało. To, że znalazło się tylu obrońców niezależności sądów i niezawisłości sędziowskiej, którzy manifestowali pod sądami z zapalonymi świeczkami, z flagami czy transparentami, cieszy. Ale jaki to był procent społeczeństwa? Jeden? Dwa? Naprawa wymiaru sprawiedliwości, tym bardziej po zrujnowaniu go przez ministra Ziobrę i jego kompanów ku uciesze prezesa Kaczyńskiego, będzie bardzo trudna.

Trzeba sobie powiedzieć szczerze: jeszcze przed dojściem PiS do władzy sądownictwo wymagało naprawy. Kulała nie tylko sprawność prowadzenia postępowań. Najważniejsza jest niska jakość wymierzanej sprawiedliwości, będąca prostą i logiczną konsekwencją niskiej jakości sądownictwa. Ta ostatnia zaś jest konsekwencją słabego przygotowania sędziów, fatalnego zaplecza eksperckiego w postaci biegłych, których kwalifikacji nikt nie sprawdza,

w dodatku z braku środków powołuje się ich często wedle kryterium „szybko i tanio”. To niezrozumienie, że sprawiedliwość karna ma działać jako system: policja-prokuratura-sąd-więziennictwo. Czy ktoś zadał sobie pytanie, co by się stało z sądami i więziennictwem, gdyby jakimś cudem policja poprawiła wykrywalność np. o 25%? Liczba oskarżonych i sądzonych, a w konsekwencji skazanych i osadzonych w więzieniach, też wzrosłaby o 25%. Może lepiej nie dopingować policji do skutecznego działania, bo zatkają się sądy, a w więzieniach braknie miejsc?

Od początku III RP na różnych profesjonalnych forach mówiono, że zawód sędziego powinien być ukoronowaniem zawodów prawniczych, że sędziami powinni zostawać ludzie nie po aplikacji, ale po co najmniej 10-letniej praktyce w zawodzie adwokata lub prokuratora. I co? Ano do końca III RP nic w tej sprawie nie zrobiono. Do orzekania wrócili za to dwudziestoparoletni asesory. Nie dość, że słabo wykształceni, bez elementarnego doświadczenia życiowego, to jeszcze nie niezawisli, bo dopiero czekający na nominację sędziowską z łaski ministra i neo-KRS.

Warto sobie uświadomić, że po rządach PiS nie będzie powrotu do III RP.

Mimo to postawy kilkunastu w skali kraju sędziów, którzy czynnie bronią swej niezawisłości, przypisywane są wszystkim sędziom, którzy rzekomo oparli się PiS. Rozkład postaw w każdej społeczności jest zawsze wedle krzywej Gaussa. Z jednej strony mamy Tuleję, Juszczyszyną, Żurka i kilku innych, z drugiej Schabę, Radzikę, Nawackiego, Pawełczyk-Woicką... A cała reszta stanowi środek, który chce jakoś przetrwać trudny czas. Swoje wie, z własnej inicjatywy się nie ześwini, ale na wszelki wypadek orzeka tak, by nie podpaść panu ministrowi. Obawiam się, że po wygranych przez opozycję wyborach do prawdziwej, potrzebnej reformy sądów nikt się nie weźmie, bo jakże ruszać tak zasłużone w oporze przeciw PiS środowisko sędziowskie. Przecież po usunięciu (już to widzę!) nominatów PiS już będzie dobrze.

Wrócimy do III RP. Nie wiem, czy nominatów PiS uda się usunąć, nawet nie jestem pewien, czy wszystkich trzeba. Ale nie będzie dobrze. Sam powrót do III RP w sądownictwie to stanowczo za mało, to dopiero pierwszy krok. A konieczne są jeszcze następne. Obawiam się, że ich nie będzie.

Tam, gdzie toczą się negocjacje

Przez rok do Rady Dialogu Społecznego wpłynęły
542 projekty różnych aktów prawnych

Rozmawia Robert Walenciak

Rok temu, rotacyjnie, obejmował pan stanowisko przewodniczącego Rady Dialogu Społecznego. Jakie cele wówczas pan sobie stawiał?

– Po pierwsze, spotkałem się ze wszystkimi partnerami, w tym ze stroną rządową, żeby zapytać, jakie są ich oczekiwania. Jakie problemy są dla nich najistotniejsze. Na tej podstawie ustaliliśmy listę tematów, które będziemy podejmowali na posiedzeniach Rady Dialogu Społecznego.

Jak wyglądała ta lista tematów?

– Ułożyliśmy ją, patrząc na ówczesną sytuację społeczno-gospodarczą kraju. To rynek pracy, transformacja energetyczna państwa, wdrażanie Polskiego Ładu, fundusze europejskie na lata 2021-2027, w tym Krajowy Plan Odbudowy, zmiany w zakresie finansowania i organizacji ochrony zdrowia, sytuacja oświaty i jej pracowników w świetle wdrażanych reform, nowelizacja ustawy o RDS...

Co z tego przetrwało? Pieniądze z KPO zniknęły, PiS ich nie chce. Transformacja energetyczna została zatrzymana, bo jest wojna. Z nauczycielami rząd idzie na zwarcie...

– Ta kadencja odbywała się w ogniu kryzysów, najcięższych od lat. Kryzys covidowy zagrażał zarówno zdrowiu pracowników, jak i gospodarce. Na to nałożyły się lutowa agresja Rosji na Ukrainę i radykalny wzrost cen nośników energii.

Kryzys w stosunkach z Unią nie jest efektem covidu czy wojny rosyjsko-ukraińskiej.

– Rzeczywiście, nie udało się zmobilizować rządu do zawarcia porozumienia z Unią dotyczącego środków europejskich. A zwłaszcza



Andrzej Radzikowski w miasteczku edukacyjnym zorganizowanym przez ZNP w pobliżu Ministerstwa Edukacji i Nauki. 10 października 2022 r.

ANDRZEJ RADZIKOWSKI

– przewodniczący OPZZ,
przez rok przewodniczył Radzie Dialogu Społecznego

dziś, w sytuacji kryzysowej, te środki ogromnie by się przydały. Jeśli chodzi o transformację energetyczną – można powiedzieć, że pewien postęp nastąpił, bo rząd bardziej się otworzył na odnawialne źródła energii. Zaczął też uwzględniać część sugestii napływających od pracodawców i związków zawodowych,

choć odbywa się to zbyt wolno i chaotycznie. Na przykład w przyjętych założeniach polityki energetycznej rząd mówi o dwóch elektrowniach atomowych. Z mediów dowiadujemy się o zawarciu wstępnej umowy na budowę sześciu. A tak naprawdę od kilkunastu lat działa zarząd elektrowni atomowej

w budowie, bez żadnych postępów. Mam sygnały, że dopiero teraz, pozwoli, coś zaczyna się dziać w inwestycjach, by zwiększyć wydobycie węgla. A od lutego, od wybuchu wojny, było wiadomo, że węgla jest za mało.

Zmarnowano pół roku.

– Dodam, że w ostatnich latach, od roku 2014, spadało wydobycie węgla w Polsce, zamykano kopalnie. I pewnie byłoby to zgodne z ogólnym trendem, gdyby za tym szło zużycie węgla przez polską gospodarkę. Niestety, od 2014 r. ilość spalane go węgla radykalnie w Polsce wzrosła. Wobec tego trzeba było albo ograniczyć spalanie, albo nie zmniejszać wydobycia.

A jeśli chodzi o służbę zdrowia, jak ocenia pan minione 12 miesięcy?

– Na pewno sukcesem RDS jest to, że dogadaliśmy się w sprawie

A ogólnie w budżetówce? Na płacach w budżetówce rząd oszczędza.

– Też nie jest tak, że wszystkie branże w budżetówce są w jednakowej sytuacji. Regulowano to ręcznie. Tym, którzy głośniejsze pro-

Wynegocjowaliśmy obniżkę podatków dla osób o najniższych dochodach. Szkoda, że większość tych sum zje inflacja.

testowali, i tym, którzy rządowi byli bardziej potrzebni – podnoszono wynagrodzenia. Dlatego tak ważne było wspólne stanowisko wszystkich central związkowych, że podwyżka w budżetówce powinna wynieść minimum 20%. Ten postulat nie uwzględniał tegorocznej inflacji, a jedynie skumulowaną niedopłatę do inflacji z minionych lat. Niestety,

miesięcznie pensja wzrosła o ok. 250 zł. Szkoda tylko, że inflacja te pieniądze zabiera...

Jak widać, Rada Dialogu Społecznego bardzo w tej sprawie się przydała. Jak bez RDS wyglądałaby Polska?

– Dużo gorzej. Rada to miejsce, w którym zarówno pracodawcy, jak i związki zawodowe mogą rozmawiać ze sobą i rozmawiać ze stroną rządową. Gdyby tego nie było, musielibyśmy rozmawiać albo przez media, albo na ulicach. RDS daje możliwość przedstawienia swoich problemów, wysłuchania argumentów innej strony, negocjowania.

Jak to wychodzi?

– W tej kadencji, gdy kierowałem pracami RDS, przyjęte zostały 23 wspólne uchwały związków zawodowych i pracodawców.

Mechanizm RDS jest taki, że najpierw trzeba się dogadać w ramach związków zawodowych, czyli OPZZ, Solidarności i Forum... A potem iść z tym do przedsiębiorców i strony rządowej.

– W kwestiach najważniejszych, takich jak wskaźniki płacy minimalnej, sposób waloryzacji rent i emerytur, wskaźniki wzrostu wynagrodzeń w sferze budżetowej, czyli w sprawach bardzo konkretnych, pracowniczych, mieliśmy wspólne stanowisko strony związkowej.

W Radzie Dialogu Społecznego pracuje non stop kilkaset osób. Tam toczą się najważniejsze dla związków rozmowy.

nowelizacji systemu wynagrodzeń w ochronie zdrowia. Ten system wcześniej się rozjechał. A to dlatego, że rząd nie podejmował działań całościowych, tylko reagował na głosy poszczególnych grup.

Kto mocniej tupnął, ten więcej dostał?

– Kto mocniej protestował, ten dostawał... W RDS dokonaliśmy ponownej wyceny poszczególnych zawodów i stanowisk, przyjmując projekt ustawy o minimalnych wynagrodzeniach w ochronie zdrowia, który rząd później przeprowadził przez parlament. Ten projekt wyrównywał nieuzasadnione nierówności. Jednocześnie związał kwotę bazową ze wzrostem średniego wynagrodzenia.

A jeśli chodzi o oświatę?

– Tu wielkiego postępu niestety nie uzyskaliśmy. Trwają protesty pracowników oświaty i nauki. Mam nadzieję, że rząd na to zareaguje. Bo jak tak dalej pójdzie, to od 1 stycznia nauczyciele będą musieli dostawać dodatki wyrównujące do poziomu płacy minimalnej. Tak niskie są wynagrodzenia w oświacie.

rząd przyjął tu wskaźnik 7,8%, mimo że wcześniej obiecywał, że waloryzacja w budżetówce nie będzie niższa niż prognozowana inflacja.

Jest więc pole do dalszych działań.

– Jest jedna dobra rzecz – w tym roku rząd zrealizował inicjatywę OPZZ, którą zgłosiłem dwa lata temu podczas obrad RDS. Wtedy zaproponowałem, aby rząd podzielił się odpowiedzialnością za wzrost wynagrodzeń z przedsiębiorcami,

Za mojej kadencji Rada Dialogu Społecznego przyjęła 23 wspólne uchwały związków zawodowych i pracodawców.

czyli żeby obniżyć podatki dla osób o najniższych dochodach. Przez te dwa lata były w tej sprawie rozmowy, kilka spotkań zespołu ds. budżetu, były dwa posiedzenia plenarne RDS, notabene z udziałem prezydenta. W czerwcu w Radzie Dialogu zaakceptowaliśmy rozwiązanie obniżenia pierwszego progu podatkowego. W ten sposób osobom zarabiającym ok. 3 tys. netto

Gdy dogadywaliście się w ramach związków, to potem można było takie wspólne stanowisko wносить pod obrady.

– Zanim sprawy trafią na Radę Dialogu, kierowane są do zespołów problemowych, których jest kilkanaście. Tam toczą się negocjacje, trójstronne. W zasadzie tam odbywa się główna praca. W okresie, w którym przewodziłem RDS, ►

► odbyły się 72 spotkania różnych zespołów problemowych. Odbyło się siedem posiedzeń rady, 15 posiedzeń prezydium, 15 spotkań sekretarzy. Przez rok! Do rady w tym czasie wpłynęły 542 projekty różnych aktów prawnych, do których się odnosiliśmy.

Nasze propozycje skrócenia tygodniowego czasu pracy, wydłużenia urlopu napotykały opór.

Taka de facto ciągła praca musi angażować masę ludzi.

– Kilkaset osób w gronie partnerów społecznych. Dlatego jednym z naszych postulatów w dyskusji o nowelizacji ustawy o RDS jest wzmocnienie jej potencjału. Żeby stała się samodzielną instytucją, a nie częścią Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej. I żeby zwiększyć jej budżet. Dziś w obsłudze Biura Rady Dialogu Społecznego pracuje cztery-pięć osób, natomiast cała reszta prac wykonywana jest przez osoby delegowane przez partnerów społecznych.

Jak w RDS rozmawia się z przedsiębiorcami? Łatwiej czy trudniej?

– Zależy w których sprawach. Tam, gdzie mamy wspólny interes, czyli chodzi o poprawę warunków funkcjonowania gospodarki i przedsiębiorczości, łatwo znajdujemy wspólne zdanie. Świadczą o tym te 23 wspólne uchwały. W sprawach wzrostu wynagrodzeń i jego tempa – nie dogadujemy się. W kwestiach poprawy warunków pracy – nasze propozycje skrócenia tygodniowego czasu pracy, wydłużenia urlopu – też napotykały opór.

A rozmowy z rządem?

– Są sprawy, w których się dogadujemy. Na przykład obniżenie podatków dla najmniej zarabiających. Dogadaliśmy się też z rządem, żeby zmienić ustawę o emeryturach pomostowych. Żeby nie trzeba było rozwiązywać umowy, aby uzyskać

emeryturę. Wcześniej było z tym sporo kłopotów. Teraz pracownik będzie mógł złożyć dokumenty i jak dostanie emeryturę, będzie mógł podjąć decyzję, czy przejść na nią, czy jeszcze przez jakiś czas pracować. To był wniosek OPZZ. Podobnie wyglądała sprawa wzrostu płacy minimalnej. Rząd nie zrealizował w 100% naszych propozycji, ale był

W sprawach wzrostu wynagrodzeń i jego tempa nie dogadujemy się z pracodawcami.

bliższy nam niż pracodawcom. Ta płaca to od stycznia 3490 zł, a od 1 lipca 3600 zł. Dodam, że nie jest to nadmierna hojność, bo to raptem trzydzieści parę złotych więcej, niż wynika z ustawy. Bo ustawa, która określa wzrost płacy minimalnej, wiąże ją z inflacją. A inflacja przekroczyła 17%.

Wiele razy pan mówił, że najtrudniej rozmawia się o wzroście płac. A teraz inflacja to zżera. Tylko ubolewać!

– Ubolewać, ale i działać. Ubolewamy też nad tym, że rząd nie chce

pieniędzy z Brukseli, z Krajowego Planu Odbudowy. Jako OPZZ intensywnie pracowaliśmy na etapie przygotowania założeń do KPO. Bardzo na te pieniądze liczyliśmy. Mamy świadomość, że jeśli nie nastąpi unowocześnienie polskiej gospodarki, to przestrzeń do wzrostu wynagrodzeń będzie niewielka. Wzrost wynagrodzeń musi być powiązany z wydajnością pracy.

Pracodawcom takie słowa by się podobały.

– Mamy świadomość, że żaden pracodawca nie będzie dokładał do działalności gospodarczej. Najwyżej zlikwiduje firmę. A jak nie ma firmy, to nie ma miejsc pracy. To wspólny interes, więc to jest ten kierunek – unowocześnienie gospodarki. Kolejny – transformacja energetyczna. Ona uderza i w pracowników, bo rosną koszty utrzymania, ogrzewania itd., ale i w przedsiębiorców.

My to widzimy, to na wniosek OPZZ we wrześniu odbyło się posiedzenie zespołu ds. gospodarki i rynku pracy w celu omówienia sytuacji przedsiębiorstw energochłonnych. I mamy tu sukces, bo rząd zapowiedział, że wygospodaruje ok. 6 mld zł z przeznaczeniem na ich wsparcie. Poza tym będziemy pracować nad innymi sprawami, m.in. będziemy składać wnioski o stopniowe skracanie czasu pracy, pamiętamy o emeryturach stażowych. Mamy co robić.

Robert Walenciak

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

CZYTELNIKU, kupując nasze książki, wspierasz PRZEGLĄD

Mamy już **38 tytułów!** Wszystkie e-booki tylko **9,90 zł**



Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl Promocja trwa do **15 listopada** włącznie!



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Obywatelu, gdzie jest twój schron?

Władza, a konkretnie orły z MSWiA, zaordynowała przegląd, inwentaryzację i doposażenie istniejących schronów i miejsc schronienia. Nikt jeszcze nie wie, ile ich jest, w jakim są stanie itd. Padają wyczerpujące, ale nic nieznaczące wyjaśnienia o sensie ogólnowojskowym: rozpatrujemy „różne scenariusze”, musimy być przygotowani na „cokolwiek”. Sekretarz miasta Lublin dorzucił swoje trzy grosze: „[Schrony] również muszą być odporne na określone zdarzenia. Tych mamy na terenie miasta relatywnie mało”.

Schron odporny na określone zdarzenia. Z takimi wytycznymi strażacy w całym kraju jeżdżą, opisują, ustalają, sugerują, a władza doposaży wszystkimkolwiek, bo tylko wtedy będziemy gotowi na „cokolwiek”. Cokolwiek to znaczy.

W rozpoczęcie wojennej operacji Rosji w Ukrainie w lutym większość nie wierzyła. Komentatorzy, specje, eksperci, publicyści zajmujący się tematyką wojskową i zagraniczną. Kiedy pojawił się wątek użycia przez Rosję broni jądrowej (głównie mówi się tu o tzw. broni taktycznej, czyli „krótkiego zasięgu, zdolnej do przenoszenia ładunków jądrowych na odległość maksymalnie 450-500 km, przeznaczonych do bezpośrednich działań bojowych, dlatego może być wykorzystywana w działaniach bojowych o ograniczonym charakterze” – tyle Wikipedia), znowu padały zapewnienia, że nie, to niemożliwe, aż tak to nie. Nie wchodząc w tematykę wojskowości (choć ona cały czas wchodzi w nasze w życie), trzeba sobie uzmystwić, że Rosja trzyma taką broń u siebie, a USA m.in. w natowskiej Europie. Że ta broń o „ograniczonym zasięgu” jest i tak o wiele potężniejsza niż użyta wobec Hiroszimy i Nagasaki. Kiedy dzisiaj (po 60 latach od kryzysu kubańskiego) wraca realny scenariusz użycia tej broni, to o tym nie rozmawiamy, wcześniej też tego nie robiliśmy (po co w czasach „pokoju” gadać o wojnie?). Amerykanie de facto nigdy nie ponieśli politycznych konsekwencji zrzucenia bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki. Ówczesny i późniejszy świat „przyjął do wiadomości”, że tak musiało się stać. Od wielu lat rozmowy rozbrojeniowe dotyczące realnych arsenałów są zamrożone, nie przynoszą nowych ustaleń ani działań. Trwają jedynie działania, które mają nie dopuścić do poszerzenia grona kilku państw posiadających broń jądrową, np. USA versus Iran.

W polskim świecie machania szabelką jako uprawiania polityki zagranicznej pojawiały się już w trakcie działań wojennych w Ukrainie głosy o tym, że taka broń powinna się znajdować na terytorium Polski. Jeśli to nie jest wariant eskalowania napięcia przed- albo wojennego, to już nie wiem, co mogłoby nim być. Trudno dyskutować z poglądem, że III wojna światowa już trwa. My, malucy, wiemy niewiele, ci, którzy wiedzą więcej, nie bardzo się dzielą swoją wiedzą, a ci, którzy realnie pociągają za sznurki – manipulują, ściemniają, mataczą. Chłopaćkie rozgrywki.

A tymczasem strażacy otwierają zardzewiałe zamki do przegniłych, nieogrzewanych betonowych jaskiń i robią listę, co by tu trzeba. W tym samym czasie kolejny trener narciarski czy inny zmarły w Albanii handlarz bronią już ma gotową dla rządu wielomilionową ofertę wyposażenia wszystkich polskich schronów. I na pniu ją sprzedaje. A my zostaniemy, jak Himilbach ze swoim angielskim,

z naszymi prześcieradłami (ze szkolnych zaleceń w czasach zimnej wojny: „W razie ataku jądrowego należy okryć się prześcieradłem i czołgać powoli w kierunku najbliższego szpitala”) i wykupionym bez sensu z wszystkich aptek w Polsce jodkiem potasu i płynem Lugola. Mądrość ludowa jest szybsza od najszybszych wozów strażackich szukających schronów.

Jestem ciekaw, czy ktoś zada takiemu Wąsikowi z MSWiA pytanie, jak się mają schrony dla rządzących.

Jakoś jestem przekonany, że, parafrazując jedną z najsłynniejszych wypowiedzi Jerzego Urbana, pochowanego w ubiegłym tygodniu, „rząd się zawsze schroni”. Rząd, rząd. Ale są osoby od rządu ważniejsze. Gdzie będzie, gdzie już jest schron dla prezesa, „emerytowanego zbawcy narodu”? Kiedy strajkujące i protestujące pokojowo kobiety podchodziły zbyt blisko willi na Żoliborzu, ochraniający go byli gromowcy wywozili prezesa do swojego ośrodka szkoleniowego w Czerwonym Borze. Wszystkich wywieźć się nie da, dlatego strażacy szukają, odkopują, osuszają, oliwią pancerne drzwi. I cicho sza, że ktoś nas w tę kabałę pakuje z całą mocą swojej politycznej niefrasobliwości i niekompetencji.

Żadnej bomby jądrowej nikt nie użyje, cokolwiek to znaczy. Za jakiś czas to zdanie można będzie przeczytać jako prorocze albo ironiczne. A my, obyśmy zdrowi byli.

Strażacy odszukują schrony. I cicho sza, że ktoś nas w tę kabałę pakuje z całą mocą swojej politycznej niekompetencji.



PAŃSTWO NIE BRONI NAJSŁABSZYCH

Matki się dziwią: dlaczego sąd rodzinny staje się ich kolejnym oprawcą, wzmacniając sprawców przemocy

Anna Stachowiak

Stowarzyszenie Eurydyka powstało, by pomagać matkom w sprawach sądowych. Po co takie stowarzyszenie w państwie prawa?

– Problem polega na tym, że my, polskie matki, żyjemy w świecie bezprawia, a niedawny wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 22 czerwca 2022 r. (który uznał za niezgodne z konstytucją nakładanie na matki kar pieniężnych za niezrealizowane kontakty z drugim rodzicem – przyp. red.) stał się kolejną fikcją.

Matki mówiące o przemocy ojca dziecka są uznawane za niewspółpracujące.

Jak to?

– Nadal w orzecznictwie sądowym odbiera się dzieciom podmiotowość i wiarygodność, a ich niechęć do spotkań przypisywana jest jedynie wpływowi mam starających się traktować swoje dzieci podmiotowo, z szacunkiem dla ich wyborów. W stowarzyszeniu wielokrotnie słyszymy w słuchawce telefonu

rozczarowanie mam uciekających przed przemocą i ufnie oddających siebie i dzieci w obronę sądu, a potem niemogących się pozbierać ze zdziwienia, dlaczego sąd rodzinny staje się ich kolejnym oprawcą, wzmacniającym jedynie sprawców przemocy. Padają zawsze te same pytania: dlaczego ich dowody, składane często na piśmie albo w postaci zeznania świadków lub nagrań, są pozbawiane wartości dowodowej w starciu ze słowami oprawców.

No właśnie. Znam sprawy, wiele spraw, w których kobiety żałują, że zgłosiły przemoc ze strony

partnera, bo okazało się, że zaszkodziło im to w sądzie. Jak to możliwe? Dlaczego ofiary przemocy nie są traktowane poważnie? Jak działa ten mechanizm?

– W polskim sądownictwie, opiniodawczych zespołach specjalistów sądowych, policji i służbie kuratorskiej matki postrzegane są przez pryzmat wieloletniego systemu szkoleń

ANNA*

– założycielka stowarzyszenia Eurydyka, które pomaga matkom w starciu z sądami

właczających w umysły zdyskredytowaną na świecie teorię alienacji rodzicielskiej. Teoria ta ciężar niechęci dzieci do kontaktu przenosi ze sprawców przemocy na ich ofiary, czyli dzieci i mamy. 16 września 2021 r. Grupa Ekspertów Rady Europy ds. Przeciwdziałania Przemocy wobec Kobiet i Przemocy Domowej (GREVIO) opublikowała pierwszy raport w sprawie realizacji przez Polskę Konwencji Rady Europy o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej (konwencji stambulskiej). GREVIO wzywa Polskę do podjęcia wszelkich środków, także legislacyjnych, aby zapewnić, że wszystkie właściwe podmioty, w tym pracownicy socjalni czy sędziowie, przy podejmowaniu decyzji w sprawie opieki i wdrożeń z dzieckiem wezmą pod uwagę negatywny wpływ, jaki wywiera na dzieci eskpozycja na przemoc jednego rodzica wobec drugiego;

powstrzymają się od używania koncepcji alienacji rodzicielskiej lub równoważnych, według których matki podnoszące kwestię przemocy ze strony ojca dziecka są uznawane za niewspółpracujące lub winne złych relacji ojca z dzieckiem; sprawdzą historię przypadków przemocy jednego z rodziców w stosunku do drugiego, podejmą kroki, aby pro-

Sprawcy przemocy wykorzystują w sądzie słabą kondycję psychiczną ofiar.

cedury i decyzje nie zagrażały bezpieczeństwu kobiet – ofiar przemocy w związkach, w szczególności poprzez ujawnienie ich miejsca pobytu. **No dobrze, ale co wydarzyło się w ciągu tego roku w Polsce? Te zalecenia zostały potraktowane poważnie?**

– Nic się nie wydarzyło. Nasza petycja w sprawie wycofania pojęcia alienacji nadal oczekuje na rozpatrzenie. 20 kwietnia 2022 r. wicemarszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty wystosował do Ministerstwa Sprawiedliwości pismo z prośbą o przeanalizowanie postulatów zawartych w petycji i przedstawienie stanowiska w tej sprawie. Od tego czasu zapanowała cisza. Wobec tak opieszalych prac nasuwa się pytanie, dlaczego teoria wymyślona przez amerykańskiego psychiatrę Richarda Gardniera, która broniła sprawców pedofilii i kazirodztwa w sądach w USA (było to w latach 90. XX w.), ma się tak dobrze w Polsce. Dlaczego żadne organa tego państwa nie podejmują działań na rzecz jej wycofania? Kto ma w tym interes?

Coraz częstsze są przypadki odbierania matkom dzieci, kiedy nie ma do tego przesłanek – poza przedziwnym stanowiskiem sądu. Do Eurydyki zgłasza się wiele takich kobiet. Skąd ten przerażający trend?

– Tak, od wyroku TK z 22 czerwca obserwujemy nasilenie się tego procederu w polskim sądownictwie. Niedawno napisała do nas mama 13-letniego chłopca, który ze względu na niechęć do ojca (niechęć powstała na skutek przemocy) w ciągu trzech dni od daty otrzymania pisma

przez mamę ma być doprowadzony przez nią do placówki opiekuńczo-wychowawczej. Jednocześnie matka ma mieć ustanowiony zakaz kontaktu z synem do czasu nawiązania więzi ojca z synem. My jako stowarzyszenie pytamy, gdzie tu jest dobro dziecka. Obecnie życie w Polsce zaczyna przypominać życie w państwie opresyjnym. Dlaczego

to dziecko nie ma zapewnionej ochrony przed przemocą w tym państwie? Albo drugi przykład:

z dwóch synów jeden (na jego szczęście) jest pełnoletni, drugi ma 10 lat. Pełnoletni odmówił kontaktu z ojcem ze względu na jego alkoholizm i przemoc wobec niego i członków rodziny, a 10-latek ze względu na swój wiek został już pozbawiony tych praw i mimo że starszy brat opisał dokładnie stosowaną przez ojca przemoc, młodszy musiał wykonywać obowiązek kontaktów. Pytam wobec tego: gdzie w tym państwie jest ochrona najsłabszych?

Tak zwana alienacja rodzicielska to argument wykorzystywany przeciwko matkom. Ta koncepcja została odrzucona przez Światową Organizację Zdrowia, Parlament Europejski i Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne jako oparta na fałszywych założeniach i krzywdząca

Najsmutniejszą i najbardziej drastyczną sprawą jest otrucie małego chłopca na sali zabaw przez ojca.

dzieci oraz matki. Dlaczego więc w Polsce odbywają się szkolenia z tego zakresu dla sędziów i psychologów?

– Obecnie alienacja rodzicielska to część strategii procesowej, mimo że są dowody z całego świata na nieprawdziwość tej teorii. Nasze apele o powstrzymanie się od używania koncepcji alienacji rodzicielskiej lub równoważnych w OZSS oraz sądach pozostają bez odpowiedzi. A przecież wystarczy 15 postów, aby podjąć działania ustawodawcze w tym zakresie. Zastanawiamy się, dlaczego, mimo że Światowa Organizacja Zdrowia i Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne odrzucają

stosowanie tzw. zespołu alienacji rodzicielskiej oraz podobnych pojęć i terminów, w polskim parlamencie nie ma 15 odważnych osób do podjęcia działań.

Za granicą jest inaczej?

– W innych krajach zalecenia Platformy Niezależnych Podmiotów Eksperckich nt. Dyskryminacji Kobiet i Przemocy wobec nich (Platforma EDVAW) doprowadziły do zmian przepisów, gdyż oskarżenia o alienację rodzicielską wysuwane przez ojców dopuszczających się nadużyć przeciw matkom mogą być wykorzystywane jako strategia przeciwko ofiarom przemocy poprzez podważanie umiejętności rodzicielskich ofiar, odrzucanie ich słów i lekceważenie przemocy, co należy postrzegać jako dalsze wykorzystywanie pozycji siły i kontroli przez instytucje i podmioty państwowe, w tym te, które podejmują decyzję o pieczy nad dzieckiem.

Dlaczego mężczyzna jest dla sądu bardziej wiarygodny od kobiety?

– Proces przed sądem to swego rodzaju teatr, świat rzadko kiedy jest czarno-biały. Każdy człowiek ma swoje słabości, a nikt ich nie zna tak dobrze jak nasza druga połówka. Należy pamiętać, że sprawcy przemocy to doskonali manipulanci, często osoby świetnie wykształcone i bardzo inteligentne. Natomiast

u kobiet będących ofiarami przemocy wytwarzają się zaburzenia adaptacyjne albo powstaje PTSD (zespół stresu pourazowego – przyp. red.), który jest wynikiem urazu psychicznego i konsekwencją silnego stresu związanego z doznaną przemocą. Ta słaba kondycja psychiczna ofiar jest wykorzystywana w sądzie przez sprawców przemocy.

Należy też podkreślić, że sędziowie szkoleni są jedynie z teorii alienacji rodzicielskiej. Gdy do sądu trafia tata twierdzący, że nie ma kontaktu z dzieckiem, sędzia od razu wie, że dochodzi do „alienacji”. Gdy ofiara próbuje się bronić i przedstawiać swoje racje, wspomina o przemocy, ▶

► sędzia dochodzi do wniosku, że jest rodzicem niewspółpracującym, odpowiedzialnym za złe stosunki oprawcy z dzieckiem. Na skutek odmowy spotkania dziecka z rodzicem zasądzone są wysokie kary, niezależnie od przemocy wciąż doznawanej przez dziecko i kobietę w trakcie kontaktów. I bardzo szybko dziecko

przyszło się nam zmierzyć, jest otrućie małego chłopca na sali zabaw przez ojca. Ten chłopiec mówił, że bał się stać z tatą (działo się to jakiś czas wcześniej) na dachu wieżowca we Wrocławiu, niestety sąd pozostał niewzruszony wobec tego nagrania, nieugięty sędzia zobowiązał syna do kontaktu ze swoim przyszłym mor-

– Jakiś czas temu mieliśmy przyjemność poznać się i rozmawiać z rzecznikiem praw obywatelskich Marcinem Wiąckiem. Obecnie RPO to jedyny organ państwa, który rozumie problem i jednocześnie jedyny, który wyklucza pojęcie alienacji i nawet w rozmowie nie używaliśmy tego słowa. RPO wystosował list do Ministerstwa Sprawiedliwości zalecający powstrzymanie się od używania koncepcji tzw. alienacji rodzicielskiej lub równoważnych, według których matki mówiące o przemocy ze strony ojca dziecka są uznawane za niewspółpracujące lub winne złych relacji ojca z dzieckiem. Niestety, mimo tej korespondencji ministerstwo nie podjęło działań w tym zakresie. Jedyne zaś, co mogę powiedzieć o RPD, to że jest zwolennikiem teorii alienacji i działa na rzecz nakładania kar za rzekome niewykonywanie kontaktów.

Anna Stachowiak

* Anna nie używa w mediach nazwiska, obawia się zemsty mężczyzn z fanatycznych grup zrzeszających ojców.

Petycja w sprawie wycofania pojęcia alienacji rodzicielskiej nadal oczekuje na rozpatrzenie.

jest matce odbierane. Aby mogło nawiązać relacje z rodzicem, którego wskazało jako osobę stosującą przemoc. Tak działa teoria alienacji wymyślona przez obrońcę pedofilów w sądach. Obecnie sądy postępują według tego schematu.

Malujesz przerażający obraz systemu, który zamiata przemoc pod dywan i nie daje wiary jej ofiarom. To prowadzi do tragedii, które w statystykach widnieją jedynie jako liczby.

– Najsmutniejszą i zarazem najbardziej drastyczną sprawą, z którą

dercą. I kto pozostał z traumą do końca życia? Czy odpowiedział za to sąd? Czy odpowiedział za to kurator obecny przy kontaktach? Dziecko straciło życie, a z traumą pozostała matka i do dziś przechodzi katusze, a sąd nawet nie przeprosił za tak nieodpowiedzialne decyzje. I gdzie w tym kraju można szukać sprawiedliwości? Czy dziś ktoś jeszcze pamięta o mamie i dziadkach tego dziecka?

Czy w takie sprawy angażują się rzecznik praw obywatelskich i rzecznik praw dziecka?



wishsurfing

Które marzenie wybierzesz?

Wybierz i pomóż spełnić marzenie chorego dziecka, podopiecznego Fundacji Dziecięca Fantazja.

wishsurfing.pl



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Chile

Minęła kolejna rocznica zamachu wojskowego w Chile (11 września 1973 r.). Niezauważona, a szkoda. Zamach warto przypominać, a losom Chile się interesować. W wyniku zamachu na prawowite, wybrane demokratycznie władze tego kraju, z prezydentem Salvadorem Allende na czele (zginął w czasie zamachu, najprawdopodobniej popełniwszy samobójstwo), władzę przejęła junta. Przypomnijmy, że Allende był umiarkowanym politykiem lewicowym, żadnym ekstremistą; pragnął wprowadzić w Chile reformy socjaldemokratyczne, stosując zresztą bardzo nowoczesne środki (cybernetyka). Zamach został przygotowany przy współudziale CIA. Tyle fakty. Co było potem? Wieloletnie rządy gen. Augusta Pinocheta, zbrodniarza i złodzieja, który wymordował zwolenników starego porządku, a przy okazji nakradł ile wlezie, co wyszło na jaw wiele lat potem.

Dwie rzeczy są dla mnie najciekawsze. Pierwsza to rola Stanów Zjednoczonych. Zamach w Chile był kolejnym przejawem ich błędnej, fatalnej w skutkach polityki wobec Ameryki Południowej. Trudno się dziwić, że Amerykanie są tam znienawidzeni, a ich dzisiejsza słuszna postawa wobec wojny w Ukrainie nie znajduje poklasku z prostego powodu: jeśli coś lub kogoś popiera ją Amerykanie, musi to być

z definicji złe. Nawiasem mówiąc, na podobną opinię zasłużyli sobie Amerykanie także w Azji i Afryce. Dziś cynicznie wykorzystuje ten fakt Rosja Putina, mianując się obrońcą interesów skrzywdzonego przez USA (i generalnie Zachód) tzw. Trzeciego Świata. I niestety jej skuteczność w tym względzie to nic innego jak rewers niemądrej polityki Amerykanów, którzy dla realizacji swoich wątpliwych interesów (obrony przed wyimaginowanym komunizmem lub po prostu korzyści materialnych najbardziej nieetycznych i bezwzględnych korporacji) zepsuli sobie stosunki z wieloma krajami na świecie. Trudno tutaj się spodziewać jakiegś rychłej zmiany, tym bardziej że interwencja w Iraku jedynie utrwaliła ten fatalny obraz Ameryki w sporej części świata.

Druga sprawa, nader symptomatyczna, to rola Chile we wprowadzeniu wieloletniej hegemonii neoliberalizmu ekonomicznego. Pinochet dał wolną rękę swoim ekonomistom, którzy, wykształceni w kuźni neoliberalnych kadr – University of Chicago (stąd ich późniejsza nazwa – Chicago boys), wprowadzili w życie jego zasady. Warto skądinąd przypomnieć, że główny przedstawiciel owej szkoły, Milton Friedman, okrył się hańbą, otwarcie wspierając

Pinocheta, co stawia w kiepskim świetle jego licznych polskich wyznawców (został słusznie wygwizdany, gdy w 1976 r. odbierał Nagrodę Nobla z ekonomii). I to nie tylko ekonomistów. Warto przypomnieć (nie)sławną wyprawę trzech polskich prawicowców, którzy wręczyli zatrzymanemu przez Brytyjczyków Pinochetowi ryngraf z Matką Boską. Litościwie spuśćmy zasłonę milczenia na ich nazwiska (zwłaszcza że jeden z nich właśnie zmarł).

Z przeklętym dziedzictwem neoliberalizmu, dla którego Chile okazało się swoistym laboratorium, kraj ten zmaga się do dzisiaj, co wzięwszy pod uwagę upływ czasu od upadku Pinocheta (ponad 30 lat), jest czymś niezwykłym. Pokazuje to, jak trudno się pozbyć widma neoliberalizmu, jak długo może straszyć jego truchło. Nawet bowiem wtedy, gdy nieomal wszyscy – jak dziś – zgadzają się, że był on ślepą uliczką, jego wątpliwe dziedzictwo trwa. Przykładem jest chilijska reforma emerytalna, która okazała się społeczną katastrofą, a której pomimo wieloletnich wysiłków nie udało się unieważnić. Tu przypomnijmy, że nasza reforma emerytalna by-

ła wzorowana na chilijskiej. Co więcej, Polska stała się obok Chile krajem, w którym zasady neoliberalnej filozofii ekonomii próbowano wprowadzić w życie najbardziej konsekwentnie.

Na szczęście, inaczej niż w Chile, sukces polskich neoliberalistów okazał się połowiczny. Gdyby było inaczej, mielibyśmy pewnie, tak jak tam, powtarzające się wybuchy niezadowolenia społecznego z całkowicie sprywatyzowanej służby zdrowia, edukacji czy transportu (w Chile wszystko jest w prywatnych rękach). Chwalić trzeba siły najwyższe, że nie dopuścili do tego, aby główny projektant naszych reform i wielki wyznawca neoliberalizmu Jeffrey Sachs zrealizował wszystkie swoje szalone pomysły z lat 80. XX w., np. prywatyzację usług komunalnych takich jak dostarczanie wody (za jego poduszczeniem zrobił tak rząd Boliwii, z opłakanymi rzecz jasna skutkami). Wystarczy przypomnieć, że jego doradztwo rządowi Rosji skończyło się katastrofą ekonomiczną i społeczną tego kraju w latach 90., której niewątpliwym skutkiem ubocznym jest dzisiejsze przyzwolenie na zbyt wielką rolę państwa w ekonomii i życiu społecznym (abstrahując od historii Rosji, która takiemu biegowi rzeczy zawsze sprzyjała). W tej perspektywie na ironię zakrawa fakt, że dziś Sachs chce uchodzić za socjaldemokratę, troszczącego się o los ubogich w USA i o walkę z nędzą na świecie. Bezwstydyk. ■

Doradztwo Jeffreya Sachsa rządowi Rosji skończyło się katastrofą ekonomiczną i społeczną tego kraju w latach 90. XX w.



Na warszawskich Powązkach Wojskowych odbył się pogrzeb Jerzego Urbana. W ceremonii wzięli udział m.in. Aleksander Kwaśniewski, Adam Michnik, Marian Turski, Olga Lipińska i Katarzyna Grochola. Jerzego Urbana żegnało kilkuset sympatyków i garstka demonstrantów.





FOT. KRZYSZTOF ZUCZKOWSKI



Marek Czarkowski

Tak przywykliśmy do komfortu, że większość z nas nie myśli o tym, jak bardzo jesteśmy od niego uzależnieni. Samochód, oświetlenie, ogrzewanie, bieżąca woda, czajnik elektryczny, kuchenka mikrofalowa, pralka, komputer, smartfon i tysiące innych urządzeń sprawiają, że nasze życie jest wygodniejsze. A brak możliwości korzystania z tych gadżetów odbieramy jako apokalipsę.

Nadeszła ona 24 lutego br., gdy Rosjanie zaatakowali Ukrainę. Tamtego dnia zniknął przyjazny i bezpieczny świat, w którym żyliśmy. Skończyła się globalizacja, jaką znaliśmy. Każdy kraj zaczął energicznie dbać o swoje interesy, nie licząc się z sąsiadami. A w handlu międzynarodowym to, co wydawało się normalne, zaczęło być postrzegane jako groźna patologia.

„Rosyjski gaz był jak narkotyk – dealer też sprzedaje swoje produkty tanio, żeby uzależnić swoje ofiary”, mówił premier Mateusz Morawiecki 6 października w Pradze podczas spotkania Europejskiej Wspólnoty Politycznej. Przy okazji rytualnie przyłożył Niemcom. „Nie może być tak, żeby ich interes wyznaczał cenę gazu dla wszystkich”, grzmiał nasz premier.

I pomyśleć, że w roku 2018 za 1 tys. m sześć. gazu ziemnego Berlin płacił Gazpromowi 192 dol. Dla porównania – Polska płaciła 197 dol., Czechy – 190, Austria – 208, Włochy – 207, a Węgry – 203 dol. Rzecz jasna,

Amerykanie, którzy pod koniec XX w. mieli własne fabryki układów scalonych, zamknęli je, gdyż taniej było zaopatrywać się na Dalekim Wschodzie.

politycy Prawa i Sprawiedliwości uważali, że to i tak było za dużo. A Putin nas grabił z pomocą niemieckich polityków, którzy już dawno z nim się zwąchali, na naszą zgubę.

Gdy w sierpniu tego roku cena 1 tys. m sześć. gazu w holenderskim hubie TTF przekroczyła 3 tys. dol., Europie zajrzało w oczy kryzys gospodarczy, jakiego jeszcze nie widziała.



Kryzys globalizacji i czas niepewności

Surowce energetyczne, układy scalone, lekarstwa – nie tylko od tego jesteśmy uzależnieni. I to nas ciągnie na dno

I choć dzięki dostawom amerykańskiego skroplonego gazu cena bękitnego paliwa spadła poniżej 2 tys. dol., widmo recesji nadal krąży nad Starym Kontynentem. To oczywiście efekt uzależnienia od dostaw rosyjskiego gazu, którego dziś Kreml nie chce i nie może sprzedawać Europie.

Paryż, Londyn, Berlin i Warszawa już wiosną zaczęły energicznie zabiegać o dostawy z alternatywnych źródeł. Z Kataru, Algierii, Norwegii,

i świetlaną przyszłość. Dzięki globalizacji handel światowy miał osiągnąć wyżyny, a ludziom miało się żyć o wiele lepiej. To, czy towary produkowane były w Chinach, Wietnamie, czy Indonezji, nie miało żadnego znaczenia. Ważne, by były tanie i powszechnie dostępne.

Na rynku surowców energetycznych Arabia Saudyjska, Katar, Zjednoczone Emiraty Arabskie i Rosja uchodziły za solidnych dostawców. Przez dekady sprzedawały ropę naftową i gaz po niskich cenach. Dzięki temu kraje Zachodu mogły rozwijać swoje gospodarki i bogacić się. Skala wzajemnego uzależnienia była ogromna.

Pod koniec XX w. bogate kraje Zachodu ostatecznie uzależniły się od gospodarki chińskiej. Państwo Środka stało się „fabryką świata”, produkując tanio wszelkie dobra konsumpcyjne. W krajach takich jak Wielka Brytania w związku z przeniesieniem produkcji na Daleki Wschód, a co za tym idzie likwidacją całych gałęzi przemysłu, zaczęto mówić o dezindustrializacji. Zjawisko to, nawet

Stanów Zjednoczonych, a nawet Chin. Apele o wspólne europejskie zakupy gazu na razie skończyły się niczym. A to dopiero początek.

Przerwane łańcuchy dostaw

Globalizacja – niegdyś oznaczała międzynarodową współpracę, wzrost gospodarczy, dobrobyt

w większym stopniu, dotknęło również Stany Zjednoczone.

Ten sprawnie działający układ na początku XXI w. zaczął powoli ulegać erozji. Najpierw Amerykanie zauważyli, że Chiny nie tylko stały się gospodarczą potęgą, ale mają też ambicje odgrywania roli co najmniej lokalnego mocarstwa. Waszyngton

– „zwiększania mocy produkcyjnej półprzewodników w Chinach”.

Także Unia Europejska chce zachęcić światowych producentów mikroprocesorów do inwestowania na naszym kontynencie. Oferuje liczone w miliardach euro dotacje. Jeśli europejski przemysł ma być konkurencyjny, nie może być zbyt

konfliktu zbrojnego jest dla europejskiej gospodarki niezwykle ryzykowne. Świetnym przykładem są rosyjsko-niemieckie interesy gazowe.

Uzależnienie Berlina od dostaw rosyjskiego gazu pozwoliło Niemcom przez lata świetnie zarabiać i przestawić się z energetyki węglowej na czystsza energetykę gazową. Zakładano, że do połowy XXI w. elektrownie węglowe i atomowe zostaną zastąpione odnawialnymi źródłami energii i być może elektrowniami termojądrowymi. W okresie przejściowym elektrownie gazowe miały nie tylko dać niemieckiemu przemysłowi bezpieczeństwo, ale również zapewnić dostawy prądu po niskiej cenie. Ten scenariusz wydaje się nieaktualny.

W tym roku Niemcy nie zgodzili się na uruchomienie Nord Stream 2, następnie Rosjanie mocno ograniczyli dostawy gazociągami Nord Stream 1, by w końcu „z przyczyn technicznych” całkowicie je wstrzymać. Pod koniec września nieznani sprawcy wysadzili jeden i drugi gazociąg. I gdyby nawet obie strony chciały wznowić dostawy, nie mogą tego zrobić. Kanclerz Olaf Scholz musi szukać nowych dostawców gazu, a to niełatwe zadanie. Dlatego tej zimy Niemcom przyjdzie pogodzić się z zaciemnieniem Berlina

Uzależnienie od rosyjskich surowców energetycznych przyjdzie zastąpić uzależnieniem od dostawców z Afryki Północnej i Zatoki Perskiej.

uznać, że to nie Moskwa, ale Pekin zagroża interesom Stanów Zjednoczonych na świecie.

Gdy w roku 2020 świat ogarnęła pandemia COVID-19, Europa z przerażeniem odkryła, że zabrakło jej maseczek chirurgicznych, gdyż produkowane one były w Chinach. I by je zdobyć, rządy kilku krajów – w tym Polska – zaangażowały służby specjalne.

Europejski przemysł samochodowy niemalże z dnia na dzień stanął wobec braku układów scalonych, bez których nowoczesny pojazd nie zjedzie z linii produkcyjnej. A układy te produkowano w Chinach. Gdy tamtejsze fabryki zostały przejściowo zamknięte z powodu pandemii, europejskim producentom pozostało zacisnąć zęby i czekać. Amerykanie, którzy pod koniec XX w. mieli własne fabryki układów scalonych, zamknęły je, gdyż taniej było zaopatrywać się na Dalekim Wschodzie.

W 2021 r. w Waszyngtonie zaczęto mówić o potrzebie uniezależnienia się od chińskich dostawców. W sierpniu br. prezydent Biden podpisał ustawę CHIPS and Science Act, która ma na celu wzmocnienie amerykańskiego łańcucha dostaw półprzewodników oraz promowanie badań i rozwoju zaawansowanych technologii. Tylko na programy badawczo-rozwojowe Stany Zjednoczone planują wydać 170 mld dol. 52,7 mld dol. ma zostać przeznaczona na wsparcie firm, które zainwestują w produkcję mikroelektroniki. Jeden z warunków mówi, że jeśli firma skorzysta z pomocy rządowej, będzie musiała przez 10 lat powstrzymać się od – jak to określono

uzależniony od chińskich czy amerykańskich dostawców. Co ważniejsze, wojna w Ukrainie dowiodła, że armia dysponująca najnowocześniejszym uzbrojeniem jest w stanie skutecznie przeciwstawić się silniejszemu przeciwnikowi. Dlatego na rozwoju mikroelektroniki nikt nie będzie oszczędzał.

Drony, systemy rozpoznania, inteligentna amunicja, noktowizory, radiostacje polowe, dosłownie wszystko, z czym żołnierz ma do czynienia, jest nasycone najnowocześniejszą elektroniką. By ją mieć, trzeba ją zaprojektować, wyprodukować i wdrożyć.

O ile Niemcy, Francuzi, Brytyjczycy, Norwegowie czy Szwedzi potrafią wytwarzać nowoczesne uzbrojenie,

Europejskie przedsiębiorstwa w wyniku kryzysu energetycznego tracą konkurencyjność w konfrontacji z firmami chińskimi i indyjskimi.

o tyle np. my mamy z tym poważny problem. W dziedzinie obronności jesteśmy uzależnieni od producentów amerykańskich, do których ostatnio dołączyli południowi Koreańczycy ze swoim czołgiem K2 Black Panther. Nasz przemysł nie jest w stanie wyprodukować porządnego czołgu. Tak jak nowoczesnych układów scalonych, zaawansowanej elektroniki czy nowych leków. I to się nie zmienia.

Koniec dobrobytu

Uzależnienie od dostaw surowców energetycznych w warunkach toczącego się za naszą granicą

i innych wielkich miast. Z obniżeniem temperatury w mieszkaniach i być może z planowanymi wyłączeniami prądu dla przemysłu oraz odbiorców indywidualnych.

Mówimy o najbogatszej europejskiej gospodarce, która na skutek wojny w Ukrainie i kryzysu energetycznego znalazła się w bardzo trudnej sytuacji. Dlatego rząd niemiecki zaproponował ostatnio pakiet ratunkowy wart 200 mld euro. Pieniądze te mają trafić do przedsiębiorstw i pomóc im przetrwać najbliższe miesiące. A ponieważ wszystkie europejskie rządy sięgają po dodatkowe środki, by ratować swoje ►

► gospodarki przed kryzysem, można chyba mówić o daleko idącym uzależnieniu od rozdawnictwa.

Pompowanie gotówki – w Polsce w formie tarcz antykryzysowych – prowadzi do tego, że kolejne grupy zaczynają domagać się finansowego wsparcia. O ile na razie pakiety ratunkowe działają, o tyle jutro mogą się okazać zabójcze dla gospodarek. Przy czym uwolnienie się od podobnego uzależnienia jest zawsze niezwykle bolesne. Jeśli nie zrobi się tego w odpowiednim czasie, Europę może czekać koniec ery dobrobytu.

Utrata rynków zbytu

Jeśli prawdą jest, że Gazprom spisał Europę na straty i zamierza zbudować gazociąg Siła Syberii 2 oraz Sojuz-Wostok, które dodatkowo połączą Rosję z Chinami, może to oznaczać kłopoty dla Starego Kontynentu. Uzależnienie od rosyjskich surowców energetycznych przyjdzie zastąpić uzależnieniem od dostawców z Afryki Północnej

i Zatoki Perskiej. Przyjdzie też dogadać się z Iranem i Wenezuelą, choć dziś oba te kraje obłożone są sankcjami i popierają Rosję. Regiony, z których Europa chce sprowadzać ropę naftową i gaz, są politycznie niestabilne. W Afryce Północnej działają islamscy radykałowie. Jeśli urosną w siłę, trzeba będzie interweniować zbrojnie w obronie swoich interesów.

Dramat Europy polega na tym, że nasz kontynent jest ubogi w surowce. Węgla pod dostatkiem mają tylko Polska i Ukraina. Przy czym – dosłownie – nad ukraińskimi złożami toczą się działania wojenne.

Europa uzależniona jest nie tylko od dostawców surowców energetycznych i takich produktów jak substancje czynne niezbędne w farmacji bądź układy scalone wykorzystywane przez koncerny motoryzacyjne. Nasz kontynent jest zależny także od rynków zbytu. Tymczasem europejskie przedsiębiorstwa w wyniku kryzysu energetycznego niemalże z dnia na dzień tracą konkurencyjność w konfrontacji z firmami chińskimi i indyjskimi. Te dwie wielkie gospodarki korzystają m.in. z możliwości zakupu rosyjskiej ropy naftowej z 30-procentowym upustem.

Nasz przemysł nie jest w stanie wyprodukować porządnego czołgu. Ani nowoczesnych układów scalonych, zaawansowanej elektroniki czy nowych leków. I to się nie zmienia.

Ropy naftowej i gazu ziemnego nie mamy zbyt wiele. Musimy sięgnąć po alternatywne rozwiązania, by nie uzależnić się nadmiernie od państw, które mają tych surowców pod dostatkiem.

Ale o tym się nie mówi. Jakby poszukiwania nowoczesnych technologii mogących zastąpić klasyczne źródła energii utknęły w miejscu. Być może to złudzenie, a prace trwają. Tak czy inaczej, na efekty będziemy musieli czekać wiele lat.

Unijne programy dotyczące transformacji energetycznej zakładały, że w połowie XXI w. gospodarka stanie się neutralna klimatycznie, czyli będzie miała zerową emisję gazów cieplarnianych. Nie wydaje się to realne, gdyż jesteśmy świadkami powrotu do tradycyjnych „brudnych” paliw. Tej zimy w Polsce będzie można palić w piecach węglem brunatnym, co oznacza, że do atmosfery trafi ogromna ilość zanieczyszczeń. Rząd zadbał, by prawo zostało odpowiednio zmienione. Jak widać, Polacy są wręcz uzależnieni od kopciuchów. Wkrótce może się okazać, że nie tylko my, ale i Niemcy, Brytyjczycy czy Francuzi. Przy czym problemy z zanieczyszczeniem środowiska mogą się stać marginalne wobec problemów gospodarczych.

Europejskie rafinerie, przynajmniej oficjalnie, kupują mniej, lecz Chiny i Indie nie są niczym ograniczone i ich import surowców energetycznych z Rosji radykalnie wzrósł. Nawet Arabia Saudyjska kupuje dzisiaj rosyjską ropę. Wydaje się, że Rijad chętniej współpracuje z Moskwą niż z Waszyngtonem. Dowodem może być deklaracja krajów OPEC o zmniejszeniu dziennego wydobycia ropy o 2 mln baryłek. Przy niższym wydobyciu kraje te będą mogły zarobić więcej, bo cena baryłki ropy z pewnością wzrośnie. A to jeszcze pogorszy konkurencyjność firm europejskich. I przełoży się na wzrost inflacji.

Trudno wskazać historyczny moment – pomijając dwie wojny światowe – w którym nasz kontynent znalazłby się w równie dramatycznej sytuacji. Narastające problemy gospodarcze, wszechobecna niepewność i lęk przed zimowymi miesiącami oraz brak perspektyw na przyszłość wpędzają w przygnębienie. Nic dziwnego, że uzależnieni od dobrobytu Europejczycy ratują się wisielczym humorem.

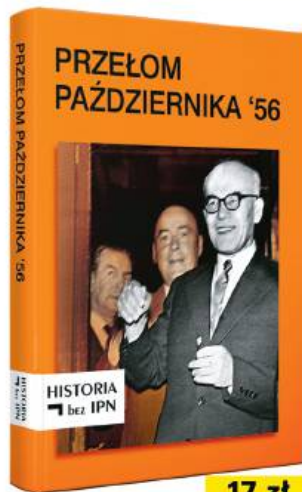
Francuz pyta kolegę:

– Jaka jest różnica między Titaniem a Unią Europejską?

– Kiedy Titanic tonął, miał prąd.

Marek Czarkowski

PRZEGLĄD poleca



17 zł 47 zł

Zamów książkę
na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**
lub wpłać na konto:

72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

Wysyłka **GRATIS**
listem nierejestrowanym Poczta Polska

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Poezja i polityka

Intensywne dni. Impreza poetycka o osobliwej nazwie Festiwal Poezji Słowiańskiej, w Czechowicach-Dziedziicach, obok Bielska-Białej. Mam teraz takie poetyckie tygodnie, chociaż od jakiegoś czasu jestem bardziej prozaikiem niż poetą. Ale poezja jest siłą mojej prozy, jeśli ona ma w ogóle jakąś siłę. Złot poetów z całej Polski, przybywają częściowo na swój koszt. To zwykle trzecia liga poetycka lub nawet liga okręgowa, ale ileż pasji, ile wiary we własną wielkość. I wszyscy mają na sercu tomiki wydane za własne pieniądze. Nie kpię z tego i nie chcę się wywyższać, to jest piękna pasja. A poezja, jak wiadomo, nie mieści się w definicji, od kiedy wiersz stracił rym, rozmyły się kryteria. Kiedyś rym przynajmniej ujawniał rzemiosło, to była jakaś miara. Teraz każdy może się czuć kandydatem do Nagrody Nobla.

Byłem gościem specjalnym na tej tłumnej imprezie, miałem wieczór autorski. Poza tym spotkania w różnych miejscach, też w pobliskim Bielsku z uczniami. Na innych spotkaniach już byliśmy wyspą osobną. Nie przychodzili ludzie z miasta, nie wiedzieli, nie chcieli, ale ta poetycka grupa jest samożywna. Byłem kiedyś na podobnej imprezie w Sieradzu. W Czechowicach od 10 lat organizatorem jest Ryszard Grajek, kiedyś biznesmen, teraz poeta, wyglądem i zachowaniem przypomina artystycznego ekscentryka z XIX w. Prowadziła ze mną spotkanie znajoma poetka Agnieszka Herman. To dzięki niej, z natury tak serdecznej, mój pobyt w Czechowicach nabrał czułych rumieńców.

W czasie czytania wierszy ktoś nagle wchodzi na salę i ogłasza, że doszło do zamachu na most Krymski. Znak, jak ważna jest dla nas ta wojna, ile emocji budzi. Ukraińcy odbijają kolejne tereny na wschodzie, to jest niezwykle, ale przecież trudno być optymistą na długą metę. Rosja ma ogromne zasoby i wiele szaleństw. I chociaż trudno sobie wyobrazić wojnę światową, a więc zagładę świata, gdzieś to majączy na horyzoncie. Wojny światowe wybuchają z mniejszych powodów. Rosjanie mszczą się za most i bombardują ukraińskie miasta. Ilekroć tajdactwo Rosji się natęży, jakby maleje tajdactwo PiS, a potem znowu rośnie; to tak faluje, osobliwe zjawisko.

Nie milkną echa śmierci Jerzego Urbana. Pisałem, że nie mam już wobec niego złych uczuć, co mnie zresztą dziwi. Zaskakuje jednak, ilu ludzi Urbana teraz chwali i pisze o nim serdecznie. Michnik poszedł na ten pogrzeb. A jednak niesmak. Kiedy Michnik siedział, Urban się tajdaczył podłym słowem. Niezwykle zjawisko to wyparowanie emocji, wysychanie jadów z biegiem lat. Ludzie,

których byliśmy zdolni zamordować, stają się nam choćby obojętni. Urban był taką osobliwością, wyglądał kuriozalnie, bardzo dobrze pisał, sączył inteligentnie ironiczne słowa. Uważał, że życie jest tylko grą, a moralności nie ma. Oczywiście opluwa go tzw. prawica, ale oni opluwają wszystko, co nie jest ich, tak mają. A co do cynizmu Urbana, to znamienne, że cynicy są groźni i złowrodzy, gdy nie ma demokracji, w demokracjach nie mają gleby dla swojego cynizmu. W naszej półdemokracji mnożą się na potęgę, na ogół jednak nie są złowrodzy, bo jeszcze nas nie zamyka się i nie morduje. Na cyników czekają posady, spółki skarbu państwa, zaszczyty, nawet orły białe. Cynik w takiej półdemokracji jest obrzydliwy, ale nie jest złowrogi.

Mateusz Morawiecki podczas przemówienia w Madrycie na wiecu skrajnie prawicowej partii Vox potężnie nabredził. Stwierdził: „Biurokraci brukselscy rozszerzają

Jakie wartości niesie PiS, widzimy na co dzień. Zatechły zaścianek, niekompetencję, nepotyzm, złodziejstwo, podłe kłamstwo.

swoje kompetencje bez jakichkolwiek podstaw traktatowych, nie możemy na to pozwolić, w ten sposób będą w stanie tak naprawdę stworzyć transnarodową bestię bez faktycznych i tradycyjnych wartości, bez dusz”. I dodał, że przez lata była prowadzona „cicha wojna w Europie przeciwko wartościom”. Jakie wartości niesie PiS, widzimy na co dzień. Zatechły zaścianek, niekompetencję, nepotyzm, złodziejstwo, podłe kłamstwo.

W pociągu do Warszawy znowu mam miejsce przy stoliku, wagon nieprzepełniony, luksus. Rozmawiam z miłą znajomą, czytam „Przegląd”, „Politykę” i „Dzienniki” Klemperera. Jedzie z nami w pobliskim wagonie X, też poeta, ale ma w sobie coś odmiennego, jakby zakalcowanego, i ten znaczek z polską flagą wpięty w marynarkę. Ten znaczek od razu wydał mi się podejrzanym. Przysiada się, jego gadanie zdaje mi się spiskowe, a kiedy mówię z jakiejś okazji do znajomej, że oglądam w telewizji tylko „Fakty”, patriocie spada twarz jak maska. W popłochu zakłada ją na swoje miejsce. Zamilkł i zrobił się jakiś nieswój. Pisowiec. Biedak jest z innego stada, a przybłąkał się do stada poetów, którzy z istoty poezji są raczej liberalni.

Stadiony na krwi i pieniądzach

Katar organizuje najdroższy mundial w historii imprez sportowych

Jakub Katulski

Niemale zamieszanie w sportowym świecie wywołała decyzja firmy Hummel, sponsora duńskich piłkarzy, o tym by logotypy na strojach były stonowane, niemal wtapiały się w czerwień i czerń ubrań. Powodem takiego działania, mającego sprawić, że nazwa marki będzie prawie niewidoczna podczas ruszającego w przyszłym miesiącu mundialu w Katarze, jest sprzeciw firmy wobec organizacji turnieju w kraju, który ma dość kontrowersyjne podejście do praw człowieka i bezpieczeństwa w miejscu pracy.

Hummel przede wszystkim chce zwrócić uwagę na liczbę zgonów pracowników, którzy budowali w Katarze obiekty sportowe, drogi i hotele, mające za chwilę przyjąć około miliona kibiców obserwujących zmagania ich narodowych drużyn. Według analizy brytyjskiego dziennika „Guardian” do początku ubiegłego roku w miejscach pracy miało zginąć aż 6,5 tys. pracowników, którzy do emiratu przybyli z Indii, Pakistanu, Nepalu, Bangladeszu i Sri Lanki. Gazeta zaznacza jednak, że rzeczywista liczba może być o wiele wyższa, gdyż analiza została oparta na danych z ambasad powyższych krajów, a do Kataru za pracę w ostatniej dekadzie, odkąd dostał szansę organizacji turnieju, przyjeżdżali także obywatele innych państw. Nie wszyscy przy tym pracowali fizycznie czy w miejscach obciążonych ryzykiem wypadku przy pracy.

Rząd Kataru broni się i twierdzi, że dane „Guardiana” są nieprawdziwe i wprowadzają w błąd opinię publiczną. Wiele wymienionych osób pracowało w tym kraju od lat i mogło umrzeć choćby przez zaawansowany wiek lub z innych przyczyn naturalnych. Takie tłumaczenie wobec liczb idących w tysiące może się wydawać

wręcz beczelne. Co więcej, rząd twierdzi, że jedynie 37 osób zginęło przy budowie stadionów od 2014 do 2020 r. i tylko trzy zgony były skutkiem wypadków w miejscu pracy.

Światowa Organizacja Pracy również nie jest przekonana co do tłumaczeń Ad-Dauhy i uważa, że statystyki są znacznie niedoszacowane. Tym bardziej że Katar nie uznaje zawałów serca czy udarów cieplnych za zgony wynikające z warunków, w jakich pracownicy budują obiekty. A w temperaturach, które latem w ciągu dnia przekraczają 40 st. C, nocą spadając zaledwie poniżej 30 st. C, przy wykonywaniu ciężkiej pracy fizycznej robotnikom groziły poważne komplikacje zdrowotne, a nawet śmierć. Wysokie temperatury były zresztą powodem tego, że mundial w tym roku odbywa się późną jesienią, a nie

turniej ma wstrzyknąć jedynie 17 mld dol. do katarskiego budżetu. Chce zaprezentować światu swoją transformację z kraju, który kilka dekad temu opierał się na przemyśle połowiania pereł, w nowoczesny hub dla świata.

Mieszko Rajkiewicz z Instytutu Nowej Europy zauważa, że jest kilka powodów, dla których Katar chce dokonać takiej prezentacji: „Pierwszy, nieco umykający uwadze – Katarczyści chcą przede wszystkim wypromować turystycznie kraj. Nie możemy o tym zapominać, ale zależy im na umieszczeniu swojego kraju w globalnej świadomości turystycznej i organizacja mundialu w teorii ma w tym pomóc. Szacują, że do 2030 r. będą przyjmować 7 mln turystów rocznie, więc infrastruktura zbudowana na mistrzostwa (hotele, rozbudowane lotnisko, metro, porty) ma zostać i pomóc

Tak kosztowna impreza sportowa pokazuje, że FIFA żegna się już z robotniczymi korzeniami piłki nożnej.

latem, jak zazwyczaj. Obawa o samopoczucie kibiców i piłkarzy okazała się ważniejsza niż warunki pracy ekipy potrzebnej, by zapewnić Katarowi i FIFA ogromne przychody. Dlatego organizatorzy gotowi są pokryć najwyższe w historii koszty, szacowane na 220 mld dol. To szokująca kwota, gdyż mundial organizowany cztery lata temu w Rosji kosztował 11,6 mld, a dotychczasowym rekordem było 15 mld wydane na turniej w Brazylii w 2014 r.

Katar zainwestował nie tylko w stadiony (przeznaczone na nie 10 mld zdaje się tonąć w całościowej kwocie) i bazę hotelową. Duża część wydatków to inwestycje, które mają zwinąć proces przekształcania niewielkiego emiratu nad Zatoką Perską w światowe centrum biznesowe, sportowe i logistyczne. Ad-Dauha nie oszczędza, choć według ekspertów

w funkcjonowaniu z dużą liczbą turystów. Ale dwa kolejne powody są ważniejsze. Jeden to wykorzystanie mundialu do zbudowania międzynarodowej pozycji politycznej w tym niestabilnym regionie. Dzięki organizacji MŚ Katar zyskał spore gwarancje bezpieczeństwa, co miało odzwierciedlenie w okresie jego dyplomatycznej izolacji przez koalicję państw Bliskiego Wschodu z Arabią Saudyjską na czele w latach 2017-2021. Katar wykorzystuje też organizację mundialu do nawiązania relacji wielostronnych – mecze to okazja do spotkań z głowami państw, można w tym czasie ugrać bardzo dużo. Drugi powód to próba poprawy własnego wizerunku. I o ile trudno o jego poprawę w Europie Zachodniej, o tyle wśród wielu państw Azji czy Afryki to już jest skuteczne działanie, mimo wielu kontrowersji związanych z tym mundialem”.



FIFA jednak liczy głównie potencjalne zyski, szacowane na 3 mld dol. Już po pierwszej fazie sprzedaży biletów organizacja szczyła się, że sprzedano ich ponad 800 tys. A przecież bazowe ceny biletów dla kibiców zagranicznych są najwyższe w historii mistrzostw świata w piłce nożnej. Najtańsze bilety na mecze grupowe zaczynają się od 250 riali katarskich (niecałe 350 zł), przy założeniu, że kupującego zadowolili miejsce w nieco gorszych sektorach. Ceny tych najlepszych zaczynają się od 800 riali (1,1 tys. zł), a kończą na 5850 rialach za mecz finałowy (ponad 8 tys. zł). Oczywiście zupełnie inne są koszty pakietów VIP, które sięgają tysięcy dolarów za oglądanie rozgrywek z luksusowych łóż stadionowych.

Wciąż nie ma głośnego bojkotu imprezy, a uwagę na warunki zwracają głównie organizacje broniące praw człowieka.

Przyjeżdżający na tę imprezę sportową będą musieli jeszcze pokryć koszty związane z noclegami czy żywieniem, co zrozumiałe, gdyż nie można od organizatora oczekiwać, by fundował je klientom. Ci o bardziej zasobnych portfelach będą mogli zanocować w nowo otwartych pięciogwiazdkowych obiektach, ale zwykli fani futbolu mogą spać nawet w wieloosobowych pokojach czy zacumowanych statkach wycieczkowych, płacąc od 85 do 800 dol.

Katarczykom zależy na umieszczeniu kraju w globalnej świadomości turystycznej, a mistrzostwa mają temu pomóc.

za noc. Według Ronana Evaina, dyrektora wykonawczego organizacji kibicowskiej Football Supporters Europe, Katar skupia się na przyciągnięciu bogatszego turysty, choć zwykle większość odwiedzających stadiony to przedstawiciele klasy średniej, jak stwierdził w rozmowie z Agence France Presse.

Tak droga impreza sportowa pokazuje, że FIFA żegna się już z robotniczymi korzeniami piłki nożnej. A w końcu z 12 klubów, które zakładały angielską Football League, pięć pochodziło z miast fabrycznych. Zdaniem Rajkiewicza piłka to wciąż sport

robotniczy, „choć za na pierwszy rzut oka tego nie widać i o tym się zapomina. Futbol w XIX w. i to, co teraz widzimy, to w gruncie rzeczy podobna sprawa. Fenomen polega na tym, że mimo pewnych zmian reguaminowych gra jest bardzo podobna do tego, co oglądali kibice w XIX w. Teraz oczywiście jest zupełnie inny poziom promocji dyscypliny, sprzętu sportowego, świadomości taktycznej, globalizacji piłki nożnej czy komercjalizacji, ale nadal gra 11 ludzi,

nadal jest pewien podział na role na boisku, nadal jest społeczna fascynacja pewnymi drużynami i futbol generuje te same emocje – wygrywa się czasem jedną bramką i równie emocjonalnie końcówkę meczu na styku odbierali kibice w XIX-wiecznej Anglii, jak i dzisiejsi odbierają ją na całym świecie”.

Od lat jednak bilety drożeją i proces ten wypycha ze stadionów przedstawicieli klas niższych. Często argumentem za wyższymi cenami było ograniczenie obecności pseudokibiców i uczynienie piłki nożnej bezpieczniejszym środowiskiem. Nie można całkowicie zanegować skuteczności takiego działania, bo już dzisiaj angielskie stadiony nie są kojarzone wyłącznie z głośnymi chuliganami

i bójkami. Ian Byrne, deputowany brytyjskiego parlamentu z Partii Pracy, i Joe Blott, przewodniczący związku kibiców z Liverpoolu, w maju na stronie internetowej „Tribune” przekonywali, że również zachowania policji wymierzone zostały właśnie w klasę robotniczą. Policjanci będą skorzy do karania kibiców, którzy otworzą piwo w autobusie dowożącym ich na mecz, a jednocześnie w bogatszych miastach Anglii mogą przymknąć oko na łamanie niektórych zasad stadionowych.

Angielski przykład jest jednym z wielu, ale mundial organizowany w Katarze z pewnością wpisuje się w proces przekształcania współczesnej piłki nożnej w elitarną rozrywkę. Choć Ad-Dauha chce też załagodzić wizerunek kraju ze sztywnymi regułami prawnymoralnymi. We wrześniu Agencja Reutersa doniosła, że katarskie władze chcą łagodniej traktować takie wykroczenia jak publiczne pijaństwo, zwykle karane wyrokami nawet sześciu miesięcy pozbawienia wolności. Nie ma wciąż oficjalnego potwierdzenia ze strony rządowej, lecz wiele wskazuje, że policja będzie raczej napominała osoby łamiące lokalne prawo. Tak czy inaczej, wiele ambasad przypomina swoim obywatelom w przeddzień imprezy, ▶

► że katarskie przepisy różnią się od europejskich czy amerykańskich i kibice powinni mieć to na uwadze.

Imprezy sportowe takiego formatu zawsze przyciągają uwagę milionów na całym świecie, nie tylko na stadionach, ale i przed ekranami telewizorów w barach czy organizowanych w miejscach publicznych strefach kibica. Świętowanie sukcesów lub nawet efektownych porażek własnych drużyn nie jest wyłącznie rozrywką, daje także poczucie wspólnoty. Trudno jednak oczekiwać, by kibice w listopadzie zastanawiali się, czym okupiony został tegoroczny mundial. Tym bardziej że, choć niektóre miasta we Francji rezygnują z otwierania stref kibica, a duńska federacja piłkarska ustami swojego rzecznika Jakoba Hoyera tłumaczy, że nie chce promować Kataru jako raju turystycznego, więc piłkarzom nie będą towarzyszyły żony i partnerki, wciąż nie ma głośnego bojkotu imprezy, a uwagę na warunki zwracają przede wszystkim organizacje międzynarodowe broniące praw człowieka. Ich głos nie jest jednak dobitny, aczkolwiek Amnesty International i Human Rights Watch domagają się wymuszenia na Katarze wypłaty rekompensat dla pracowników, którzy stracili zdrowie przy przygotowaniu obiektów na mundial.

Na to, by FIFA głośno krytykowała łamanie praw człowieka w Katarze, oczywiście się nie zanoszą. „Nie gryzie się ręką, która cię karmi – zauważa Rajkiewicz. – Katarczyści przed mundialem przekazali FIFA ok. 980 mln dol. Częściowo w ramach dużej umowy transmisyjnej (specjalnie przepłaconej) od telewizji Al-Dżazira, częściowo od rządu Kataru. Dzisiaj te kontrakty są badane przez szwajcarski wymiar sprawiedliwości. Dodatkowo szef FIFA Gianni Infantino obecnie mieszka w Katarze, gdzie osobiście dogląda przygotowań do mistrzostw. Jest po prostu zbyt wiele spraw, w których FIFA jest związana finansowo z Katarem, by otwarcie krytykować nieprzestrzeganie praw człowieka czy prawa pracy w tym kraju”.

W listopadzie odbędzie się więc święto miłośników sportu, ignorujące jednak ogrom cierpienia, na którym zostało zbudowane.

Jakub Katulski

Jakub Katulski

Kiedy w lipcu Joe Biden wracał z podróży na Bliski Wschód, triumfalnie obwieszczono, że Arabia Saudyjska uległa amerykańskiej presji i zgodziła się na zwiększenie produkcji ropy, aby obniżyć światowe ceny surowca. Już wtedy ta informacja nie do końca pokrywała się z rzeczywistością, gdyż Saudowie zgodzili się jedynie na zwiększenie swojej zdolności do produkcji ropy. Mimo to wielu widziało w tej wizycie sukces polityki Bidena. Dzisiaj okazuje się, że o żadnym sukcesie nie może być mowy, polityka Waszyngtonu wobec sojuszników z Półwyspu Arabskiego jest przede wszystkim reaktywna i to nie Biały Dom nadaje ton tym stosunkom.

Ciosem w doniesienia o pozytywnych skutkach wizyty amerykańskiego prezydenta w Dżuddzie, gdzie Biden spotkał się z księciem

2030, w ramach której np. ma powstać futurystyczne miasto Neom nad Morzem Czerwonym, składające się m.in. z dwóch konstrukcji o wysokości przekraczającej 500 m i długości 170 km, nazwanych The Line. Mają one stać się domem dla 9 mln mieszkańców, którzy będą się poruszać po mieście publicznym transportem, a w zasięgu 15-minutowego spaceru mają mieć dostęp do wszystkiego, czego mogliby potrzebować. Miasto ma być całkowicie samowystarczalne, napędzane energią odnawialną. Woda pitna ma być pozyskiwana z instalacji odsalających, a żywność produkowana na miejscu, w co trudno uwierzyć, zważywszy, że dzisiaj Arabia Saudyjska importuje nawet 80% produktów spożywczych. Cały gigantyczny kompleks jest oczkiem w głowie księcia Muhammada. Takie projekty wymagają oczywiście ogromnych nakładów finansowych, które oparte są na zyskach z eksportu ropy.

Saudowie poprzez decyzję o zmniejszeniu produkcji ropy mogą chcieć wpłynąć na listopadowe wybory do Kongresu, grając na osłabienie partii Bidena.

koronnym Muhammadem ibn Salmanem, de facto władcą Arabii Saudyjskiej, okazała się informacja z 5 października. Kraje zrzeszone w kartelu OPEC+, w skład którego wchodzi wszystkie państwa Organizacji Krajów Eksportujących Ropę Naftową oraz 10 innych producentów surowca, w tym Rosja, zapowiedziały, że od listopada zmniejszą produkcję o 2 mln baryłek dziennie. To pierwsze tak duże cięcie produkcji od roku 2020.

Rijad tłumaczy oczywiście, że to decyzja czysto ekonomiczna, a nie polityczna. Jej celem nie jest wcale zbliżenie się do Moskwy. Ministerstwo Spraw Zagranicznych Arabii Saudyjskiej podkreśla, że partnerstwo ze Stanami Zjednoczonymi jest z ich perspektywy strategiczne. Wysokie ceny ropy są na rękę Saudom i samemu księciu Muhammadowi, tym bardziej że kraj próbuje realizować politykę głębokich reform, nazwaną Vision

Zupełnie inaczej sprawę widzą waszyngtońscy politycy. Demokraci od kilku dni prześcigają się w oskarżaniu Rijadu o wrogi wobec Waszyngtonu działania. Tom Malinowski, Sean Casten i Susan Wild z Izby Reprezentantów złożyli propozycję ustawy, która miałaby wycofać z Arabii Saudyjskiej i Zjednoczonych Emiratów Arabskich amerykańskich żołnierzy i systemy obrony przeciwrakietowej, zaznaczając, że decyzja o obciążeniu produkcji ropy to „jasny sygnał, że oni (AS i ZEA – przyp. JK) stanęli po stronie Rosji w jej wojnie przeciwko Ukrainie”. Takie samo stanowisko przedstawił senator Bob Menendez, przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Senatu, wzywając administrację Bidena do zamrożenia wszelkiej współpracy z Rijadem, w tym tej dotyczącej sprzedaży uzbrojenia, od lat wykorzystywanego m.in. w toczącej się w Jemenie wojnie domowej, w której Rijad wspiera

Saudyjska porażka Bidena

OPEC+ idzie na rękę Moskwie i zmniejsza produkcję ropy



Nie jest tajemnicą, że saudyjski następca tronu i Joe Biden nie darzą się sympatią.

siły rządowe przeciwko szyickiemu ruchowi Huti.

Joe Biden nie miał więc innego wyjścia, jak ogłosić, że Arabia Saudyjska spotka się z konsekwencjami, choć do momentu oddawania tego tekstu do druku nie podał więcej szczegółów. Trudno przewidywać, czy rzeczywiście amerykańscy żołnierze zostaną wycofani z Półwyspu Arabskiego, czy skończy się na notach dyplomatycznych i pogroźeniu palcem Muhammadowi ibn Salmanowi.

Nie jest tajemnicą, że Biden i saudyjski następca tronu nie darzą się sympatią, o czym świadczą choćby wypowiedzi obecnego prezydenta jeszcze z czasów kampanii prezydenckiej, kiedy obiecywał, że z Rijadu uczyni „pariasa na arenie międzynarodowej”. Padło wówczas wiele krytycznych słów związanych choćby ze śmiercią dysydenta Dżamala Chaszukdżiego, o której zaplanowanie Waszyngton oskarżył właśnie Muhammada ibn Salmana.

Tomasz Rydelek, autor bloga Puls Lewantu, zauważa, że Saudowie poprzez decyzję o zmniejszeniu produkcji ropy mogą chcieć wpłynąć na listopadowe wybory do Kongresu, grając na osłabienie partii Bidena. „Prezydent Trump oddał wiele przysług królestwu, nakładając sankcje na Iran czy osobiście chroniąc księcia Muhammada po zabójstwie

Waszyngton traci kontrolę nad sojusznikami na Półwyspie Arabskim.

Chaszukdżiego – mówi Rydelek. – Wygrana Bidena zmusiła Saudów do relatywnego złagodzenia ich agresywnej polityki zagranicznej. Stąd np. normalizacja stosunków z Katar i Turcją. Z perspektywy Rijadu dobrze by było, aby kolejnym prezydentem USA został znowu republikanin, najlepiej sam Trump. Osłabienie demokratów w midtermach ma w tym pomóc”.

Dla Waszyngtonu trudne stają się też relacje ze Zjednoczonymi

Emiratami Arabskimi. Władca Abu Zabi i prezydent kraju, emir Muhammad ibn Zajid, 11 października spotkał się w Sankt Petersburgu z Władimirem Putinem. Rosyjski prezydent nie szczędził pochwał dla decyzji o ograniczeniu produkcji ropy, dodając, że relacje obu krajów są „istotnym czynnikiem stabilności w regionie” i na świecie. Emir miał zaś potwierdzić, że celem jego kraju jest „wzmocnienie podstaw globalnego pokoju i stabilności”. Zarówno Abu Zabi, jak i Rijad mają ambicje, by stać się istotnymi graczami w procesie mediacyjnym między Ukrainą a Rosją, choć obecnie nie wygląda na to, by kraje te mogły doprowadzić do jakiegokolwiek porozumienia w konflikcie.

Najważniejsze jednak zdaje się to, że Waszyngton traci kontrolę nad sojusznikami na Półwyspie Arabskim, którzy dotychczas uważani byli niemal za państwa satelickie Stanów Zjednoczonych. Arabskie monarchie demonstrują, że mogą decydować samodzielnie. Phillip Cornell, były doradca prezesa koncernu Saudi Aramco, w komentarzu dla think tanku Atlantic Council zaznacza, że „Arabia Saudyjska i Zjednoczone Emiraty Arabskie

po prostu nie są już sojusznikami Stanów Zjednoczonych”.

Bliski Wschód się zmienia, a Rijad i Abu Zabi testują, na ile mogą nagiąć dotychczasowy ład światowy, który w ostatnich dekadach ustawił Waszyngton w pozycji hegemonu. Ta bowiem nie jest już niepodważalnym faktem. A inne kraje regionu także mogą mieć ochotę postawić relacje z Białym Domem na ostrzu noża, jeśli zauważą korzyści w zbliżeniu się do Rosji czy Chin. ■

Jakub Dymek

Czy miliarderzy przekonani o swojej nadludzkiej inteligencji i wpływie na rzeczywistość – ludzie tak bogaci, że chcą kierować polityką suwerennych państw – to zagrożenie dla świata? Lewica od lat przekonywała, że tak. Dziś, gdy oburzenie światowej opinii publicznej skupia się na miliarderze Elonie Musku, krytycy technologii i pychy bogaczy z Doliny Krzemowej mają spóźnioną satysfakcję. Przecież dokładnie przed tym ostrzegaliśmy! – gorzko triumfują.

Z Kalifornii na Krym

Na początku października Elon Musk, jeden z najbogatszych ludzi świata i współwłaściciel takich firm jak Tesla czy SpaceX, włączył się w debatę o zakończeniu wojny w Ukrainie. Zasugerował, że w sprawie zaanektowanych przez Rosję po 2014 r. terenów powinny się odbyć ponowne referenda, i wezwał do zaprzestania działań, które zwiększają ryzyko przerodzenia się regionalnego konfliktu w globalną wojnę z użyciem broni jądrowej.

Oczywiście podobne komunikaty można przedstawić w racjonalny, spokojny i uzasadniony sposób – ale to nie byłoby w stylu kontrowersyjnego miliardera. Musk zaczął m.in. wrzucać na Twittera mapy wyborcze sprzed lat, które miały dowodzić,

Firma Elona Muska pomogła Ukrainie. Ale przy okazji zrobiła świetny interes.

że sukcesy prorosyjskiej Partii Regionów obrazują chęć mieszkańców dołączenia do Rosji. Zakwestionował też ukraińskość Krymu. W serii kolejnych wiadomości na przemian reklamował siebie i swoje produkty oraz wykrzykiwał, że chce uratować świat przed nuklearną zagładą. No tak, w świecie po jądrowej apokalipsie nie będzie klientów na jego samochody – śmiali się złośliwi.

Jak raptowna i powierzchowna była akcja Muska, tak wściekła i jednoznaczna spadła na niego krytyka. Miliony ludzi, w tym najwyżsi

Miliarder, geopolityk, troll

Dlaczego najbogatszy człowiek świata wtrąca się w wojnę?



przedstawiciele ukraińskich władz, zaczęły sugerować, że w najlepszym wypadku jest ignorantem, a w najgorszym – sojusznikiem i wykonawcą woli Kremla. Nieliczne osoby biorące go w obronę, choćby część amerykańskich antywojennych think tanków, miały utrudnione zadanie. Nawet jeśli intencje Muska były szczerze – nikt nie chce III wojny światowej – to jego styl budził zażenowanie.

Szybko „ujawniono”, że Musk rzekomo rozmawiał wcześniej z Putinem – informację tę bez żadnej weryfikacji podali też oczywiście polscy dziennikarze – i to w porozumieniu z nim zaczął swoją akcję na Twitterze. Czy tak było, nie wiemy, ale cała sprawa jest głęboko żenująca – a to i tak nie jej koniec. Tylko że prawdziwy problem z zaangażowaniem celebrytów i miliarderów w wojnę, globalną dyplomację i humanitaryzm leży głębiej.

Bohater uciśnionych czy cwany komiwojażer?

Cofnijmy się do 24 lutego. Elon Musk obiecał, że dostarczy Ukrainie

usługę Starlink – oparty na satelitach i naziemnych terminalach, bezpieczny i odporny na ataki system łączności internetowej. Starlink rzeczywiście do rąk Ukraińców trafił i, jeśli wierzyć ekspertom, sprawdza się w 100%. W sieci krążą zresztą filmiki ukraińskich żołnierzy, którzy przekonują, że Starlink jest nieocenioną pomocą. Dzięki temu ruchowi Elon Musk był wychwalany niczym półbóg – zresztą dokładnie takie słowa, że Musk jest „bogiem”, padały w polskim i ukraińskim internecie. Przez kilka miesięcy Musk cieszył się sławą zbawcy Ukrainy.

Jednak gdy dziennikarze zaczęli bliżej przyglądać się pomocy Muska dla Ukrainy, jego rola zbawcy stanęła pod znakiem zapytania. Okazało się, że za pomoc i logistykę projektu Starlink dla Ukrainy odpowiadają tak naprawdę hojne dotacje i wsparcie państw, przede wszystkim Polski i USA. Jak ujawniła Sylwia Czubkowska z portalu Spider's Web+, co opisałem dla portalu Onet, polski rząd miał dać miliony, wcześniej zaś dokładali się też Francuzi, Amerykanie i agencja pomocowa USAID. Z Polski miało płynąć 38 mln zł,

dołożył się również Orlen – i nie było to tajemnicą, tą informacją chwaliło się szefostwo spółki paliwowej.

Wyszło na jaw, że firma Elona Muska, owszem, pomogła Ukrainie. Ale przy okazji zrobiła świetny interes, bo zyskała gorliwych i skłonnych wydać każde pieniądze rządowych klientów. Takich, dla których zamówienia idące w dziesiątki czy setki milionów dolarów to pryszcz w porównaniu z całością kwot przekazywanych na pomoc Ukrainie. Z kontraktem – choć na razie testowym i na rok – zgłosiły się także siły powietrzne USA, które będą sprawdzać zastosowania technologii Starlink dla swoich żołnierzy operujących w Europie i Afryce Północnej. Nietrudno zgadnąć, że jeśli armia przekona się do tej technologii, zyski ze Starlinków również poszybują w górę. Z punktu widzenia Muska cała operacja „pomóc Ukrainie” była świetnym biznesowym przedsięwzięciem, aczkolwiek teraz wyciąga rękę po pieniądze do Pentagonu.

Po co więc było narażać się na tak duże straty wizerunkowe?

Kompleks zbawcy

W przypadku Muska, choć nie tylko, krzyżują się dwie tendencje współczesnych bogaczy technologicznych. Z jednej strony, to tzw. solucjonizm – przekonanie, że wszystkie problemy społeczne, gospodarcze czy polityczne da się rozwiązać za pomocą chłodnej informatycznej i technicznej logiki. Dobrze napisany kod programu musi działać bezbłędnie, gdyby zatem – wierzą wyznawcy solucjonizmu – zarządzać problemami ubóstwa i bezdomności czy konfliktami międzynarodowymi za pomocą skutecznych narzędzi techno- i merytokracji, szybko udałoby się je rozwiązać. Dlatego Mark Zuckerberg wierzył kiedyś, że Facebook umożliwi dialog izraelsko-palestyński, a dziś Bill Gates wierzy, że chipy wszczepiane ludziom przełożą się na większe zaufanie do nauki i medycyny oraz jej postęp – a nie wywołają masową panikę.

Ale obok solucjonizmu mamy bliźniacze zjawisko – przerost ego.

Sympatyzujący z twardą wolnorynkową prawicą miliarderzy, którzy zarobili fortuny w branży petrochemicznej albo nieruchomościach, lubią anonimowość i ciszę. „Nowi” miliarderzy, którzy mają bardziej pluralistyczne poglądy – nie są wyłącznie wolnorynkowymi konserwatystami – chcą jednak być sławni i zbawiać świat. Dlatego mają swoje fundacje charytatywne i obiecują dokonać humanitarnych cudów. Jednym bliżej do amerykańskich demokratów, drugim do republikanów, innym do trumpowskiej alt-prawicy – ale łączy ich poczucie własnej wyjątkowości.

Muskowi dotychczas dokuczanie politykom uchodziło na sucho – bo na arenie krajowej sprzecza się przede wszystkim z lewicą, która chce go opodatkować. Wyjście na arenę globalną, i to w tak zapalnej sytuacji, okazało się na razie za wysokim progiem nawet dla niego. Ale to nie znaczy, że kolejnych prób nie będzie. Tak samo, jak nie znaczy to, że pogłoski o jego tajnych rozmowach z Putinem nie są prawdą. A co, gdyby kiedyś jakiś internetowy miliarder postanowił pójść za ciosem i zacząć wspierać jedno państwo przeciw drugiemu wbrew zaleceniom i oczekiwaniom Waszyngtonu? Gdy internet i niezbędna technologia satelitarna będą włączane i wyłączane całym państwom na jeden gest kapryśnego bogacza? Gdy jeden miliarder postanowi zabawić się w kosmiczną wojnę i straci dla rozrywki amerykańskiego albo rosyjskiego satelitę?

Wszystko przed nami. Wojna przecież coraz bardziej się prywatyzuje, a ego technologicznych miliarderów rośnie.

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



KSIAŻKI

Adam Koseski. Myśl, działanie, dziedzictwo

Redakcja naukowa Radosław Lolo
Oficina Wydawnicza ASPRA-JR,
Warszawa 2022

10 grudnia 2020 r. zmarł prof. dr hab. Adam Koseski – wybitny bałkanista, rektor Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w latach 2004-2019. Jego niepospolite osiągnięcia naukowe i organizacyjne są szeroko znane. Tom otwiera „Szkic biograficzny”, nieaspirujący do miana pełnej biografii, bo zbyt subiektywny i przy tak długiej działalności profesora z pewnością niepełny. Drugą część stanowią wspomnienia współpracowników, przyjaciół i uczniów. Książka zawiera także teksty profesora, w tym artykuły opublikowane w PRZEGŁADZIE – profesor był naszym wybitnym autorem i życzliwym czytelnikiem.



Adam Daniel Rotfeld

Rafał Lemkin. Przykład moralnego zaangażowania

Fundacja Judaica, Kraków 2022

Esaj o wysoko cenionym polskim prawniku, na trwałe zapisanym w międzynarodowych encyklopediach, któremu świat zawdzięcza definicję ludobójstwa. Niestety, Lemkin jest w Polsce zapomniany, a w jakimś stopniu nawet marginalizowany w krajowej nauce prawa. Tym większe znaczenie ma publikacja prof. Rotfelda.

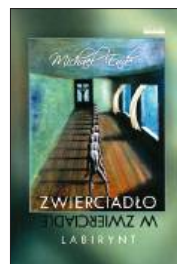


Michael Ende

Zwierciadło w zwierciadle. Labirynt

przeł. Jerzy Korpanty
Vis-à-vis Etiuda, Kraków 2022

Zbiór surrealistycznych opowiadań, z których każde wiąże się z pozostałymi, koniec staje się początkiem, a całość spajają powracające tematy. Autor stara się odpowiedzieć na pytanie, co widać w zwierciadle, które odbija się w innym zwierciadle, zarazem zapraszając czytelnika w fascynującą podróż labiryntem fantazji.



Dobre i złe praktyki dziennikarskie

Rosyjski prezydent to w polskich mediach osoba umniejszona, słaba, omylna, chora i nieobliczalna

Marcin Ogdowski

„A skoro o śmieciach mowa, to wrócimy też do słów Władimira Putina, który pół godziny temu był łaskaw różne rzeczy opowiadać” – tak zaanonsował kolejny materiał dziennikarz Polsat News Igor Sokołowski. Działo się to 21 września w programie „W rytmie dnia”. Zapowiadane omówienie wystąpienia prezydenta Rosji poprzedzał reportaż poświęcony nagannym praktykom opalania domów i mieszkań czym popadnie. Stąd owe śmieci jako łącznik między tematami. Słowa dziennikarza najwyraźniej przypadły do gustu władzom stacji, bo cytował ten jako tytuł wrzucono na stronę Polsatnews.pl.

Sokołowski na kilkanaście godzin stał się bohaterem serwisów społecznościowych (gdzie głównie chwalono go za odwagę cywilną), lecz wkrótce o sprawie zapomniano. Pochylił się

dynie branżowy magazyn „Press”, publikując – utrzymany w tonie przygany – tekst „Zachować umiar, choć zbrodnie Rosjan bezsporne”. „Schłodzenie emocji jest warsztatowym obowiązkiem dziennikarza. Nie bardzo udaje się to w polskich mediach”, czytamy. „Władimir Putin, którego nie można nazwać inaczej niż politycznym bandytą, morduje rękoma swoich żołnierzy niewinnych ludzi, w tym dzieci. Te okoliczności oczywiście nie zwalniają dziennikarzy z obowiązku stosowania jak najbardziej bezstronnego opisu wydarzeń”, komentuje w „Press” prof. Jacek Dąbała, medioznawca z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Misja a interes

Jak to więc jest z tym „umiarem” i „schłodzeniem”? Zagadnieniu przyjrzał się zespół z toruńskiego Instytutu Dyskursu i Dialogu. W minionym tygodniu ukazał się raport INDID, podsumowujący monitoring poświęconych wojnie w Ukrainie przekazów medialnych w polskiej przestrzeni informacyjnej.

– Chcieliśmy zrekonstruować sposób, w jaki kształtowała się narracja medialna wokół rosyjskiej agresji. Chodziło też o wskazanie dobrych i złych praktyk dziennikarskich dużych mediów podczas relacjonowania pierwszych 150 dni wojny – mówi prezes instytutu Filip Gołębiowski.

Nim przejdziemy do omówienia raportu, warto wskazać, że po 24 lutego polskie media głównego nurtu gremialnie opowiadały się po stronie Ukrainy. Do dziś większość zachowuje ukraińskie barwy narodowe wplecione w logo, a prezenterzy stacji telewizyjnych występują z żółto-niebieskimi wstążkami. Tym symbolicznym gestom towarzyszy większa niż przed inwazją czujność na rosyjskie medialne „wrzutki” – mainstream jest dziś w istotnej mierze

impregnowany na (pro)rosyjską narrację, propagandowe i dezinformacyjne zabiegi Moskwy. Niemniej jednak treści o takiej wymowie dostają się do obiegu „tylnymi drzwiami” – nie ma ich w artykułach, ale są w komentarzach, czy to bezpośrednio pod tekstami na stronach internetowych redakcji, czy na profilach społecznościowych mediów, gdzie owe teksty (multimedia) się udostępnia. Rosjanie i prorosyjscy medialni aktywiści używają tej furtki z dużym powodzeniem, mamy tu bowiem do czynienia z kulawą moderacją. Komentujący (nieważne jak) zwiększają zasięgi, a to wprost przekłada się na zyski. Moderacja musi ów czynnik uwzględnić, co sprawia, że na część niepożądanych treści przymyka się oko. Jest to zatem kolejne oblicze dyktandowej natury mediów, rozdźwięk pomiędzy misją a interesem.

„Bluźnierca” i „męczennik”

Wracając zaś do opracowania INDID – najpierw słowo o metodologii. Wolontariusze zbadali 292 przekazy medialne, które następnie zostały sprawdzone przez weryfikatorów. Tym sposobem każdy materiał przeszedł przez ręce czterech osób – trójki wolontariuszy i weryfikatora, co powinno wyeliminować wpływ osobistych poglądów na ocenę. Materiały do celów statystycznych podzielono na kilka kategorii: w zależności od miejsca opublikowania (prasa, internet, radio, telewizja i dalej na poszczególne tytuły prasowe), linii redakcyjnej (media sprzyjające rządowi, opozycji i pozostałe) oraz typu materiału (reportaż, news, publicystyka, wywiad). Co z tego wszystkiego wynikło?

Ponieważ największy wpływ na odbiorców mają tytuły, to od nich zaczęto analizę materiałów. Tytułów pesymistycznych (zawierających słowa: wykrwawia, zbrodniczy, śmierć, wróg czy piekło) było prawie 180.



Z kolei tytułów optymistycznych (wyraźnie mówiących o pomocy, odwadze, zwycięstwie, wdzięczności czy pokoju) naliczono niespełna 70. Negatywna, pesymistyczna narracja zdarzała się zatem ponaddwukrotnie częściej niż pozytywna.

Co istotne, o Rosjanach nie pisano w kontekście zwycięstwa (a w omawianym okresie odnosili jeszcze na froncie sukcesy). W tytułach ani razu nie użyto imienia Władimira Putina, co można odebrać jako brak szacunku. Jego nazwisko stało się dopełniaczem, a także przymiotnikiem do wielu zwrotów związanych z wojną. Wyrażano się o nim z pogardą, jako o dyktatorze, bluźniercy i okupancie. Podważano stabilność psychiczną przywódcy Rosji. Mimo wysokiej pozycji instytucjonalnej Putina

przekłada się na 44% wszystkich materiałów.

Filtr obcego języka

Jeśli idzie o treści, aż 232 materiały, czyli prawie 80%, zawierały negatywne określenia wobec jakiejś osoby/podmiotu/grupy. Najczęściej odnosiły się one do Rosji, Rosjan, Zachodu, Władimira Putina, Aleksandra Łukaszenki i Unii Europejskiej. Negatywne prezentacje wizualne (ilustracje) towarzyszyły 18% materiałów i dotyczyły przede wszystkim Rosji, Rosjan, Ukrainy i Władimira Putina. Z kolei słowne określenia pozytywne odnotowano w 46% materiałów, a dotyczyły najczęściej

Schłodzenie emocji jest warsztatowym obowiązkiem dziennikarza. Nie bardzo udaje się to w polskich mediach – magazyn „Press”.

I na koniec ciekawostka. Autorzy trzech czwartych materiałów nie powołali się na żadne źródła zewnętrzne. Tylko w 38% publikacji zawarto wypowiedzi eksperta/komentatora. „To niepokojące z uwagi na specyfikę problemu i relacjonowanie wydarzeń z zagranicy, do których dziennikarze często nie mają bezpośredniego dostępu”, piszą badacze INDID. Korresponduje to z doświadczeniem autora tekstu, który z uwagą śledzi medialny dyskurs o wojnie w Ukrainie. I dostrzega, że tematem zajmuje się w Polsce nieliczne grono profesjonalnie przygotowanych dziennikarzy obok całej rzeszy „mediaworkerów”, którzy w większości nie mają nawet podstawowych kompetencji, za jakie należy uznać znajomość języka rosyjskiego i ukraińskiego. Wojna w Ukrainie – mimo że toczy się za miedzą – jest kolejnym konfliktem relacjonowanym polskiemu odbiorcy z wykorzystaniem mechanizmu zapośredniczenia. Źródłem wielu informacji są dla większości autorów duże anglojęzyczne agencje prasowe (przez dużą grupę adeptów zawodu traktowane jako niewymagające oznaczenia). W efekcie konflikt w bliskim nam kulturowo otoczeniu poznajemy przez filtr zupełnie obcego języka...

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl



media starły się go sprowadzić do obrazu osoby słabej, nieporadnej, omylnej, szalonej i chorej (nierzadko umierającej). Działo się to niezależnie od typu medium, formy przekazu czy afiliacji politycznej.

Z kolei Ukraina w tytułach polskich mediów przedstawiana była jako ofiara, męczennik, bohater, niezłomny wojownik i obrońca, a także podmiot, który potrzebuje pomocy, zasługuje na nią i ją otrzymuje, szczególnie od Polaków.

129 tytułów z bazy zawierało określenia oceniające, takie jak „sie-
je piekło”, „panika” czy „fatalne”, co

Polski, Ukrainy, Ukraińców oraz Prawa i Sprawiedliwości (w ocenie autora tekstu wielość pozytywnych skojarzeń z PiS wynika z fiksacji prorządowych mediów, które o działaniach władz RP w kontekście ukraińskim pisały niemal wyłącznie entuzjastycznie). Pozytywną prezentację wizualną badacze zidentyfikowali w 16% materiałów. Korzystnie prezentowano w ten sposób Ukrainę, NATO, polskich wolontariuszy, Polskę oraz prezydenta Wołodymyra Zełenskiego.

W 16% materiałów zauważono stronnicość lub uprzedzenia

Pan Bóg z centralki telefonicznej

Jesienne zaległości filmowe dla wymagających

Wiesław Kot

Góry Lombardii, policyjna centralka telefoniczna z Kopenhagi, statek sunący w otchłań kosmosu – w tych miejscach filmowcy sytuują tej jesieni kluczowe ludzkie tematy. Pandemia te dziełka przesunęła do zamrażarki, ale niedawno weszły na platformy i do obiegu DVD. Tam czekają, tam zachęcają do rozmowy.

Mefisto wystawia rachunek

Włoski „The Place” (2017, reż. Paolo Genovese) jest „dramatem moralnym”, ale z tych, co to mocno trzymają się gruntu. Tytuł to zarazem nazwa baru. Tutaj za stolikiem siedzi mężczyzna, o którym się rozniósł, że ma moc spełniania marzeń. Oczywiście nie za darmo, a jakby wręcz przeciwnie. Z tym że nie pobiera opłaty w tradycyjnej walucie – działa raczej na zasadzie przysługa za przysługę. Ogarnia sytuację swojego klienta z wysoka, rozumie ją bardziej wnikliwie, zna jej przyczynę, konsekwencje, przeszłość i przyszłość. Więc ktoż to jest? Może Bóg, skoro kelnerka obsługująca go w barze ma na imię Angela, byłaby więc aniołem rodzaju żeńskiego? Ślepy los? Mefistofeles, jak z „Fausta” Goethego, który podsuwa cyrograf, obiecując spełnienie marzeń za oddanie duszy? No bo klienci ostatecznie nic innego nie robią, tylko płacą własnymi zasadami za tę jedną chwilę, o której mogliby powiedzieć: „Trwaj chwilo, o chwilo, jesteś piękna!”. A ten mężczyzna właściwie jest, a jakby go nie było. Bo jest zaledwie katalizatorem tego, co się dzieje w głowach jego rozmówców.

Ludzie, którzy do niego przychodzą, żyją jak obsesjonaci. Są ciasno ukierunkowani na osiągnięcie tego jednego jedyne celu: raz jest to chęć przespania się z modelką

z plakatu reklamowego, a raz życie własnego męża czy dziecka. „Cena nie gra roli”, powiadają w sytuacji ekstremalnej, zapędzeni do narożnika. Ale gdy za cenę spełnienia pragnień muszą kogoś zabić, już się wahają. Najpierw przystępują do negocjacji, potem przyklepują deal, wreszcie się wycofują, ciągle rozdarci, niepewni bilansu zysków i strat. A ten Księgowy nie patrzy swoim klientom w oczy, ślizga się wzrokiem po ich twarzach, nie chwyta kontaktu. Jest nieuważny, ciągle coś podjada, robi notatki, nieskoncentrowany, rozproszony. Jak urzędnik znudzony swoją pracą i kolejnymi petentami z ich nudnymi sprawami. Bo urzędnik pamięta doskonale, że ludzkie życie jest warunkowe, działa jak algorytm. Jeżeli tak, to tak, a jeżeli tak – to tak. Zrobimy krok w prawo i sprawy potoczą się zupełnie inaczej, zrobimy krok w lewo i całe

Jeżeli ludzkość może zrobić coś istotnego we własnej sprawie, coś poprawić, to tylko tu i teraz.

życie ruszy w zupełnie inną stronę. Trzeba tylko w odpowiednim momencie poruszyć ten jeden jedyny kamyczek, a lawina wypadków sama zejdzie z góry.

Rezultat? Część klientów zyskuje, część traci, część zostaje z bilansem zerowym. Czyli jak w życiu – hazard i niewiadoma. A przecież zdarza się, że w ramach tego algorytmu niektórzy klienci dojrzewają. Decydują się przewartościować własne pragnienia, ambicje i potrzeby, inaczej ustawić życiowe wektory, gdzie indziej zobaczyć cel życia. Mało?

Ratowanie świata przez słuchawkę

Film „Winni” (2018, reż. Gustav Möller) to okaz kina duńskiego, w tym wypadku uniwersalnego.

W filmie mamy koncert na człowieka i telefon, która to sytuacja nie jest w kinie bynajmniej nowa. Przeciwnie, by powołać się na absolutną klasykę, amerykański dreszczowiec „Przepraszam, pomyłka” z roku 1948. Opowiadał o obłożnie chorej i zdanej na telefon żonie potentata farmaceutycznego, który wdał się w biznes z handlarzami narkotyków. A teraz zapłaci za to jego żona, przykuta do łóżka i telefonu. Dlaczego zabijają tę nieszczęsną kobietę? Ano kiedy ona zginie, mąż odziedziczy fortunę i będzie mógł uregulować rachunki z mafią, i jeszcze rozwinie własną firmę. Biedna kobieta niczemu więc nie zawiniła, ale już jest skazana. Starsi z nas być może pamiętają polską mutację tej fabuły, „Pomyłka, proszę się wyłączyć” z roku 1964 Teatru Sensacji Kobra, z Aleksandrą Ślaską i w reżyserii Jerzego Gruzdy. Spektakl był wielokrotnie powtarzany.

W duńskim filmie mamy na ekranie niemal wyłącznie dyżurnego telefonistę policyjnego, który pod numerem alarmowym 112 prostuje ludzkie ścieżki podczas nocnego weekendowego dyżuru. Oczywiście ma do czynienia głównie z pijakami, awanturnikami, osobami odchylonymi. Albo z ludźmi, którzy chcą po prostu pogadać, nie bacząc na to, że blokują innym numer, który mógłby uratować życie i zdrowie. Czyli normalka. Ale te zaburzone typy znajdują się nie tylko po drugiej stronie linii telefonicznej. Po tej stronie również. Bo policyjny telefonista wygląda na niezbyt zrównoważonego. A to tłumaczy się mętnie napastliwej dziennikarce, a to bez dania racji odszczekuje się koledze z pracy. Zaczynamy się orientować,



The place



Winni



Aniara



Truflarze

że i on mógłby się stać klientem pomocowej linii telefonicznej. A przecież on właśnie naprawia świat – na tym swoim skromnym odcinku. Czasem bywa to stosunkowo proste. Bo np. dzwoni mężczyzna ze skargą, że jakaś kobieta ukradła mu portfel, ale szybko zostaje zlokalizowany w dzielnicy czerwonych latarni w Kopenhadze. No i wszystko jasne. Po co się tam pchał?

Ale bywa znacznie trudniej – z bagażnika samochodowego dzwoni porwana kobieta. Nasz dzielny, choć pokiereszowany rycerz z centrali telefonicznej stara się wywiązać z powierzonego mu zadania. Tylko co z tego? Wprawdzie ściąga „kawalerię” na ratunek kobiecie, która znalazła się w niebezpieczeństwie, ale sam niedokładnie rozczytuje sytuację. No bo jak inaczej? Ma do dyspozycji raptem telefon, a połączenie rwie się raz za razem. A przecież musi ciągle dokonywać oceny sytuacji na podstawie tego, co słyszy, a słyszy niewyraźnie i niewiele. Może człowieka uratować, może go też pogryźć, nawet nie będzie wiedział, kiedy to się stało i którą to interwencję zadziałał tak drastycznie w ludzkim życiu. W tej grze uczestniczy także widz, bo wszystko jest tutaj do wyobrażenia. Odgłosy, które dochodzą nas z drugiej strony linii telefonicznej, to poszlaki, symptomy, wyzwalacze dla naszej wyobraźni. Musimy pracować na bardzo niekompletnym materiale, jesteśmy więc zaciekawieni i sfrustrowani jednocześnie. Nie nadążamy za sytuacją, nie nadążamy za filmem.

No i puenta. Ten policjant bywa czasem arogancki. Dlaczego? Bo może. Z tą swoją słuchawką przyklejoną do ucha i mikrofonem na wysokości ust może się bawić w Boga, wpływać na ludzkie losy, komenderować, wydawać dyspozycje, decydować o ludzkim życiu. Ta możliwość wyzwała arogancję i chamstwo. A co najmniej nadmierną pewność siebie. W rezultacie nasz Pan Bóg z policyjnej centrali działa ospale. Tu na chwilę się zawiesi, tam zacznie wydzwaniać w prywatnych sprawach, pójdzie do automatu z wodą, nie zważając, że ktoś się do niego dobija. Mości się długo na krześle, przeciąga, zastanawia się nie wiadomo nad czym. Reaguje jak na ciężkim kacu. Aż by się chciało go szturchnąć: człowieku, pośpiesz się, tu idzie o życie. Życie? Spokojnie, nie pali się...

► Wyprawa w kosmos? Po co? Już tam byliśmy

Film produkcji szwedzkiej „Aniara” (2018, reż. Pella Kågerman i Hugo Lilja) to jeden z tych obrazów science fiction, które obywają się bez pustej pompatości. Bez tego baletu planet i statków kosmicznych, bez baśniowych historii w typie „Gwiezdnych wojen”. Zamiast tego pokazuje w kameralnych okolicznościach te problemy, z którymi przyjdzie się zmierzyć ludzkości, gdyby próbowała ona wychynąć poza opłotki własnej planety. Ta historia została przeniesiona do filmu z poematu epickiego Harry’ego Martinsona (Nobel 1974) jeszcze z roku 1956, swego czasu bardzo głośnego. Poemat przerobiono na operę, wystawioną przez Szwedzką Operę Narodową w roku 1959, potem pokazywano ją na licznych scenach operowych w całej Europie, od Hamburga po Brukselę.

Gdy coś robi się starannie i z miłością, nie ma różnicy, czy dzieje się to w tym, czy w przyszłym życiu.

Tytułowa Aniara to statek kosmiczny, który ewakuuje ludzi z planety Ziemia do nowego, bardziej przyjaznego domu, jakim ma się okazać Mars. Niestety, statek zmuszony jest do korekty kursu po nieprzewidzianej kolizji z kosmicznymi śmieciami. Podróż się przedłuży i w tej sytuacji szczególnym popytem cieszy się korzystanie z tzw. sali wspomnień, która rekonstruuje życie na Ziemi. A że rekonstrukcja życia nigdy nie może się odbyć w skali jeden do jednego, ta jest raczej wariantowa, poszukiwawcza, kombinatoryjna. Ludzie zagłębiają się nie tyle w życie na Ziemi, ile we własną przeszłość, próbując w ten sposób raz jeszcze rozegrać dawne wydarzenia. Często ze sporym kosztem własnym.

A skoro tak, to za tło szwedzkiego filmu konieczne powinna posłużyć powieść Stanisława Lema „Solaris”, filmowana zresztą trzykrotnie, za każdym razem w sposób niezbyt udany. Przypomnijmy, że ten tajemniczy ocean z planety Solaris, bezosobowy i bezrozumny, przywraca do

istnienia osoby, które figurują tylko we wspomnieniach przybyłych tu członków ekspedycji. A są to osoby, o których istnieniu badacze chcieliby zapomnieć. Ocean wytwarza tych ludzi w postaci niezniszczalnych tworów; nie można ich zabić, nie można się ich pozbyć, są tak natrętne, że prowokują astronautów nawet do samobójstwa. Tak, to jest dość prawdopodobny, choć makabryczny kontakt ze światem Obcych. Tak to Lem wyostrzył problem beznadziei człowieka, który wobec kosmosu nie jest w stanie uwolnić się od balastu ziemskich wspomnień.

Aniara to nazwa pochodzenia greckiego, znaczy tyle, co rozpacz. Okazuje się, że ludzkość w kosmosie nie będzie w stanie dokonywać rzeczy oryginalnych, raczej będzie się poruszać siłą bezwładu, jak owa kosmiczna Aniara z filmu. Ludzkość będzie reprodukcją te formy istnienia osobistego i społecznego, które

wyniosła z Ziemi. A formą najłatwiejszą są ustroje totalitarne, ponieważ w nich odpowiedzialność osobista zanika na rzecz przystosowania się i uległości wobec władzy. I tak ludzkość na pokładzie Aniary powtarza jedynie stare błędy, obnaża beznadziejną powtarzalność własnego bytu. Po prostu utknęła i nie jest w stanie ruszyć z miejsca, nawet jeżeli w niezmierzoną dal unosi ją luksusowy statek kosmiczny. Inna sprawa, że to ziemskie życie okazuje się bezcenne, bo kosmos to przede wszystkim niezmierzona pustka, otchłań, jedno wielkie nic. Wszystko, co istotne, rozegrało się więc gdzieś tam, na tej nieskończonej małej plamce zwanej Ziemią. Jeżeli ludzkość może zrobić coś istotnego we własnej sprawie, coś poprawić, to tylko tu i teraz. Żadne wycieczki poza własny galaktyczny ogródek niczego tu nie zmieniają.

A w górach już jesień...

Włoski dokument „Truflarze” (2020, realizacja Michael Dweck i Gregory

Kershaw) gwarantuje pogodny wieczór w pastelowych kolorach – w każdym sensie. Film na całym świecie ogromnie się podobał, a internet sumuje, że najbardziej znaczący krytycy przyznali mu na 100 możliwych punktów aż 85.

Kamera podąża tu za grupą wiekowych mężczyzn, którzy w północnych Włoszech, w Lombardii, po miejscowych lasach poszukują wyjątkowo cennych i cenionych przez smakoszy trufli Alba. Ci panowie mają od 70 lat wżwyz, a na trufle polują, ponieważ w szklarnianych warunkach nie udało się tej odmiany wyhodować. Zalega ona głęboko w lasach Piemontu, ukryta w ziemi, wśród korzeni drzew, dostępna właściwie wyłącznie dla wyszkolonych psów. Niegdyś wygrzebywano trufle z pomocą świń, ale zrezygnowano z ich udziału, ponieważ podjadały zbyt dużo towaru. Trufle kosztują sporo, bo 600 dol. za ok. 100 g. Ich smak i aromat wywołuje kulinarną euforię wśród znawców. A sezon zaczyna się we wrześniu i trwa mniej więcej cztery miesiące.

Szukanie trufli, a więc pełna skupienia praca, podjęta w przyjaznym towarzystwie, w otoczeniu kochających zwierząt, staje się dla starszych panów esencją życia. Słyszymy tu wprawdzie raz po raz tykanie zegara, ale nie jest to klepsydra. Zegar raczej punktuje upływ czasu i upływ bezczasu. Bo jeżeli ktoś, jak Carlo, ma lat 88, rozumie doskonale, że czas jest jedynie igraszką umysłu, jest pewną hipotezą. I jeżeli bliżej mu się przyjrzeć, to czas istnieje o tyle o ile. Dla prawie 90-latka jest kategorią techniczną, pomocniczą. Żeby pamiętać, że najpierw prysznica, potem mycie zębów, a dopiero w trzeciej kolejności śniadanie. A potem już tylko trufle, trufle, trufle...

Jeden z weteranów pyta plebana, czego miałby się spodziewać w życiu pozagrobowym. Ksiądz nie ma wątpliwości, że w niebie będzie on także polował na trufle. Bo jeżeli coś robi się starannie i z miłością, nie ma specjalnej różnicy, czy dzieje się to w tym, czy w przyszłym życiu. Tak właśnie powinna wyglądać jesień. W piemonckim lesie i wszędzie.

Wiesław Kot

KURTYNA W GÓRĘ



Prezes w opałach

Składanka humoresek Sławomira Mrożka z lat 60. przeniesiona na scenę teatralną mogła osiąść na mieliźnie nużącej gawędy. Tak na szczęście się nie stało, dzięki trafnej adaptacji oraz dość odległym od realizmu środkom wyrazu scenicznego. Janusz Majcherek (scenarzysta), po pierwsze, usunął Prezesa za scenę, do tajemniczego gabinetu, do którego wślizgują się tylko podwładni, aby odebrać instrukcje. Prezes nabrał przy tej okazji grozy jako władca absolutny. Po drugie, celowo osłabione zostały związki tekstów Mrożka z okolicznościami miejsca i czasu, czyli tłem, na którym się

pojawiały – była to decyzja o tyle słuszną, że część aluzji stała się już nieczytelna albo pozbawiona pierwotnej wyrazistości. Po trzecie, Majcherek wydobyl uniwersalne sensy tych powiastek – okazały się znacznie bliższe teatrowi absurdu, niż mogłoby się wydawać w lekturze.

Forma sceniczna, jaką obrały reżyserki (Ewa Domańska i Ewa Makomaska, występujące też u boku Adama Biedrzyckiego, Wojciecha Czerwińskiego i Marcina Jędrzejewskiego), wyraźnie odwoływała się do groteski i celowej przesady, łączonych z poetyckim skrótem i dodatkiem graficznym w postaci projekcji animowanych rysunków Sławomira Mrożka.

Najważniejsze jednak, że ocalały obserwacje Mrożka, odnoszące się do świata biurokracji i królującego w nim oportunistów. To prawda, że nadal jest to konterfekt przeciętnego biura epoki minionej, ale jednocześnie wizerunek każdego zbiurokratyzowanego organizmu, nawet korporacji. Tak czy owak, trafiają w cel opowieści o perypetiach Prezesa i jego załogi, a niektóre powiastki w przedziwny sposób kierują uwagę w stronę innego Prezesa (prezesów?).

Tomasz Miłkowski

Sławomir Mrożek, „Czekoladki dla Prezesa”, adaptacja Janusz Majcherek, reżyseria Ewa Domańska, Ewa Makomaska, Teatr Polski w Warszawie, Scena Kameralna im. Sławomira Mrożka, prapremiera 17 września 2022

MIĘDZY OKŁADKAMI



Juan Gabriel Vásquez
A gdy obejrzyś się za siebie

tłum. Katarzyna Okrasko
Echa, Warszawa 2022

Kiedy Sergio Cabrera idzie ulicami Bogoty w dniu referendum mającego za-
twierdzić – lub odrzucić – porozumienie
między rządem a FARC, poznajemy na-
stępny fragment krwawej mapy miasta,
którą Vásquez wyrysował w „Kształcie
ruin”. Punktem wspólnym jest miejsce

śmierci Jorge Eliécera Gaitána, adwokata i polityka, zastrze-
lonego w 1948 r. Kraj, w którym osiadła wygnana z Hiszpanii
wojną domową rodzina Cabrerów, jest trudną ojczyzną, z za-
mieszkami politycznymi, nędzą, potem rządami junty, walka-
mi partyzanckimi... Oparta na faktach powieść wpisuje też
postacie w panoramę wydarzeń XX w., bo idealizm Cabre-
rów zawiódł ich w pewnym momencie aż do maoistowskich
Chin. Sergio i jego siostra stają się tam zarazem uczestnika-
mi i obserwatorami – z pozycji tyleż uprzywilejowanych, co
podejrzanych cudzoziemców – rewolucji kulturalnej, pozo-
stawieni przez rodziców w ramach swoistego rewolucyjnego
wychowu. Vásquez pisze o narastającym rozczarowaniu
rodzeństwa tak wytyczoną drogą, a także o wystawianej na
próbę miłości syna do ojca, który w imię swoich przekonań
rozporządza losem dzieci i żony. Barwny i refleksyjny, pełen
paradoksów portret rodziny na tle historii.

Aleksandra Pańko

NA POWAŻNIE



Przerwane amory Dydony

Doskonały sposób na ożywienie barokowej opery
znalazł reżyser Tomasz Cyz. Zaczepniętą z mitolo-
gii, dosyć statyczną historię przeniósł na dwór bry-
tyjski w latach 50. Zewnętrzne podobieństwo Dydo-
ny (Margarity Slepakovej) do młodej Elżbiety II niby
jest przypadkowe, ale czujemy, że to nie Kartagina,
lecz Londyn. Dodano tu jeszcze oficjalne przemó-
wienia, oczywiście po angielsku, na powitanie Ene-
asza, bohatera spod Troi. A świetna, prosta muzyka
brzmi niemal współcześnie. Rewelacja.

Bronisław Tumiłowicz

Henry Purcell, „Dydona i Eneasza”, inscenizacja i reżyseria Tomasz Cyz,
kierownictwo muzyczne Dirk Vermeulen, Warszawska Opera Kameralna,
premiera 7 października 2022, XI Festiwal Oper Barokowych

Rozmawia Agnieszka
Malatyńska-Stankiewicz

Iloma orkiestrami pan dyrygował?

– Poprowadziłem ponad 235 zespołów z całego świata, od Ameryki Południowej po Australię i Nową Zelandię. Z przyjemnością zauważam, że przez pół wieku mojej działalności poziom muzyków grających w orkiestrach niesamowicie się podniósł. I to na całym świecie. Dawniej niektóre miejsca w utworach nawet na koncertach, po mnóstwie prób, nie były poprawnie wykonywane. Tymczasem obecnie często już na pierwszej próbie te same miejsca są dobrze grane. Czasem po prostu nie mogę uwierzyć, że 40 lat temu były z tym aż takie problemy techniczne, rytmiczne czy intonacyjne. To zdumiewające!
Co panu daje kontakt z tak dużą liczbą orkiestr działających w różnych uwarunkowaniach politycznych i ekonomicznych?

– Doświadczenie. W naszym zawodzie człowiek może i powinien uczyć się bez przerwy. Nauka jest wielką wartością, a dla mnie także przyjemnością. Proszę sobie wyobrazić, niedawno byłem w Armenii, skąd przywiozłem bardzo dużo pozytywnych wrażeń. Ale przed przyjazdem zostałem poproszony przez orkiestrę, żebym zabrał ze sobą swoje partytury. Zdziwiło mnie to i zastanowiło, bo choć zawsze zabieram swoje partytury, to z reguły orkiestra też dysponuje partyturą należącą do głosów. Co się na miejscu okazało? Oni głosy ściągali z internetu, więc nic dziwnego, że partytur nie mieli. Nawiasem mówiąc, w tych głosach było sporo błędów.

A jakie orkiestre zawdzięcza pan najwięcej nauki?

– Najwięcej nauczyli mnie muzycy NOSPR-u i Filharmonii Narodowej. W sumie pracowałem z nimi blisko 30 lat. W tym czasie wiele skorzystałem, pod każdym względem. Najbardziej pouczające było wykonywanie z nimi utworów, które grywali w przeszłości z bardzo wybitnymi dyrygentami. A także poznawanie sposobów gry najwybitniejszych muzyków w tych orkiestrach.

Prowadził pan blisko ćwierć tysiąca orkiestr różnych narodowości.

W 235 orkiestr dookoła świata

Trzeba zrobić dobre pierwsze wrażenie. Orkiestra już po kwadransie wie, z jakiego kalibru dyrygentem ma do czynienia



Praca z którymi zespołami miała dla pana największe znaczenie?

– Z punktu widzenia całego życia największe znaczenie (poza Polską) miały moje kontakty hiszpańskie. W 1987 r. zostałem szefem orkiestry w Las Palmas. Co prawda, krótko to trwało, ale później byłem długo dyrygentem gościnnym i do dnia dzisiejszego zachowałem z orkiestrą bardzo sympatyczny kontakt. W Hiszpanii dyrygowałem prawie wszystkimi orkiestrami w ciągu długiego okresu, niektórymi wielokrotnie, na przykład Orquesta Nacional de España w Madrycie, orkiestrą miejską w Barcelonie czy orkiestrą OSPA w Oviedo. Byłem długo w Hiszpanii, mogłem więc przekonać się, jak ten kraj się przeobrażał, zwłaszcza później, dzięki środkom z Unii Europejskiej. Powstało wówczas kilkanaście wspaniałych sal koncertowych. (...) Kiedy rozpocząłem pracę w Las Palmas, w orkiestrze były

ANTONI WIT

– międzynarodowej sławy dyrygent

pewne niedociągnięcia organizacyjne. (...). Kiedy pojechałem pierwszy raz, aby zadyrygować tą orkiestrą, w 1986 r., na rok przed objęciem kierownictwa w tym zespole, to ani program nie był do końca ustalony, ani też plan prób. Były to czasy, kiedy dopiero zaczynał być używany faks. Kiedy przyjechaliśmy z żoną po skomplikowanej podróży z Warszawy, powitał nas dyrektor, a pierwsze pytanie, jakie mu zadałem, brzmiało: „Kiedy jest pierwsza próba?”. A on mi na to: „Już, o ile pan nie jest zmęczony”. Rok później taka wymiana zdań nie byłaby już możliwa.

Przez ostatnie kilka lat był pan szefem orkiestry w Pampelunie.

– W 2010 r. zostałem stałym dyrygentem gościnnym w Pampelunie.

Była to świetna decyzja. Od tego czasu dyrygowałem tam trzema, a nawet czterema programami rocznie. Na tyle się to spodobało, że w roku 2013 poproszono mnie, abym został szefem tej orkiestry. Najpierw miałem kontrakt na trzy lata, potem przedłużono go o dwa lata. Wiem, że jak było głosowanie nad tym, czy przedłużyć mi kontrakt, to orkiestra wypowiedziała się jednogłośnie, popierając moją kandydaturę. Było mi bardzo miło. (...) Poza tym wtedy właśnie skończyła się moja działalność w Filharmonii Narodowej i mogłem przyjąć posadę szefa w Pampelunie, gdzie na szczęście moje obowiązki nie były tak duże. Byłem zobowiązany do wystawienia pięciu lub sześciu programów w sezonie. Ta orkiestra gra również opery oraz koncerty szkolne, więc właściwie mają tylko 16 koncertów abonamentowych w roku. Jest to orkiestra niewielkich rozmiarów, tylko 60 osób na tzw. etacie. Ale zespół ten może wykonywać właściwie cały repertuar światowy, gdyż nigdy nie było problemów, żeby zaangażować dodatkowo dobrych muzyków. (...)

Szefowanie orkiestrami hiszpańskimi będę wspominał bardzo dobrze, dlatego że nie musiałem zajmować się sprawami administracyjnymi, a mogłem realizować dużo ciekawych projektów, często poświęconych muzyce polskiej. Wykonałem w Pampelunie wiele pozycji Karłowicza, ale też Lutosławskiego, Panufnika, Pendereckiego, Moniuszki i Paderewskiego... To jest muzyka, która jest tam absolutnie nieznaną, więc tym bardziej ma znaczenie. (...)

Czy w orkiestrze w Pampelunie pracują Polacy?

– Jest grupa dziewięciu Polaków, większość na ważnych stanowiskach w kwintecie. Są bardzo cenieni i świetnie współpracują z pozostałą częścią orkiestry.

Przyjechali za panem?

– Nie, są tam są już chyba ponad 30 lat. Pełnią bardzo pożyteczną funkcję i w tej orkiestrze, i w lokalnej społeczności.

Pożyteczną?

– Na przykład prowadzą działalność w zakresie kameralistyki czy nauczania.

Polacy w orkiestrach... to dość ciekawy temat.

– Trzeba zacząć od tego, że w latach 60., 70. i jeszcze 80., kiedy praca Polaka w orkiestrze zagranicznej była znacznie lepiej wynagradzana niż w Polsce, wielu muzyków – i to doskonałych – wyjechało.

Na Akademii Muzycznej w Krakowie istnieją takie roczniki absolwentów z lat 80., z których prawie nikt nie został w Polsce. Podejrzewam, że na innych polskich uczelniach może być podobnie.

– Tak naprawdę bardzo rzadko spotyka się orkiestrę, w której nie byłoby Polaka. Nawet w Meksyku jest bardzo dużo polskich muzyków, a także w krajach, które chciały ożywić działalność orkiestr, głównie w Hiszpanii.

W naszym zawodzie człowiek może i powinien uczyć się bez przerwy.

Polacy są też w Filharmonii Berlińskiej – choćby Daniel Stabrawa, który przez wiele lat był tam koncertmistrzem.

– Ale nie tylko on. Był jeszcze w tej orkiestrze przez lata altowiolista Zdzisław Polonek, ojciec, obecnie już na emeryturze, a niedawno jego syn, Krzysztof, został koncertmistrzem altówek. W tej orkiestrze grał kiedyś jeszcze Edward Zienkowski, nasz znakomity skrzypek, który później został profesorem w Wiedniu. Jest też kontrabasista z Polski Janusz Widzyk. Wielu Polaków jest w zagranicznych orkiestrach. Ale w latach 90. to się trochę zmieniło, dlatego że bardzo wielu Rosjan wyjechało z kraju, aby grać w orkiestrach na świecie. Na przykład w orkiestrze w Tel Awiwie, którą dyrygowałem, najłatwiej było rozmawiać po rosyjsku. (...)

Orkiestra Filharmonii Berlińskiej to symbol doskonałej orkiestry i marzenie każdego dyrygenta. Ile razy występował pan z tą orkiestrą?

– Pięć razy. Pierwszy raz dyrygowałem na konkursie, a ostatni – kilka lat temu.

W czym, pana zdaniem, tkwi siła i renoma tej orkiestry?

– W dźwięku i fantastycznej mobilizacji na koncertach. Te cechy zostały wykształcone pod wieloma

względami jeszcze przez Herberta von Karajana. Pamiętam, że kiedy Karajan odszedł, to po paru latach koncertmistrz mówił, że zespół nie ma już takiego brzmienia jak za jego czasów. Tak uważali niektórzy muzycy. Orkiestra jest bardzo profesjonalna. Przy czym należy tam przychodzić ze specjalnie opracowanym planem prób.

Innym niż w pozostałych orkiestrach?

– Czasami tak. Chodzi o to, aby propozycje dla orkiestry nie były nudne. Bo to jest zespół, który wszystko potrafi, więc trzeba proponować ciekawe i nieznanne rozwiązania. Z Danielem Stabrawą, koncertmistrzem tej orkiestry, miałem i mam nadal regularny kontakt. Zapraszałem go także jako solistę, bo to doskonały skrzypek. Z ogromnym zainteresowaniem

śledziłem to, co opowiadał o Filharmonii Berlińskiej i mentalności jej muzyków.

A jeżeli chodzi o zarządzanie tą orkiestrą, jak ono wygląda?

– Tego nie wiem. To są sprawy dyskretne. Wiem jedynie, że po pierwsze, muzycy tam mają bardzo dużo do powiedzenia, a po drugie, że między dyrekcją a orkiestrą bywały sytuacje konfliktowe. Pamiętam swoją rozmowę z jednym z muzyków, kiedy mówił, że sporne w dyskusjach z dyrekcją są wysokości honorariów dla artystów gościnnych. Zapytałem, dlaczego? Przecież dla każdego artysty to jest tak wielki zaszczyt, że może tam wystąpić, iż honorarium nie musi być wielkie. Na co on mi odpowiedział (ze złością): „Pan to rozumie, a nasza dyrekcja nie!”.

Wydaje mi się, że w Filharmonii Berlińskiej, tak jak w wielu orkiestrach, istnieje antagonizm między dyrygentem i orkiestrą. To cecha wielu zespołów, ale tam jest szczególnie widoczna. (...)

Zwykło się mawiać, że orkiestry mają swoje brzmienie. To prawda?

– Obecnie, zwłaszcza w orkiestrach europejskich, we znaki dała się wszystkim globalizacja. 50 lat temu bardziej czuło się, w jakim kraju orkiestrą się dyryguje. Na przykład ►

► brzmienie niektórych instrumentów dętych (zwłaszcza waltorni) w Rosji, czyli wówczas w Związku Radzieckim, było bardzo charakterystyczne i nie zdarzało się w innych krajach. Z kolei blacha, czyli instrumenty blaszane w Niemczech, Anglii czy Francji były na pewno na wyższym poziomie niż u nas, natomiast kwintet smyczkowy nie zawsze dorównywał polskiemu. Bo mocną cechą polskich orkiestr był właśnie szalenie profesjonalny i emocjonalnie zaangażowany w grę kwintet smyczkowy. Czeskie orkiestry miały charakterystyczne brzmienie fletów i klarnetów. Poza tym styl pracy i charakterystyka orkiestr niemieckich były różne od orkiestr francuskich. Ale to się teraz zmieniło, bo orkiestry stały się niezwykle międzynarodowe. Przyjeżdżam do jakiejś orkiestry w Danii czy w Szwecji i dyrektor z dumą mnie informuje, że w orkiestrze pracują osoby 23 narodowości. To oczywiście są świetni, profesjonalni muzycy, ale przez to narodowe brzmienie w dużym stopniu zniknęło. Globalizacja ma jednak i swoje zalety. Na przykład orkiestry włoskie dawniej trudno było skłonić do zdyscyplinowanej pracy. Teraz to się znacznie poprawiło. (...)

Podobno różnicę w orkiestrach można zauważyć w Wielkiej Brytanii. Brytyjskie zespoły różnią się od

europejskich i są jedyne w swoim rodzaju. Czy pan to dostrzega?

– Orkiestry angielskie cechuje chyba najwyższy stopień profesjonalizmu. To znaczy, że orkiestra angielska potrzebuje najmniejszej liczby prób. Dlaczego? To się wzięło z pewnej tradycji – orkiestry angielskie często musiały zarabiać na siebie, a zarabia się głównie przez koncerty. Wobec tego muzycy musieli umieć w jak najkrótszym czasie sprostać wymaganiom stawianym przez partyturę i dyrygenta. I rzeczywiście czas prób orkiestr angielskich jest stosunkowo najkrótszy w porównaniu z innymi krajami, a mimo to można liczyć na wspaniały rezultat. Z niektórymi zespołami, takimi jak London Symphony Orchestra czy Philharmonia Orchestra w Londynie, robiłem koncerty z jedną lub dwiema próbami! Nie do pomyślenia gdzie indziej. Oczywiście w programie były utwory raczej znane i grywane, ale zaskakujące jest, że w ciągu jednej próby mogłem przeprowadzić w całości swoją koncepcję. (...)

Do jakich zespołów przede wszystkim czuje pan sentyment?

– Bardzo miło wspominam orkiestry z obszaru dawnego NRD, pewnie dlatego, że tam jeździłem we wczesnej młodości. Pojechałem tam dzięki konkursowi, a również dzięki działalności Pagartu. Dyrygowałem tak

świetnymi zespołami jak drezdeńska Staatskapelle, ale i Filharmonią Drezdeńską czy orkiestrą Staatskapelle z Weimaru, z którą o wiele później nagrałem takie utwory, jak „Symfonia alpejska” i „Symfonia domowa” oraz „Metamorfozy” Straussa. Wielokrotnie spotykam się z tym zespołem na koncertach i nasza przyjaźń trwa już wiele lat. Zresztą z obszaru dawnego NRD znam też orkiestry z mniejszych miejscowości, takich jak Frankfurt nad Odrą, Schwerin, Magdeburg, Jena, Halle, gdzie dyrygowałem z dużym powodzeniem i satysfakcją. Sporo miałem też kontaktów z orkiestrami czeskimi i słowackimi – i to nie tylko w Pradze czy Bratysławie, ale także w mniejszych miejscowościach, jak Karlowe Wary, Mariańskie Łaźnie czy też Koszyce.

Występ z którą czeską orkiestrą miał dla pana największe znaczenie?

– Z Orkiestrą Radiową – to był koncert inauguracyjny renomowanego festiwalu Pražské jaro w 2009 r. Tradycją koncertu jest wykonywanie cyklu poematów symfonicznych Smetany „Moja ojczyzna”. Tak się złożyło, że w przeszłości nagrałem z WOSPR-em ten właśnie cykl na CD. Ta płyta została na świecie sprzedana w ponad 150 tys. egzemplarzy i została wysoko oceniona przez krytykę. Zostałem więc zaproszony, aby zainaugurować festiwal. Dyrygować czeską muzyką z praską orkiestrą nie jest łatwo, bo oni bardzo pielęgnują swoje tradycje i łatwo można usłyszeć: „*Pane dirigente, to se ne hra tak...*”.

No, ale podjąłem wyzwanie i naprawdę było warto, gdyż koncert był transmitowany przez telewizję, obecny na widowni był prezydent Václav Klaus, którego miałem wtedy okazję poznać. Oczywiście konferencja prasowa w świetle kamer i w ogóle wszystko odbywało się niezwykle uroczysto. Na dodatek okazało się, że tradycją koncertu inauguracyjnego ten festiwal jest to, że dla dyrygenta prowadzącego ten koncert szyje się na miejscu i ofiarowuje frak. To też gdy tylko przybyłem do hotelu, zjawili się dwaj panowie, aby wziąć miarę, a ja wzbogaciłem się o nowy, pięknie skrojony strój koncertowy. Ale to nie koniec niespodzianek.

 FUNDACJA JUDAICA CENTRUM KULTURY ŻYDOWSKIEJ 1993-2022		Współorganizator programu Bajit Chadasz: Wydział Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa	
DZIEDZICTWO, PAMIĘĆ WSPÓLNOTA OBYWATELSKA		Spawający 	
BAJIT CHADASZ SPÓTKANIA Z KULTURĄ ŻYDOWSKĄ			
		Patronat medialny 	
Informacje: Centrum Kultury Żydowskiej ul. Rabina Meiselsa 17, 31-058 Kraków, tel. (12) 430 64 49, info1@judaica.pl www.judaica.pl facebook.com/judaica.krakow		Zbiórka program: 	

To, o czym teraz powiem, na pewno nie było zamierzone przez organizatorów. Otóż pierwszy z poematów symfonicznych tworzących „Moją ojczyznę” – „Wyszehrad” – rozpoczynają dwie harfy dwuminutowym wstępem. Ponieważ koncert był transmitowany przez telewizję, harfy ustawiono na przodzie sceny po lewej stronie tuż koło grupy I skrzypiec. Następnego dnia była powtórka koncertu, już bez telewizji, i w związku z tym harfy ustawiono w głębi sceny, o czym nikt mnie nie poinformował. Wyszedłem w uduchowionym nastroju i odwróciwszy się do orkiestry, nie patrząc, zacząłem utwór, zwracając się tam, gdzie – jak sądziłem – stoją harfy. Tymczasem usłyszałem ich dźwięk ze środka

zartobliwa i wtedy trudno dalej próbować. Bardzo pilnuję, aby się tak nie stało. Poza tym żadna orkiestra nie lubi takich dowcipów, które rzutowałyby negatywnie na koncert.

Prowadził pan także orkiestry z różnych krańców świata. Myślę tu o Nowej Zelandii, Australii czy Ameryce Południowej.

– A... Nowa Zelandia to wspaniały kraj. Cieszę się, że zostałem tam zaproszony i miałem nagrania z tamtejszą orkiestrą. Orkiestra znakomita. Na nagranie całej płyty wyznaczono mi tylko sześć trzygodzinnych sesji. To jest bardzo mało, zważywszy, że to były utwory zupełnie muzykom nieznane. Pierwsza płyta to były trzy poematy symfoniczne Karłowicza, druga – uwertury Webera.

Największe skłonności do żartów miała Orkiestra Polskiego Radia i Telewizji w Krakowie.

estrady z innej strony i z oddali. Musiałem zrobić dosyć zaskoczoną minę, co bardzo spodobało się grającym muzykom...

Żart się udał. Niezamierzony, ale się udał.

– O, tak. Muzycy lubią patrzeć na dyrygenta, który traci rezon.

Podobno wiele zespołów stara się żartować i robić dyrygentom dowcipy?

– Z polskich orkiestr największe skłonności do żartów miała niewątpliwie Orkiestra Polskiego Radia i Telewizji w Krakowie. Pamiętam jeden dowcip, który orkiestra chciała mi zrobić i który mało brakowało, a byłby im się udał. Kiedy byliśmy na tournée we Włoszech, mieliśmy dwa bisy, mazura i oberka. Zawsze graliśmy najpierw mazura Moniuszki i później oberka Stefaniego. Na ostatnim koncercie orkiestra się umówiła, że najpierw zagrają oberka, a później mazura, żeby zobaczyć moją głupią minę, jak zacznę dyrygować mazura, a usłyszę oberka. No, ale to im nie wyszło. (...)

Czy w zagranicznych orkiestrach jest tendencja do żartów?

– Znacznie mniejsza. Żarty są bardzo miłe, tylko trzeba uważać, bo czasem mogą doprowadzić do tego, że atmosfera stanie się za bardzo

Świetne orkiestry są też w Australii, gdzie dyrygowałem, a także w Hongkongu i na Tajwanie. W Chinach jest coraz więcej orkiestr. Ich poziom jest profesjonalny, jeszcze nie tak wysoki jak w Japonii, ale to są dobre orkiestry. Z przyjemnością dyryguję w Meksyku i Ameryce Południowej, bo ci muzycy mają w sobie dużo serdeczności. Najcieplejsze wspomnienia mam z orkiestry z miejscowości Salvador w Brazylii. Nie była to może orkiestra z tych najlepszych, ale zapał muzyków do pracy, ich serdeczność były niezwykle. Tam przeżyłem to, o czym z zaskocznością czytałem w pamiętnikach Czyża. Otóż Czyż pisał, że był w jakiejś orkiestrze i odniósł taki sukces, że brawa się nie mogły skończyć, bo jak publiczność przestawała bić brawo, to zaczynała bić brawo orkiestra. No więc ja się cieszę, że dożyłem takiej historii w Salvadorze. Dyrygowałem w wielu miastach – i w Argentynie, i w Wenezueli, i w Kolumbii, i w Chile, i w Meksyku, i na Kubie, i w Panamie. Dyrygowałem też w Ameryce Południowej orkiestrami o bardzo wysokim poziomie, chociażby Teatro Colón w Buenos Aires, orkiestrą stanu São Paulo w Brazylii czy zespołem Teatru Narodowego w Chile. (...)

Buntowała się panu czasem orkiestra?

– Tak, zdarzało się. Ale im jestem starszy, tym mniej takich sytuacji. Mam sporo doświadczenia, mogę zapobiegać takim buntom. Na początku lat 90. przeżyłem coś takiego na Sycylii. Teraz, gdy jestem proszony o dyrygowanie „III Symfonii” Góreckiego, zgadzam się, aczkolwiek niechętnie, właśnie ze względu na ten incydent. Chociaż mam już na to sposób.

Jaki?

– Przemawiam do orkiestry i uprzedzam, z jakimi problemami mogą się spotkać. I bardzo niewiele próbuję, żeby przypadkiem ich nie znudzić. Ostatnio dyrygowałem tym utworem na przykład w Porto, nie tak dawno w Dreźnie – i to z powodzeniem. (...)

Kiedy staje pan po raz pierwszy przed nieznaną orkiestrą, co jest dla pana najważniejsze?

– Na początku trzeba zrobić dobre pierwsze wrażenie. Orkiestra, zwłaszcza nieznaną, właściwie już po kwadransie wie, z jakiego kalibru dyrygentem ma do czynienia. Muzycy na ogół są tak renomowani i rutynowani, że wiedzą to niemal od razu. A zawód dyrygenta jest trudny i złożony. Nie ma dyrygenta, który pod każdym względem byłby znakomity: żeby miał świetny słuch, czytelne gesty, wiedział, jak kreować muzykę, umiał postępować z zespołem ludzkim, wiedział, co zrobić, żeby utwór dobrze zabrzmiał, żeby orkiestra zagrała razem, a równocześnie był taką osobą, do której ciągną sponsorzy, żeby wyróżniał się ciekawą osobowością muzyczną. Tyle różnych cech trzeba w sobie skupić! To się prawie nie zdarza. Są tylko dyrygenci, którzy pewne cechy mają tak znakomite, że to przyćmiewa te ich ewentualne słabsze strony. (...)



Fragmenty
książki Agnieszki
Malatyńskiej-
Stankiewicz
i Antoniego Wita
*Dyrygowanie. Sprawa
życia i śmierci,*
Czytelnik,
Warszawa 2021

Czystki etniczne w Ameryce

Wszyscy Afroamerykanie na Południu rozumieli, że nawet łagodne formy oporu mogą wywołać kolejną falę przemocy ze strony białych

Patrick Phillips

O ile publiczna chłosta Granta Smitha wywołała niepokój wśród całej czarnej społeczności, o tyle widok wiszących nad rynkiem zwłok Roba Edwardsa sprawił, że na drogach hrabstwa pojawiły się całe karawany wozów; ludzie uciekali na południe w kierunku Atlanty, na wschód w kierunku Gainesville i na zachód w kierunku Canton. Afroamerykanie z Forsyth wiedzieli, że żadne ich słowa ani czyny nie przekonają Billa Reida do ścigania morderców Roba Edwardsa. A jeśli po tym zabójstwie ktokolwiek liczył na to, że teraz biali zostawią w spokoju swoich czarnych sąsiadów, nazajutrz rano przekonali się, że tak nie będzie, kiedy pożar budynku niedaleko Cumming wywołał kolejny wzrost napięcia.

Po zlinczowaniu czarnej ofiary motłoch często kierował uwagę na członków jej rodziny.

Gdy biali usłyszeli, że nocą w tajemniczych okolicznościach stanął w płomieniach magazyn białego mężczyzny, niejakiego Willa Buice'a, uznali, że to sprawka czarnych podpalaczy biorących odwet za lincze. „Georgian” donosił, że „chmury wojny rasowej, które zawisły nad Forsyth (...), dziś mogą przekształcić się w burzę i poleje się krew”. Pożar uznano za dowód, że podobnie jak Plainville, również Cumming było o krok od wybuchu powstania czarnych. „Pogłoski, że murzyni (...) powstają i się zbroją, wywołały niemal panikę wśród kobiet miasteczka”, napisał jeden z obserwatorów, po czym dodał: „Nawet ludzie zachowawczy obawiają się, że wczorajszy lincze i dzisiejsze podpalenie

magazynu to tylko pierwsze oznaki wojny rasowej, która może opłamać całe hrabstwo i przynieść śmierć wielu ludziom. Obywatele zbroją się z myślą o niepokojach”.

Mimo wszystkich pogłosek większość czarnoskórych mieszkańców była jednak zbyt zajęta próbą ochrony własnej rodziny, żeby myśleć o odwecie. Tak jak wszyscy Afroamerykanie na rządzonej prawami Jima Crowa Południu rozumieli, że nawet najłagodniejsze formy oporu czy najmniejszy ślad protestu mogą wywołać kolejną falę przemocy ze strony białych. Wielu musiało słyszeć o czarnoskórej kobiecie z Okemah w Oklahomie, którą zabito w 1911 r., a której jedyną zbrodnią była próba obrony 15-letniego syna przed żadnym linczem tłumem. Gazy donosiły, że kiedy Laura Nelson stawiała czoło białym mężczyznom

oskarżającym jej syna o kradzież, wyciągnięto ją z domu, wielokrotnie zgwałcono, a potem i ona, i syn, którego usiłowała chronić, zawisli obok siebie na moście nad rzeką Canadian.

Jeśli ktokolwiek w czarnoskórej społeczności Forsyth myślał o publicznym wskazaniu przywódców tłumy, który zabił Edwardsa, musiał rozumieć, że wiąże się z tym straszliwe niebezpieczeństwo. Zaledwie kilka lat później, w 1918 r., ciężarną Mary Turner zabito w hrabstwie Lowndes w Georgii za to, że jawnie opłakiwała swojego męża, Hayesa. Kiedy zagroziła, że doniesie na mężczyzn, którzy go porwali i zlinczowali, reakcja była szybka i okrutna, nawet jak na standardy Georgii rządzonej prawami

Jima Crowa. Według historyka Philipa Draya „na oczach tłumu, w którym były kobiety i dzieci, Mary rozebrała, powieszono do góry nogami za kostki, obłano benzyną i upieczono. W trakcie tych męczarni biały mężczyzna rozciął nożem myśliwskim jej nabrzmiały brzuch, niemowlę wypadło na ziemię, wydało z siebie krzyk i zostało zdeptane na śmierć”.

Na Jane Daniel, podobnie jak na Mary Turner, musiało spoczywać niemal nieznośne brzemie bólu, gniewu i strachu, kiedy usłyszała – zaledwie dzień po tym, jak aresztowano jej kuzyna Ernesta – że jej mąż Rob został powieszony na rynku w Cumming, a biali gapili się na jego zwłoki rozrywane setkami kul. Jeśli jednak Jane czuła pokusę, żeby domagać się sprawiedliwości od władz hrabstwa albo głośno opłakiwać męża, wiedziała, że może to mieć śmiertelne konsekwencje. Zdarzyło się to już w Georgii wielokrotnie i miało się zdarzyć ponownie: po zlinczowaniu czarnej ofiary motłoch często kierował uwagę na pozostałych przy życiu członków rodziny – tych, którzy płakali teraz w rozpacz, domagali się aresztowań albo po prostu wiedzieli, kto pociągnął za spust lub przerzucił sznur przez gałąź. Tak jak tysiące innych wdów po zlinczowanych czarnoskórych mężczyznach Jane Daniel wiedziała, że jej jedyną szansą na bezpieczeństwo jest milczenie.

Ostatecznie nawet to nie wystarczyło, bo w środę 11 września gazety poinformowały, że Jane Daniel, jej brata Oscara i sąsiada Eda Collinsa aresztowano w związku z napaścią na Mae Crow. Jak napisano w „Constitution”, „w Cumming niewiele brakowało do kolejnego linczu”, kiedy „zgromadził się tłum, żeby zabrać (...) tych murzynów (...) i powiesić ich na tym samym słupie

Sześciu Afroamerykanów powieszonych w hrabstwie Lee w stanie Georgia 20 stycznia 1916 r.



telefonicznym, na którym wczoraj dyndał ich współnik”. Tym razem jednak burmistrz Charlie Harris był gotowy i zanim tłum zdążył po raz drugi przypuścić szturm, kazał Reidowi i jego zastępcom „wymknąć się [z więźniami] z aresztu i uciekać (...) samochodami do Atlanty”.

Bezpiecznie dostarczywszy Jane, Oscara i Eda Collinsa do Wieży Fulton (tak nazywano więzienie hrabstwa – przyp. red.), gdzie dołączyli do grupy więźniów, na którą składało się już 11 czarnoskórych mieszkańców Forsyth, w środę Bill Reid poświęcił trochę czasu na rozmowę z dziennikarzami w Atlancie. W artykule pod tytułem „Drastyczna historia rządów terroru” „Georgian” zrobił z Reida główną postać. Przedstawiono go jako „malowniczego szeryfa hrabstwa Forsyth”, który przybył do Atlanty samochodem

pełnym czarnych więźniów, niosąc opowieści o rozszalałym tłumie z pogórza Georgii. Kiedy Reid przez zmrużone oczy patrzył na gromadę dziennikarzy z otówkami w rękach, szybko spodobała mu się ta rola: wąsatego wiejskiego stróża prawa z sześciopistołowcem przy pasie, prowadzącego „wojnę rasową” na pograniczu północnej Georgii. „Mieszkańcy Cumming śpią z jednym okiem otwartym”, zaczął szeryf. Potem mówił: „Z nadejściem nocy na miasto i okalające je hrabstwo pada strach, ponieważ nikt nie wie, co może się zdarzyć – to lęk przed zdradą, pochodnią, nożem w plecy. Za dnia z łatwością poradzimy sobie z każdą sytuacją. Biali ludzie są uzbrojeni i błyskawicznie stłamsiliby każdą próbę powstania ze strony czarnych. Panuje ogromne podniecenie, całą społeczność przepełnia niepokój”.

Ponieważ naloty na kościoły i domy czarnoskórych już wygnały wiele rodzin poza granice hrabstwa, opowieść Reida o sytuacji w Forsyth nie tylko wydaje się dziś wypaczona, ale wręcz brzmi jak urojenia. Szeryf opisuje białą społeczność żyjącą w strachu przed nieuchronnym „powstaniem ze strony czarnych”, w obawie, że każdy obudzi się z „nożem w plecach” – podczas gdy w rzeczywistości jedyne „powstanie” prowadzili biali mściciele i podpalcze. Mimo że czarne rodziny strzegły domów, nasłuchując tętentu kopyt lub złowróżbnego odgłosu pękającej gałązki, biali żyli w ciągłej paranoi, niezdolni do pozbycia się swego najstarszego, najgłębszego lęku: że grzechy ich przodków wreszcie zostaną pomszczone przez dzieci i wnuki niewolników. (...)

Jednak dla setek czarnoskórych w hrabstwie najgorsze kłopoty już się rozpoczęły. Chociaż musiały minąć tygodnie, zanim relacje dotarły do Atlanty, w kolejnych dniach po napaści na Crow narodził się nocny rytuał: na rozdrożach zaczęły się zbierać grupy białych mężczyzn. Przybywali z torbami pełnymi mosiężnych pocisków, naboji do strzelb i zakorkowanych butelek z naftą oraz z laskami dynamitu Red Cross wystającymi z juków przy siodłach. Gdy zapadał zmrok, nocni jeźdźcy wyruszyli w jednym celu: by podsyć strach wywołany linczem na Edwardsie i wygnać czarnych z hrabstwa Forsyth na dobre.

W 1907 r. W.E.B. Du Bois ubrał w słowa to, co każda „kolorowa” osoba w Georgii wiedziała z doświadczenia, czyli że „system policji na Południu został zaprojektowany przede wszystkim z myślą o kontroli niewolników. (...) I milcząc zakłada się, że każdy biały jest *ipso facto* członkiem tejże policji”. W pierwszej dekadzie XX w. od czasów, kiedy wszystkim białym wolno było zgodnie z prawem ścigać i aresztować zbiegłych niewolników, upłynęło zaledwie 50 lat, a w epoce niewolnictwa do takich

► grup pościgowych należeli ojcowie i dziadkowie wielu miejscowych.

Sporej grupie białych musiało się więc wydawać czymś naturalnym, że co noc o zmroku ktoś pukał do drzwi i wzywał wszystkich dorosłych mężczyzn z rodziny, żeby dołączyli do gromady jadącej do któregoś ze skupisk chat czarnoskórych rozsianych po hrabstwie Forsyth – w Oscarville

posiadaczy ziemskich i to właśnie te najbardziej narażone rodziny zbiegły w pierwszym etapie exodusu.

Pisemne ślady tych nalołów są nieliczne i ograniczają się głównie do ogólnikowych wzmianek o „bezprawiu” po zmroku. Ponieważ dziennikarze zaczęli pisać o przepędzaniu mieszkańców dopiero wtedy, gdy karawany uchodźców stały się

Mae Crow. Nocni jeźdźcy strzelali w drzwi wejściowe, rzucali kamieniami w okna i wykrzykiwali ostrzeżenia, że już czas, by czarne rodziny się „wyniosły”. Ze wszystkich metod najskuteczniejsze jednak okazały się pochodnie i nafta, ponieważ ogień był jaskrawym znakiem dla innych, ofiary zaś nie miały już dokąd wracać. W połowie października „Augusta Chronicle” donosiła, że „w ciągu ostatnich kilku tygodni spalono co najmniej 20 domów (...) oraz pięć murzyńskich kościołów”.

Podpalacze musieli siać trwogę, gdziekolwiek uderzyli, ale dla biednych czarnych farmerów z Forsyth prawdziwą katastrofą były pożary kościołów, stanowiące cios nie tylko w duchowe domy ich społeczności, ale również w to, co Du Bois nazwał „społecznym centrum życia Murzynów”. (...)

nad rzeką Chattahoochee, w cieniu góry Sawnee na północ od Cumming albo na południu, w kierunku Shakerag i Big Creek. Musiało upłynąć wiele miesięcy – a w niektórych przypadkach nawet lat – zanim miejscowi czarni z Cumming w końcu zostali przepędzeni, ponieważ wielu z nich cieszyło się protekcją bogatych białych, u których pracowali w kuchniach i jadalniach. Dlatego też nocni jeźdźcy w pierwszej kolejności wybierali się do domów zbieraczy bawełny, połowników i drobnych

zbyt duże i zbyt liczne, by można było dłużej je ignorować, trudno stwierdzić, co dokładnie działo się przez pierwsze noce terroru. Część ataków znalazła później odzwierciedlenie w nagłówkach prasy w Atlancie („Murzyni uciekają z Forsyth”, „Rozwścieczeni biali wypędzają czarnych z hrabstwa”) i można przypuszczać, że podobne naloły odbywały się, odkąd na początku września znaleziono ciało



Fragmenty książki Patricka Phillipsa *Korzenie we krwi. Czystki etniczne w Ameryce*, przekład Rafał Lisowski, Post Factum, Katowice 2020



PATRON HONOROWY:



Marszałek
Województwa
Mazowieckiego

HISTORIA W PORTRETACH ZAPISANA

Zdzisław Kruszyński – 40 lat twórczości

12.10 – 6.11.2022

Galeria Brama Bielńska
ul. Czujna, 01-532 Warszawa



**GALERIA
BRAMA
BIELŃSKA**

STOLICA

 **MUZEUM
NIEPODLEGŁOŚCI**

Organizatorzy

 **Mazowsze**

Partnerzy medialni

 **POLSKIE
RADIO**

Partnerzy medialni

 **HISTORIA**

Partnerzy medialni

 **HISTORIA**

Partnerzy medialni

 **STOLICA**

Partnerzy medialni

 **Idłuna**

Partnerzy medialni

 **Idłuna**

Partnerzy medialni

 **Idłuna**

Partnerzy medialni

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Nastrój pogrzybowy

Potocznie mówimy o wysypach, naukowcy nazywają to pojawami – jak zwał, tak zwał, latoś bory hojnie darzą. Ja tylu grzybów nie nazbierałem jak żyję, a z liczby „pomnikowych” prawdziwków demonstrowanych przez niedzielnych grzybiarzy w mediach społecznościowych wnioskuję, że także innym nadzwyczajnie się poszczęściło w tym sezonie. Latem wyspały moje ulubione borowiki ceglastopore, najsmaczniejsze rurkowce, bezkonkurencyjnie pachnące jako susz, mające odstraszać laików właściwość natychmiastowego przebarwienia się na niebiesko po przekrojeniu.

Gościłem w lipcu szkocką córkę z zięciem, młodzieńców z pokolenia Z, którzy nie mogli się nadziwić mojej pasji – w Szkocji nikt nie zbiera grzybów, choć w przeciwieństwie do pozostałych części Zjednoczonego Królestwa jest to legalne. Nie są z tych mieszcuchów, których natura przeraża, drepczą tam nawet regularnie szlakami po tych swoich munrosach, torfowych wzgórzach ze stawami i młakami na grzbiętach, ale w leśnym gąszczu odczuwali dyskomfort. Zejście na nieoznakowany dukt wznagało zaniepokojenie i wielokrotne dopytywanie, czy na pewno dobrze idziemy, po zejściu z duktu na leśną ścieżkę zaczęły się objawy paniki, a już o przemierzeniu kawałka lasu na przełaj musiałem zapomnieć. Pojedyncze strzyżaki uznali za zmutowane latające kleszcze, całkowity brak zasięgu wytrącił ich ostatecznie z równowagi i nie dali się pocieszyć nawet obfitością borówek prosto z krzaka.

Grzybobranie jest zajęciem dla jednostek chaszczolubnych, rozumiem, że nagle pajęczyna na twarzy może u kogoś wzbudzać równie gwałtowny wstręt jak mleczny kożuch – nie nalegam, nie nakłaniam, na grzyby chadzam samotnie, gadam z nimi i nie muszę z tego nikomu się tłumaczyć. Zięć był zadziwiony, widząc, jak rozwieszam na nitkach pokrojone kawałki, bo sześcioplatfomowa suszarka w tym roku nie wystarczyła na zbiory. Robił zdjęcia naszyjnikom grzybowym powisającym z lamp, jakby zaprowadzono go do chaty znachora. „*It's so weird*”, dokumentował z przejęciem, jakby zwiedzał muzeum osobiowości, a córka próbowała go uspokajać: „*It's so Polish*”. Niebieszczenie ceglaków filmował z pasją i wrzucał natychmiast na swój Instagram jako przykład wschodnioeuropejskiej magii.

W sierpniu rozszalały się borowiki szlachetne, rosły masowo i bezwstydnie, dzięki czemu mogłem wyleczyć kompleks niespełnionego prawdziwkarza – w dzieciństwie i wczesnej młodości chadzałem do lasów z góralami podhalańskimi, którzy wszelkim innym grzybem

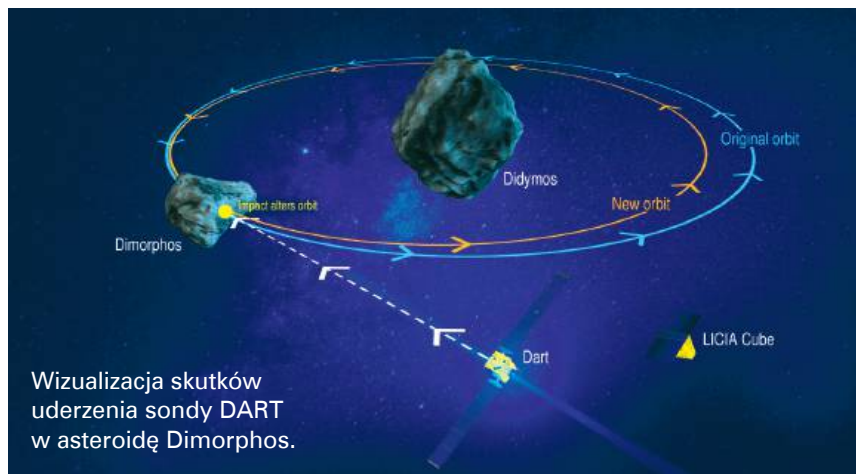
pogardzają, za to prawdziwki zbierają z ambicją sportową, nurkując pod gałęziami młodych świerków i wyczołgując się z wielkimi jak bochny okazami. Inny grzyb się nie liczył, może poza rydzami, których kapelusze cięto na smażenie, wszelako moje kosze pełne podgrzybków budziły ich politowanie, zwłaszcza jeśli znajdowały się wśród nich pospolite zajączki lub co gorsza spękane i najczęściej robaczywe suchogrzybki złotopore. Żeby narwać prawdziwków, trzeba było mieć w lesie tzw. swoje miejsca – aż do tego lata, kiedy zdarzało mi się trafiać na gromady po kilkadziesiąt sztuk w miejscach łatwo dostępnych. Podobnie jak w przydrożnych brzezinach, gdzie wystarczyło rzucić okiem, by namierzyć „kozacką sicz” w ilościach wcześniej niespotykanych. Kurki rozrosły się w tym roku do rozmiarów kur, wyborne gołąbki w jadalnych odmianach ścieliły się pod stopami i żałowałem, że jako daltonista mogę je zbierać tylko w towarzystwie osoby rozróżniającej kolory (w przeciwnym razie

Może natura chce się wyszumieć na całego. Zanim jeden rodzaj grzyba spuentuje wszystkie istnienia – ten atomowy.

musiałbym każdy egzemplarz sprawdzać, odgryzając kawałek, bo wszystkie odmiany pozbawione smaku są jadalne, ale niektóre gadziny są tak pieprzne lub gorzkie, że język drętwieje i nic już nie sprawdzisz).

Wrzesień był wyjątkowo paskudny, co spowodowało obłąkańczy pojaw suchogrzybka oprószonego, grzyba zimnolubnego, nie tak smacznego jak podgrzybek brunatny i raczej przydatnego domieszkowo, ale łakomstwo pasjonata nie zna granic – zgarniałem ile wlezie do kosza, wracałem w to samo miejsce kilka dni z rzędu i wciąż miałem wrażenie, że niczym smocze łby w miejscu jednego zerwanego wyrastają trzy nowe.

Sezon trwa, wedle zasady meteosymetrii październik powinien być wyjątkowo ciepły, posypią się jeszcze maślaki, a i podgrzybki w następcznych miejscach – zapasów będzie na długie miesiące kulinarnych eksperymentów. Aż tu nagle do głowy przyszła myśl, która położyła się cieniem i trującą pleśnią na tej ekstazie grzybiarskiej. Być może natura czuje, że to ostatnia jesień przed zagładą nuklearną, i chce się po raz ostatni wyszumieć na całego. Zanim jeden rodzaj grzyba spuentuje wszystkie istnienia – ten atomowy. ■



zapytaliśmy prof. Marka Sarnę z Centrum Astronomicznego im. Mikołaja Kopernika w Warszawie, a zarazem prezesa Polskiego Towarzystwa Astronomicznego.

– Trzeba przede wszystkim porównać energię kinetyczną sondy i planetoidy – powiedział profesor. – Jeśli są rzeczywiście takie rozbieżności pomiędzy oszacowanym wstępnie skróceniem obiegu planetoidy a rzeczywistym rezultatem, wymagać to będzie wyjaśnienia. Nie wiadomo jednak, czy podane liczby są wiarygodne po tak krótkim czasie od zderzenia. Z czasem może się okazać, że było nieco inaczej.

Zdaniem prof. Sarny istnieje jeszcze pewien margines niewiadomych. Po pierwsze, wypadłoby zbadać wpływ zderzenia na zmianę energii obydwu ciał tworzących układ. Po drugie, struktura i budowa planetoidy w pewnej części mogła być niewiadomą. Po trzecie, zapewne doszło do strat energii kinetycznej na wyrzuty pyłu, drobin materii, ogrzanie powierzchni zderzenia, odrzucenie sondy w przestrzeń itd. Wreszcie należy obserwować pył wokół układu i czy na powierzchni asteroidy jest ślad – mają to wyjaśnić przyszłe misje satelitarne oraz obserwacje teleskopami Hubble’a i Webba.

W istocie warto się uzbroić w cierpliwość, bo podano już, że za dwa lata, w 2024 r., Europejska Agencja Kosmiczna (ESA) wyśle sondę Hera, żeby zbadać utworzony krater i nową orbitę planetoidy. Hera ma dotrzeć do celu w 2026 r. To, jak teraz wygląda uderzona asteroida, która w ogóle nie zagrażała Ziemi, pozostaje na razie tajemnicą.

Szacuje się, że podobnych obiektów jest mnóstwo. Według NASA zidentyfikowano ich ok. 1,2 mln w różnych częściach Układu Słonecznego, w tym w pasie planetoid pomiędzy Marsem a Jowiszem. Asteroidy różnią się między sobą wielkością i mogą mieć średnicę od kilku metrów do kilkuset kilometrów. Żadna nie zagraża Ziemi, ale dziś już wiadomo, że dysponujemy narzędziami, które mogą nas obronić przed obiektami trafiającymi w nasze pobliże. I że jesteśmy zdolni zareagować z odpowiednim wyprzedzeniem. ■

Majstrowanie w kosmosie

Pierwsza w historii skuteczna próba zmiany trajektorii ciała niebieskiego przez ludzi

Bronisław Tumiałowicz

Zwykły laik zapewne wie, że prócz planet wokół Słońca krążą jeszcze rozmaite mniejsze kosmiczne „odpady”, asteroidy, komety. Taki układ dwóch związanych ze sobą asteroid namierzono dopiero w 1996 r. Są to kamienne, stosunkowo niewielkie obiekty – średnica Didymosa wynosi niespełna 600 m, Dimorphosa zaś ok. 160 m. Dimorphos okrąża większego Didymosa w ciągu 11 godzin i 55 minut, a oba obiegują Słońce w ciągu 770 dni. Można takimi kosmicznymi kamieniami się nie przejmować, ale można też badać, z czego są zbudowane, i śledzić, czy czasem nie zechcą zmienić orbity i niepokojąco zbliżyć się do nas. Specjaliści obliczyli, że taka asteroida byłaby w stanie zniszczyć duże miasto.

Nasze zainteresowanie Dimorphosem wzrosło po wysłaniu przez NASA sondy DART, która miała uderzyć w ten obiekt, by sprawdzić, jakie da to efekty. Zakładano, że może to być zniszczenie sondy, rysa na latającym kamieniu, ale oczekiwano też zmiany trajektorii, czyli kursu obiektu, przesunięcia go na ciaśniejszą orbitę. I to najważniejsze się zdarzyło. Nazwano to testem obrony planetarnej – pierwszą w historii próbą zmiany trajektorii ciała niebieskiego przez ludzi.

Do zderzenia sondy wielkości małego samochodu z Dimorphosem

doszło 27 września, w odległości ok. 11 mln km od Ziemi. Kamera zainstalowana na sondzie przesyłała obrazy do chwili zderzenia z chropowatą powierzchnią asteroidy. Ale wydarzenie obserwowała jeszcze inna kamera, zainstalowana na satelicie LICIACube należącym do Włoskiej Agencji Kosmicznej. To dzięki tej drugiej kamerze dowiedzieliśmy się, jak bardzo zmieniła się trajektoria krążącego kamienia. Uderzenie skróciło obieg Dimorphosa wokół planetoidy Didymos o 32 minuty. Obecnie okres orbitalny mniejszego ciała wynosi 11 godzin i 23 minuty. NASA zakładała, że misja odniesie sukces, jeśli uda się skrócić okres orbitalny o co najmniej 73 sekundy.

Wydarzenia rozgrywające się w kosmosie są pilnie obserwowane i komentowane zarówno przez specjalistów, jak i entuzjastów astronautyki. W Polsce np. działa prężnie Polskie Towarzystwo Astronomiczne, wydające czasopismo „Urania”. Jest też wielu niezrzeszonych obserwatorów i fanów kosmonautyki. Właśnie oni zauważyli, że NASA, czyli państwowa agencja kosmiczna USA, obliczyła wstępnie, iż sonda skróci trajektorię asteroidy o najwyżej 10 minut, a tutaj wyszły „aż” 32 minuty. Czy zatem najwybitniejsi specjaliści nie potrafią precyzyjnie oszacować efektu uderzenia w asteroidę?

O to, co trzeba wiedzieć, aby trafnie przewidzieć efekt uderzenia,

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

To chyba żart

O powiem ci kawał – wujek potarł trójkątny nos, a oczy zaszkliły mu się radośnie. Mnie natomiast twarz stężała i w ogóle cała się zgarbiłam. Na próżno. Trzeba będzie wysłuchać dowcipu, a potem uśmiechnąć się jakoś sensownie, jak do zdjęcia. Dowcipy wujka do dzisiaj kojarzą mi się z wymuszaniem śmiechu. Potem, kiedy byłam starsza, miałam już odwagę, żeby się nie śmiać albo skomentować, że to przecież nieśmieszne, albo rzucić formalne „he, he”. Wszystko to było dość przykre, bo wujek był OK, to znaczy nie był dziadem, chodził z nami w góry i dawał słodkie wiśnie w alko. Wstydziłam się więc i za niego, i za siebie. Czy najmniej śmieszny jest człowiek opowiadający dowcipy? Sytuacja wydawała się bez wyjścia.

Humor potocznie kojarzy się z intelektualną rozsadą, zagrywką języka lub wyobraźni. Z przyjemnym zaskoczeniem. Albo z poczuciem odprężenia, bo przecież, żeby zareagować na żart, trzeba być skorym do śmiechu, trzeba chcieć się śmiać. Ale w żartach – czy w komizmie w ogóle – nie zawsze chodzi o śmiech. Dlatego ta szczególna wywrotka, fikołek czy momentalna słabość, którą odczuwamy gdzieś w okolicy mózgu i żołądka jako żart, to zaburzenie logiki, opustka w szeregu celowych działań i zdań – wymagają gruntownego omówienia. Zwłaszcza że odgrywają niebagatelną rolę w literaturze. I to na wiele różnych sposobów.

Z „Dzienników” Franza Kafki dowiadujemy się, że jego przyjaciele zaśmiewali się, kiedy czytał im fragmenty „Procesu” (przekładając ponownie „Proces”, Jakub Ekiel przywrócił znaczące, komiczne nazwiska bohaterów). To, że nie wszyscy mieli takie poczucie humoru jak Kafka, wpłynęło na późniejszą recepcję „Procesu”, który latami uchodził za ponurą alegorię opresyjnych systemów politycznych. Ta interpretacja – przez wielu uważana za jedyną słuszną – zubożyła i spetryfikowała odbiór dzieła Kafki na dekady.

Spróbujmy spojrzeć na humor jak na skalę, na której początku rysują się psotliwe, ale subtelne sugestie, delikatne dwuznaczności, znaki, których podwójną wymowę (jeszcze) możemy zignorować. Na końcu skali znajdowałby się gruby żart – jawny, dominujący, bezsprzeczny. Pośrodku zaś humor mechaniczny (np. slapstickowy), ale też ten wymagający i erudycyjny (żarty na temat kolejnych przekładów „Finnegans Wake”), jowialny, agresywny lub bierno-agresywny – poniżający albo

autokompromitujący. I wreszcie czarny humor – ten, o którym badacze mówią, że świadczy o naszej inteligencji (bo opiera się na utrzymaniu niejednoznaczności).

Wiadomo, różne rzeczy nas śmieszą. Bo humor jest także klasowy (i dystynktywny), tak jak klasowa jest groza. Poczucie humoru bywa oczywiście mechanizmem obronnym, który ma maskować np. nasz lęk związany z odmiennością lub słabością. W tym ujęciu humor pełni funkcję przystosowawczą. Wiadomo, zwierzęta niektórych gatunków udają inne zwierzęta, a czasem elementy natury czy nawet przedmioty. Zamazują granice własnego ciała, zmieniają kolor albo stają się przezroczyste. W podobny sposób napiętnowane osoby mogą zarządzać swoim piętnem za pomocą humoru: ukryć się w śmiechu, zamaskować strach. Ale humor służy nam również na co dzień do redukcji napięcia i rozbrajania lęku.

Już sto lat temu Freud wyodrębnił różne rodzaje komizmu: komizm tendencyjny (nieszkodliwy) i nietendencyjny (np. agresywny). W książce „Sigmunda Freuda teoria dowcipu, humoru i komiki” Dariusz Grabowski pisze: „Do zajęcia się problematyką dowcipu nakłoniły Freuda między innymi uwagi Wilhelma Fliessa, który w 1899 roku, otrzymawszy do recenzji gotowe dzieło poświęcone marzeniom sennym, zauważył, że charakterystyczne dla przytaczanych w nim przykładów snów są gra słów i dowcipność. Freud odpisał przyjacielowi, że »wszyscy śniący są po równo nieodzownie dowcipni, i musi tak być, ponieważ znajdują się oni pod presją i bezpośrednia droga jest dla nich zamknięta«”.

A więc bywamy dowcipni nawet we śnie. Ale humor bywa nie tylko przejawem pracy naszej nieświadomości, nie tylko strategią przetrwania, ale też cudownym – dosłownie, bo mającym moc przemiany – narzędziem literackim. Przy czym może to być humor rozgrywający się na planie jednego zdania i dotyczyć – chociażby – brzmienia słów, gramatyki, a nawet interpunkcji. Może zogniskować się w postaci, jej działaniach czy postawie, może wynikać z samej opowieści. Ale raz na jakiś czas trafiamy na te wspaniałe książki, których humor jest trudny do zidentyfikowania, a jednak wyczuwalny. Albo gorzki, ponury, jak w Kunderowskim „Żarcie”, jednej z najsmutniejszych powieści naszych czasów.

DOM dla wszystkich

Rzecz o bocianich gniazdach



Adam Zbyryt, Piotr Tryjanowski

Zwierzęcy inżynierowie

Struktury wznoszone przez zwierzęta nierzadko nie ustępują pod względem złożoności tym tworzonym przez ludzi, a czasami wręcz je przewyższają. Ich rozmiary potrafią wzbudzać podziw. (...) W wypadku ptaków do najniezwyklejszych struktur należą oczywiście ich gniazda, szczególnie te okazałe. Jedno z najbardziej zdumiewających spotkałem w Etiopii, a należało do niedużego ptaka, wielkością zbliżonego do kury, zwanego warugą. Miało ok. 2 m średnicy! (...)

Innym gniazdem, które wprawiło mnie w nie lada zdumienie, było schronienie bielika amerykańskiego w Kolumbii Brytyjskiej. Konstrukcja była tak potężna, że nie mogłem zrozumieć, jak to się stało, że drzewo, na którym została posadowiona, jeszcze się nie złamało lub nie przewróciło pod jej ciężarem. Podobne gniazda budują nasze bieliki, ale nigdy nie widziałem, by ich siedziby osiągały tak gigantyczne rozmiary. Rekordzista wśród bielików amerykańskich koło St. Petersburga

na Florydzie wybudował gniazdo o wysokości 6 m i średnicy ok. 3 m, a jego masa osiągnęła prawie 3 tony. (...)

Żadna z opisanych wyżej zjawiających budowli nie może się jednak równać z gniazdami bocianów białych. To fascynujące struktury, podobnie jak fascynująca jest cała dziedzina nauki zajmująca się badaniem i klasyfikacją gniazd zwierząt – kaliologia. (...)

Początek budowy

Bociany umieszczają swoje gniazda w różnych miejscach. Najbardziej nadają się do tego płaskie powierzchnie, które stanowią dobry punkt podparcia lub zaczepienia dla spadających patyków. Niewielkie nachylenie dachu nie jest dużą przeszkodą. Ważne, aby pokrycie nie było zbyt śliskie. Dawniej idealną bazą dla gniazd były dachy kryte strzechą. Później zastąpił je eternit, który też sprawdzał się całkiem nieźle. Dziś ze względu na jego rakotwórcze właściwości dachy kryje się blachą. Na takim materiale niełatwo wybudować gniazdo; poza tym po wymianie pokrycia właściciele domów nie zapraszają już bocianów tak chętnie.

W Europie Centralnej kolejną dobrą bazą dla bocianich gniazd są drzewa o zamartwych lub złamanych wierzchołkach. W wielu wypadkach są to całkowicie martwe drzewa, z których pozostał tylko pozbawiony gałęzi i kory pień. Wszystko wskazuje na to, że to najbardziej pierwotna forma umieszczania gniazd przez te ptaki. Są jednak inne naturalne lokalizacje, które mogą zaskoczyć, gdy widzi się je po raz pierwszy. Na Półwyspie Iberyjskim zdarzają się gniazda posadowione na ogromnych głazach. Najsłynniejsze można spotkać w okolicy zabytkowego miasta Cáceres w zachodniej Hiszpanii. (...)

Obecnie w naszym kraju najwięcej bocianów gnieździ się na słupach podłączonych do sieci energetycznej lub wolno stojących ze specjalnymi, przygotowanymi przez ludzi platformami pod gniazdo. Słupy elektroenergetyczne z przewodami idealnie zastępują platformy, dlatego bociany tak chętnie wykorzystują je do budowy swoich gniazd. (...) Dzisiaj trudno w to uwierzyć, ale jeszcze 50 lat temu bocianie gniazda rzadko bywały posadowione na słupach energetycznych. Obecnie w wielu regionach ponad połowa

gniazd znajduje się właśnie na tego typu konstrukcjach. (...)

Istnieje oczywiście znacznie więcej miejsc, w których bociany umieszczają swoje gniazda. Chyba do najciekawszych lokalizacji należą stogi siana, dachy ambon myśliwskich, drewniane przydrożne krzyże, wieże ciśnień czy kominy cegielni. Nic nie dorówna jednak gniazdu, które bociany zbudowały na dachu trabanta w miejscowości Neuruppin na północny zachód od Berlina. Auto nie stoi zaparkowane na ziemi – zostało zamontowane na ażurowym słupie przez obdarzonego ogromną fantazją i poczuciem humoru niemieckiego konstruktora. Również na terenie Niemiec, w miejscowości Kirchheim unter Teck, znajdują się kolejne ciekawie położone gniazda. Bociany wybudowały je na wielkim dźwigu budowlanym. Wszystko zaczęło się w 2005 r., kiedy pierwsza para umieściła tam swoje gniazdo. Z tego powodu firma, która była właścicielem żurawia, pozostawiła część konstrukcji. Rozebrano tylko ramię dźwigu, a w zamian zamontowano specjalne uchwyty z platformami pod gniazda. Dziś na tej konstrukcji mieszka kilkanaście par. (...)

Życie w kolonii

W miejscach, gdzie występują bogate zasoby pokarmowe, bociany mogą gnieździć się bardzo blisko siebie. Niektóre gniazda są od siebie wówczas oddalone zaledwie o kilka metrów, a mimo to ptaki są względem siebie tolerancyjne. Muszę wspomnieć, że dobre traktowanie sąsiadów nie leży w ich naturze. Śmierć w wyniku walki o gniazdo, zniszczone jaja czy wyrzucone z gniazda pisklęta nie stanowią rzadkości w świecie bocianów. Być może w dzisiejszych czasach, gdy zaczyna brakować zasobnych miejsc do żerowania, takie przypadki zdarzają się częściej niż dawniej. Nikt dotąd tego nie zbadał, ale wcale bym się nie dziwił, gdyby okazało się, że wraz z degradacją siedlisk bociany stają się bardziej agresywne i mniej tolerancyjne.

Nic w tym dziwnego – chcą przetrwać. Gdy pokarmu ubywa, a gąb

do wyżywienia jest wciąż tyle samo, rozpoczyna się walka, którą przeżyją najsilniejsi. W takich przypadkach altruizm jest ostatnią rzeczą, jaką mogłaby kierować zachowaniem zwierząt.

Skoro tolerancja wobec sąsiadów jest związana z bogatymi zasobami pokarmowymi, nic dziwnego, że największe kolonie lęgowych znajduje się w tych częściach Polski, w których zachowały się rozległe łąki i pastwiska, a więc w północnej i wschodniej części kraju. Największe skupienia lęgowe są zlokalizowane na Warmii i Mazurach. Jedna kolonia znajduje się zaś na zachodzie kraju we wsi Kłopot nad Odrą, gdzie działa Muzeum Bociana Białego.

Gniazda bocianów są pełne śmieci.

Największe polskie kolonie liczą ok. 50 gniazd, a można je spotkać we Lwowcu, Szczurkowie, Żywkowie i Dujach. Te niewielkie wsie położone przy granicy z obwodem kaliningradzkim często są zamieszkiwane jedynie przez kilka rodzin. Zdarza się, że liczba zasiedlających je bocianów jest wyższa niż liczba samych mieszkańców, zwłaszcza od połowy maja, gdy wykluwają się pisklęta. Mimo że dla bocianów są to wciąż bardzo dobre miejsca do gniazdowania, także tutaj zaczyna ubywać par lęgowych. Szybko zachodzące zmiany w rolnictwie, mechanizacja i intensyfikacja produkcji, spadek liczby wypasanych krów i osuszanie terenów podmokłych sprawiają, że te obszary stają się coraz mniej przyjazne bocianom.

Niektóre największe skupienia gniazd bocianich w Europie posiadają tytuł Europejskiej Wsi Bocianie. Od 1994 r. niemiecka fundacja EuroNatur przyznaje go za zaangażowanie w ochronę przyrody, w szczególności zaś siedlisk bociana białego. Aktualnie miano to nosi 15 wsi w 15 europejskich krajach, w tym podlaska wieś Pentowo. (...)

Wyniki obserwacji zdrad wśród bocianów w koloniach są zaskakujące. Specjaliści nazywają to zjawisko kopulacjami pozapartnerskimi.

Powszechnie wiadomo, że w koloniach lęgowych ptaków dochodzi do takich zachowań znacznie częściej niż w wypadku gniazdowania w odosobnieniu. Okazja czyni złodzieja – a w tej sytuacji rogacza. Jeśli na danym terenie gnieździ się atrakcyjny samiec, najczęściej to on jest ojcem większości piskląt z okolicznych gniazd. Nie ma w tym nic złego – samice chcą zapewnić swojemu potomstwu jak najlepsze geny. (...)

Choć w Polsce kolonijne gnieźdzenie się bocianów staje się coraz rzadsze, w Hiszpanii i Portugalii jest nadal powszechne. Ba, mało tego, wokół wysypisk śmieci pojawiają się nowe, coraz większe kolonie lęgowe. Nie mogłem wyjść ze zdumienia, gdy niemal na każdym słupie wokół wysypiska śmieci w pobliżu Madrytu widziałem bocianie

gniazdo. Jeszcze ciekawiej prezentowały się kolonie posadowione na dziesiątkach drewnianych słupów zaopatrzonych w platformy zamontowane przez ludzi. Ulokowano je jedna obok drugiej na równej wysokości, a każda została zajęta przez parę bocianów. Sprawiało to wrażenie lasu bocianich gniazd – widok niezwykle i niespotykany nigdzie indziej, a na pewno nie w takiej obfitości. Tego rodzaju zjawisko rzadko się zdarza, gdyż, jak wspominałem, oznacza, że okolica jest wyjątkowo zasobna w pokarm. We wsi Ruś nad Narwią jeden z gospodarzy ustawił na swojej niewielkiej posesji cztery słupy z platformami. Każda z nich została zajęta, ale działo się to jakieś dwie dekady temu, a dzisiaj byłoby niemożliwe.

Majtki w gnieździe

Bociany rozpoczynają budowę gniazda od ułożenia podstawy z dość długich suchych patyków. Z tego względu preferują płaskie powierzchnie. Gdy taka warstwa nabierze kształtu mniej lub bardziej solidnej platformy, ptaki wyścielają jej wewnątrz grubą warstwą suchej trawy i formują pośrodku zagłębienie misowatego kształtu. Daje im to możliwość zapanowania nad jajami w czasie ich wysiadywania. ►

W trakcie całego sezonu lęgowe- go ptaki obudowują brzegi gniazda cieńszymi patykami, a wewnątrz wypełniają darnią, słomą i obornikiem. Rosnące pisklęta i regularnie prze- bywający na gnieździe rodzice po- wodują ubijanie się poszczególnych warstw i materiałów. Najczęściej już w czerwcu nie znajdziecie nawet śla- du po zagłębieniu, a jedynie klepi- sko. Ubite podłoże tworzą nie tylko wspomniane wyżej materiały, które bociany przyniosły do gniazda, lecz także wypluwki, czyli zwrócone nie- strawione części pokarmu. Nierzad- ko są to także zawleczone do gniaz- da śmieci.

Śmieci to odrębny i bardzo cieka- wy wątek. Tematem tym zajmowała się Zuzanna Jagiełło (Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu) wraz z ze- społem. Badania były prowadzone w Wielkopolsce, konkretnie w okoli- cach Leszna. Śmieci – głównie sznur- ki z tworzyw sztucznych, różnego rodzaju folie i inne plastikowe ele- menty, materiały tekstylne oraz pa- pier – stwierdzono w około połowie badanych gniazd. Nikogo nie zdziwi fakt, że najwięcej śmieci znaleziono w najbardziej zaśmieconych okoli- cach. Prawda jest taka, że zawar- tość śmieci w gniazdach jest jeszcze większa, gdy przyjrzymy się ich wną- trzom, a nie tylko wyściółce. (...)

W bocianim gnieździe zdarzyło mi się zobaczyć: majtki, bokserki, ko- szule, staniki, pończochy, dziecięce rajstopy, fartuchy, rękawice robocze i ogrodowe, skarpetki, czapki, sznu- rówki, paski do spodni, kawałki dru- tu, kolorowe odtamki szkła, a nawet stare peerelowskie złotówki i pięć- dziesięciogroszówki. To jednak nic w porównaniu do tego, co zawierało gniazdo pary bocianów gniazdują- cych na terenie ogrodu zoologicz- nego w czeskiej miejscowości Cho- mutów. Na początku grudnia 2021 r.

W bocianim gnieździe zdarzyło mi się zobaczyć: bokserki, koszule, staniki, pończochy, skarpetki, czapki, sznurówki, paski do spodni, kawałki drutu...

ze względów bezpieczeństwa zmniejszono ich gniazdo – było ono tak duże, że mogło spowodować złamanie drzewa, na którym zostało posadowione. Wewnątrz znaleziono całkiem sporo górnych i dolnych części bikini, jednoczęściowych strojów kąpielowych, skarpet, maj- tek i ręczników. Skąd tak szczególny wybór śmieci? W pobliżu znajduje się popularne kąpielisko. Jeśli plażo- wicze zostawili coś na plaży, zwykle lądowało to w bocianim gnieździe.

Na tym jednak nie koniec niespo- dzianek. W gnieździe znaleziono tak- że dwa pełne kartony... wina! Jak się tam znalazły? Nikt nie ma pojęcia.

Zuza Jagiełło i jej zespół odkryli jeszcze jedną ciekawą rzecz: praw- dopodobieństwo znalezienia śmieci w gnieździe bocianów było związa- ne z wiekiem samicy, ale nie samca, a co ważne, to właśnie samce gro- madzą większość materiałów do bu- dowy schronienia. Czyżby bocianice szczególnie gustowały w śmieciach i lubiły ozdabiać nimi swoje gniazda?

Nie wiadomo. Mimo intrygującego wyniku badań trudno wyjaśnić tę za- skakującą zależność i, jak tłumaczą naukowcy w artykule podsumowują- cym obserwacje, może to być efekt małej próby.

Pewne jest natomiast to, że gniaz- da bocianów są pełne śmieci. Śmie- ci, które ludzie zostawiają wokół swoich gospodarstw, a które te ptaki pieczołowicie zbierają. To, że w nie- których gniazdach znajdowaliśmy staniki albo majtki, brzmi zabawnie, ale trzeba podkreślić, że większość śmieci, które spotykałem, to niebez- pieczne sznurki z tworzyw sztucz- nych. Jeśli tylko zacisną się wokół nogi pisklęcia i zostaną na niej przez kilkanaście dni, spowodują obumar- cie tkanek kończyny, to zaś może doprowadzić do samoamputacji. (...)

Krowie tajno

To nie przypadek, że bociany zno- szą do gniazda krowie tajno. Robią to najintensywniej tydzień przed i tydzień po wykluciu się piskląt. Przestają, gdy młode mają miesiąc. Po co to robią? W celu poprawy właściwości termoregulacyjnych gniazda. Bociania siedziba nie przy- pomina typowego ptasiego gniazda, które w przekroju wygląda jak głę- boka misa o wysokich ściankach. Taki kształt pozwala na lepsze wyko- rzystanie zasobów ciepła. Poza tym w skorupkach jaj bocianów nie ma



barwników, zwłaszcza tych ciemniejszych, które poprawiają zdolności termoregulacji. Z tych względów ptaki musiały wynaleźć inny sposób na zagrzanie domostwa – i nauczyły się znosić do gniazda krowie placki. Co ciekawe, chodzi tu nie o podnoszenie temperatury przez proces fermentacji fajna, ale o właściwość zbliżoną do działania termoforu. Krowie placki szybko wysychają w pełnym słońcu, ale wewnątrz długo pozostają wilgotne – i właśnie o tę wilgoć chodzi. Zewnętrzna warstwa, nazywamy ją skórą, jest sucha i chroni wnętrze przed szybkim parowaniem, a jednocześnie powoduje jego intensywne nagrzewanie się. Różnica między temperaturą otoczenia a środkiem krowiego placzka jest stosunkowo wysoka, może wynosić od 3 do 6 st. C. Nic dziwnego, że ptaki chętnie używają krowiego nawozu do ogrzewania jaj tuż przed wykluciem się piskląt i zaraz po wykluciu, kiedy zdolności młodych do termoregulacji są bardzo ograniczone.

Ta kwestia wymaga drobnego wyjaśnienia: opisane wyżej zachowanie cechuje bociany w Hiszpanii. Czy polskie ptaki także zbierają krowie placki? Nigdy się z tym nie spotkałem, a często zaglądam do ich gniazd. W związku z tym nawet jeśli to robią, zdarza się to niezwykle rzadko. Dlatego uważam, że jest to zachowanie typowe dla hiszpańskiej populacji bocianów, która dość znacząco różni się od polskiej. W naszym kraju w gniazdach znajduje się dużo obornika, który bociany znoszą przez cały sezon lęgowy. Czy ma to na celu podniesienie temperatury w gnieździe? Fermentujący obornik w naturalny sposób wytwarza ciepło. To zjawisko jest dziś wykorzystywane podczas tworzenia instalacji ogrzewających budynki inwentarskie. Nic nie stoi na przeszkodzie, by bociany wykorzystywały te same właściwości do ogrzewania swoich gniazd. (...)

Ile waży bocianie gniazdo?

W latach 2016-2020 koordynowałem projekt ochrony bociana białego, a jednym z jego głównych zadań było zabezpieczenie zagrożonych i konfliktowych gniazd tego gatunku.

Jak takie gniazda rozpoznać? Najczęściej są to te największe, a zatem także najcięższe, posadowione na dachach, kominach, spróchniałych drzewach czy starych pękających słupach lub położone zbyt blisko budynków mieszkalnych, przez co odchody bocianów stale brudzą ich ściany. W praktyce działania ochronne polegały na tym, że gniazdo oplatanie specjalnymi pasami transportowymi i ściągano bezpiecznie na ziemię przy pomocy dźwigu.

Obserwując to, zacząłem się zastanawiać, ile może ważyć taka konstrukcja. 100 kg, pół tony, tonę, 1,5 tony? Zacząłem szukać w literaturze informacji na temat wagi bocianich gniazd. Okazało się, że wiedza w tym zakresie jest niezwykle uboga. Znalazłem zaledwie kilka informacji, które pochodziły z Niemiec i Polski. Jedno z gniazd zważył nestor badań nad bocianem białym w naszym kraju i jeden z najsympatyczniejszych ludzi, jakich znam

rozebrał gniazdo na części i ważył kawałek po kawałku. Ja zaś mogłem dokonać pomiarów w całości. Zadzwońtem do właściciela firmy, która zajmowała się przenoszeniem gniazd, i zapytałem go, czy mógłby ważyć ściągane gniazda. Wymagało to zastosowania specjalnej wagi zawieszanej do dźwigu. Najlepiej z udźwigniem do 3 ton, gdyż nie wiedziałem, czego możemy się spodziewać. Właściciel zgodził się bez wahania i tak rozpoczęliśmy proces ważenia, mierzenia wysokości i średnicy oraz wilgotności każdego gniazda. W ten sposób udało się zgromadzić dane o 145 gniazdach. Nieźle, biorąc pod uwagę to, co zbzdano do tej pory.

Najcięższe gniazdo zważone w czasie akcji ich przenoszenia osiągnęło masę 1348 kg! W związku z tym moje obawy dotyczące wytrzymałości wagi były nieco przesadne, ale nie oderwane od rzeczywistości. Najlżejsze gniazdo, które

Najcięższe znane gniazdo znajdowało się na wieży kościoła w Mengen w Niemczech na wysokości 36 m, a osiągnęło masę powyżej 2 ton.

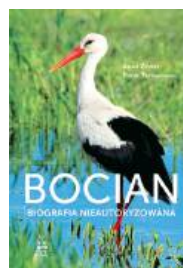
– Piotr Profus (Instytut Ochrony Przyrody PAN). Zrobił to wkrótce po tym, jak spadło z wiazu, na którym było posadowione przez 53 sezony lęgowe. Podzielił je na kawałki i zważył każdy z osobna. Po zsumowaniu okazało się, że gniazdo osiągnęło masę 557 kg; przy okazji zanotował, że ptaki wbudowały węć 61 różnych plastikowych odpadków i dziewięć szmat o łącznym ciężarze 1,2 kg.

Z dostępnych informacji wynikało, że najcięższe znane gniazdo znajdowało się na wieży kościoła w Mengen w Niemczech na wysokości 36 m, a osiągnęło masę powyżej 2 ton. Łącznie zważonych i opisanych gniazd nie było więcej niż 10.

Uznałem, że to doskonała okazja, aby wypełnić lukę. Poza tym niemal każdy z tych pomiarów został wykonany przez

miało zaledwie jeden sezon, ważyło „tylko” 70 kg, natomiast średnia masa gniazda obliczona na podstawie wszystkich pomiarów to prawie 400 kg. (...)

Skąd takie ogromne wartości? Proces odbudowy i powiększania gniazda jest przez bociany powtarzany każdego roku, przez co z czasem nabiera ono pokaźnych rozmiarów. (...) Dodajmy do tego fakt, że wewnątrz bocianiego gniazda to gleba. Przy tak imponujących rozmiarach i takiej zawartości nie powinno dziwić, że jego masa może wynosić ponad tonę.



Fragmenty książki Adama Zbyryty i Piotra Tryjanowskiego *Bocian. Biografia nieautoryzowana*, Wydawnictwo PaŃny Buriat, Kielce 2022

Awantura o gotowanie makaronu

We Włoszech
lepiej nie zadzierać
z tradycją kulinarną

Tomasz Skowronek

Big Mamy to trattoria z typowo włoskimi przysmakami w dzielnicy San Giovanni, jednej z najgęściej zaludnionych części Rzymu. Właścicielka Laura Ramoni i jej córka specjalizują się w makaronach, szczególnie all'amatriciana i carbonara, oraz gnocchi, które są bardzo popularne w Wiecznym Mieście. Chociaż w porze lunchu i wieczorem restauracja jest wypełniona turystami i mieszkańcami, Ramoni obawia się o przyszłość. Tym, co ją niepokoi, są rachunki za prąd, które w czerwcu i lipcu tego roku opiewały na 2,6 tys. euro, czyli trzy razy więcej niż zwykle.

„Rachunki za prąd ogromnie wzrosły, również ze względu na klimatyzację, która była stale włączona z powodu rekordowych temperatur latem”, wyjaśnia Laura Ramoni.

Restauratorka dała upust złości, przyozdabiając witrynę lokalu dmuchaną lalką wisielcem z napisem: „Przyszedł rachunek za prąd”. W ten sposób chce wyjaśnić klientom, dlaczego podniosła ceny. „Oprócz prądu i gazu płacę 3 tys. euro czynszu plus 400 euro miesięcznie na uregulowanie zaległości czynszowych z najostrzejszej fazy pandemii. Musiałam wtedy zwolnić pracowników, bo inaczej mielibyśmy za dużo wydatków. Teraz biznes prowadzimy we trójkę: ja, moja córka i jej chłopak. Wyłączamy nawet część oświetlenia, ale to nie wystarcza”.

Restauracja szuka oszczędności, gdzie się da. Na razie Laura nie rozważa jednak gotowania makaronu metodą noblisty w dziedzinie fizyki Giorgia Parisiego, która odbiła

się głośnym echem w całym kraju. Należy zagotować posoloną wodę, wrzucić makaron, zamieszać i zacząć, aż woda z powrotem zacznie wrzeć. Wtedy należy wyłączyć gaz lub płytę, przykryć garnek pokrywką i nie podnosić jej aż do upłynięcia czasu wskazanego na opakowaniu danego makaronu, przedłużonego o minutę. W taki sposób uzyskamy makaron al dente, zgodnie z włoską tradycją.

Giorgio Parisi postanowił podzielić się swoją wiedzą na Facebooku: „Najważniejsze, aby zawsze trzymać pokrywkę. Gdy woda zaczyna się gotować, zmniejszam gaz do minimum. Można go też całkowicie wyłączyć [...]. Makaron nadal się gotuje”.

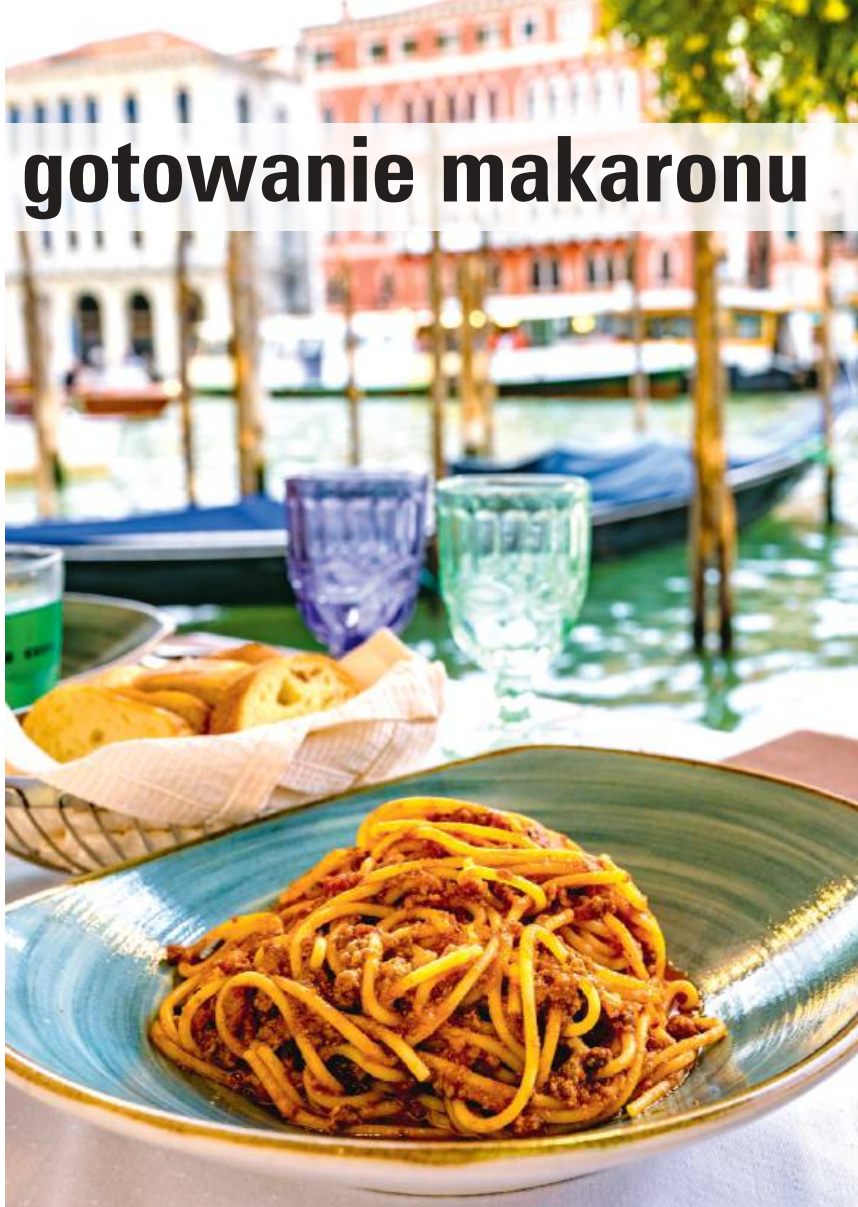
To trik całkowicie sprzeczny z instrukcjami, których trzymały się całe

pokolenia. A we Włoszech lepiej nie zadzierać z tradycją kulinarną.

Makaron a sprawa włoska

Dyskusja rozgorzała w mediach społecznościowych, a następnie w tytułach prasowych – gazety zasięgały opinii ekspertów. W następnych dniach sugestia noblisty została podjęta przez dzienniki, kucharzy, znawców gastronomii i naukowców, wywołując debatę na temat makaronu i oszczędzania energii.

Na łamach rzymskiego dziennika „La Repubblica” szef kuchni Antonello Colonna nie potwierdził propozycji Parisiego. Według niego tzw. bierne gotowanie powoduje miękką konsystencję makaronu. Z kolei pisarz Mauro Corona wezwał fizyka,



by „nie gadał bzdur” i skupił się na tym, na czym się zna i za co dostał Nagrodę Nobla.

Makaron to nie tylko danie narodowe, ale wręcz symbol tożsamości Włoch. Niemal w każdej części kraju jest przyrządzany w specyficzny sposób, a do tego jest bardziej popularny niż pizza. „Wszystko, co widziecie, zawdzięcza spaghetti”, mówiła Sophia Loren przed zdumioną publicznością i nowojorskimi dziennikarzami, odnosząc się do swoich

z Unione Italiana daje jasne wyniki w tej kwestii – używanie pokrywki podczas gotowania pozwala zaoszczędzić do 6% energii.

„Opierając się na całkowitym rocznym zużyciu makaronu, gdyby wszyscy stosowali metodę gotowania makaronu bez ognia, rocznie można by zaoszczędzić ok. 300 mln m sześć. gazu, co jest istotną ilością, jeśli weźmiemy pod uwagę, że według planu oszczędności gazu rząd zamierza zmniejszyć jego zużycie

Confesercenti zauważa, że skok cen energii elektrycznej doprowadził w ciągu ostatnich 12 miesięcy do wzrostu rachunków za energię i gaz o ok. 1,2 mld euro dla małych firm z sektora spożywczego. Większe rachunki – średnio o 300-350% – w zeszłym roku miało przede wszystkim 17,5 tys. lodziarni i cukierni.

Idzie zima

Scenariusz na okres od teraz do pierwszej połowy 2023 r. jest dramatyczny. W sumie zagrożonych może być ok. 120 tys. małych firm w sektorze usług i 370 tys. miejsc pracy.

Kolejne odsłony dyskusji o gotowaniu makaronu sposobem włoskiego noblisty i następne „Bollette in Vetrina” wyrastają jak grzyby po deszczu. Rząd tymczasem szuka następnych 20-30 mld euro dla potrzebujących rodzin i firm zagrożonych bankructwem, oprócz 45 mld euro, które już poszły z państwowej kasy na poprzednie pakiety pomocowe.

Włochy chcą oszczędzać zimą energię elektryczną i ciepło. W okresie grzewczym, począwszy od października, grzejniki w tym kraju zostaną włączone o godzinę krócej

Według przeciwników tzw. bierne gotowanie powoduje miękką konsystencję makaronu.

oszałamiających krągłości w 1962 r., gdy odbierała Oscara. Inny gigant kinematografii, Federico Fellini, mawiał: „Życie jest kombinacją makaronu i magii”. Nakręcił nawet jedną z najbardziej zmysłowych reklam wszech czasów – dla Barilli, marki specjalizującej się w makaronach.

Jak donosi „Forbes”, przeciętny obywatel Włoch spożywa rocznie ok. 24 kg makaronu. Jego przygotowanie to proces wymagający dużych ilości energii elektrycznej. Standardowa metoda gotowania wymaga zużycia średnio 1,5 kWh energii. Dla porównania: 100-watowa żarówka świeciłaby dzięki takiej ilości energii 10 godzin.

Z energią zaś wiążą się koszty, a te mogą być dla włoskiej gospodarki ogromne. „Forbes” zakłada, że jeśli wszyscy przyjmą metodę noblisty, Włochy zaoszczędzą rocznie 350 mln kWh energii i ok. 47,6 mln dol. Co więcej, skrócenie czasu gotowania makaronu może zaoszczędzić rocznie 13 kg dwutlenku węgla i 68 litrów wody na osobę.

Opcja do rozważenia

Podobnie wypowiadają się obrońcy tzw. biernego gotowania na Półwyspie Apenińskim. Jeden z czołowych włoskich dzienników, „Corriere della Sera”, pisze, że opcja ta jest warta rozważenia. Niedawne badanie promowane przez zajmujących się makaronem rzemieślników

do marca przyszłego roku nawet o 5,3 mld m sześć. w stosunku do roku ubiegłego. Spalanie mniejszej ilości gazu oznacza również produkcję mniejszej ilości dwutlenku węgla i redukcję emisji odpowiedzialnych za globalne ocieplenie”, możemy przeczytać w oświadczeniu Unione Italiana.

Niewykluczone, że część włoskich restauracji zastosuje metodę noblisty, bo coraz więcej ludzi martwi się rosnącymi kosztami energii i gazu.

„Forbes” zakłada, że jeśli wszyscy będą gotować metodą noblisty, Włochy zaoszczędzą rocznie 350 mln kWh energii i ok. 47,6 mln dol.

Włoscy restauratorzy i stowarzyszenia rozpoczęli nawet inicjatywę „Bollette in Vetrina” – wywieszanie rachunków za prąd w witrynach sklepowych i restauracyjnych, by zwrócić uwagę klientów i opinii publicznej na rujnujący wzrost cen energii.

Według szacunków stowarzyszenia handlowego Confesercenti branża gastronomiczna wyda w przyszłym roku na energię i gaz prawie 2 mld euro więcej niż w poprzednich 12 miesiącach. „Ostatnie rachunki, które otrzymaliśmy za czerwiec-lipiec, pokazują wzrost nawet o 400% w porównaniu z poprzednim rokiem. To cios, który może zrujnować ok. 30 tys. firm gastronomicznych”, ostrzega stowarzyszenie.

dziennie, a temperatura w budynkach użyteczności publicznej i domach prywatnych obniży się o 1 st. Na cieplejszym południu grzejniki można włączyć na krócej o dwie godziny. Miasta i gminy nie powinny już oświetlać punktów orientacyjnych i ważnych budynków oraz muszą ograniczać oświetlenie publiczne.

Wzrost cen energii będzie jednym z wyzwań dla nowego rządu kierowanego przez Giorgię Meloni. „Zajmuję się rachunkami. To jest teraz mój priorytet: kwestia energii”, mówiła pod koniec września w mediach Meloni. Na razie jednak nie przedstawiła konkretnych rozwiązań.

Chrystian Ślusarczyk

Zwiedzamy historyczne centra miast, katedry i świątynie najróżniejszych wyznań, muzea, zamki, pałace, parki... Wiele takich zabytków od dawna jest w niezbędniku turysty. Tymczasem europejskie miasta kryją też skarby, z których mało kto zdaje sobie sprawę. Z jednej strony, niezwykle praktyczne, ułatwiające mieszkańcom codzienne życie, z drugiej – stanowiące oryginalne atrakcje turystyczne. Ich zwiedzanie – co dziś nie bez znaczenia – nie wiąże się z dużymi wydatkami. Mowa o zewnętrznych windach, które wtopiły się w krajobraz kilku europejskich miast, leżących – co ciekawe – w skrajnych zakątkach Starego Kontynentu.

Lizbońska perła na wzgórzu

Jedną z atrakcji piętrzącej się na siedmiu wzgórzach stolicy Portugalii jest winda Santa Justa (Elevador de Santa Justa), znana również pod nazwą Do Carmo od klasztoru Karmelitów (dziś w ruinie po trzęsieniu ziemi z 1755 r.) znajdującego się przy górnej platformie windy. Zbudowano ją, by ułatwić lizbończykom, głównie mieszkańcom dzielnicy Baixa, dostanie się w okolice wyżej położonych uliczek i na placyk Largo do Carmo.

Santa Justa to 45-metrowa konstrukcja w stylu neogotyckim. „Ojcem” windy jest urodzony w Portugalii francuski architekt Raoul Mesnier du Ponsard, uczeń Gustave’a Eiffela. Winda powstała w latach 1900-1902. To – zważywszy na postęp technologiczny w owych czasach i trudny teren – czas zaskakująco krótki. Santa Justa została oddana do użytku 10 lipca 1902 r. Lizbończycy już w pierwszym dniu wykupili 3 tys. biletów na przejazd tym cudem ówczesnej techniki.

Warto pamiętać, że plany budowy windy powstały znacznie wcześniej, bo w roku 1874, kiedy to Roberto Arménio przedstawił koncepcję radzie miejskiej Lizbony. Początkowo winda była napędzana parą wodną. Pięć lat po powstaniu wyposażona została w silniki elektryczne. Konstrukcja ma



Winda bliżej

Piękne i użyteczne
zabytki stolic
Portugalii, Szwecji,
Malty oraz
tureckiego Izmiru

dwie kabiny, z których ta jadąca do góry może pomieścić 24 osoby, ta w dół – tylko 15. Winda ozdobiona wewnątrz drewnem i mosiądzem poruszają się zaskakująco szybko, wjazd na górę zajmuje kilkanaście sekund. Rzecz jasna, ta przewożąca mieszkańców i turystów do góry jest znacznie bardziej oblegana. Aż do roku 1998 winda była zdecydowanie najłatwiejszym sposobem dotarcia do wyżej położonych części dzielnicy. Teraz lizbończycy mają do dyspozycji jedną z czterech linii metra.

Po wyjściu z windy warto zatrzymać się na stanowiącym architektoniczną całość tarasie widokowym i rampie łączącej windę z placem Carmo. Dzięki ozdobnym neogotyckim łukom wszystko prezentuje się wręcz baśniowo. Widok na czerwone dachy lizbońskich kamienic zapiera dech w piersiach. Dostrzec



Asansör w Izmirze.

stąd można wszystkie punkty obowiązkowe na turystycznej mapie Lizbony, m.in. zamek św. Jerzego na przeciwnym wzgórzu, nabrzeże Tagu z Praça do Comércio czy dolną część dzielnicy Baixa.

Sama konstrukcja wieży windowej ma 45 m, ale warto pokonać jeszcze spiralne schody, by dostać się na najwyższy poziom, gdzie znajduje się kawiarnia.

W latach 70. winda Santa Justa stała się własnością publiczną. Przejęła ją Carris – firma, która dziś obsługuje lisboński transport publiczny. To wyjątkowe udogodnienie pozwala na korzystanie z windy posiadaczom 24-godzinnych biletów komunikacji miejskiej (LisboaCard). Ci, którzy niekoniecznie pasjonują się korzystaniem z wind, mogą się wybrać tylko na punkt widokowy. Wstęp na Miradouro de Santa Justa

kosztuje 1,5 euro. Przejazdźka windą – 5 euro.

W 2002 r., kiedy zabytkowa winda świętowała 100. urodziny, wraz z kolejkami linowymi Glória, Bica i Lavra uznano ją za monument narodowy. Lizbona szczyci się bowiem także innymi podobnymi konstrukcjami, choć winda Santa Justa jest jedyną, która porusza się w pionie. Pozostałe windowyciągi, w tym Elevador da Glória i Elevador do Lavra, przypominają zakopiańską kolejkę na Gubałówkę i odgrywają rolę kolei linowoterenowych. Natomiast winda São Julião została już rozebrana.

Nie wszyscy lisbończycy rozumieją stojących w długich kolejkach pod windą. Przy dolnym wejściu można spotkać mieszkańców dzielnicy z pobliskich, położonych na wzgórzu kamienic. Łamaną angielszczyzną przekonują czekających cierpliwie turystów: „Po co płacić za windę do góry? W mojej kamienicy jest wewnętrzna, zwykła winda. Nie czekacie, wsiadacie i już jesteście prawie na górze. I do tego nic nie płacie...”

Nie słuchajmy tych rad. Dla nas, turystów, Santa Justa to w Lizbonie miejsce wyjątkowe.

Bezcenny podarunek dla Izmiru

W tureckim Izmirze, 4 tys. km na wschód od Lizbony, możemy podziwiać podobną zewnętrzną windę miejską. Izmirska *asansör* (od francuskiego *ascenseur* – winda) powstała w roku 1907, czyli niemal w tym samym czasie co Santa Justa, i miała służyć temu samemu celowi – ułatwić mieszkańcom dzielnicy dostanie się do położonych wyżej części. Jednak winda w Izmirze, w odróżnieniu od lisbońskiej, została częściowo wydrążona w skale. Jej powstanie wiązało się ze znacznie wyższymi kosztami i komplikacjami technologicznymi. Asansör znajduje się dzielnicy Karataş, ok. 2 km od centralnego placu miasta.

Zarysy izmirskiej windy coraz bardziej zlewają się z gęszczeniem przycupniętych na wzgórzu mniejszych i większych domów. W latach 50., a nawet 60. ponad konstrukcją windy nie było żadnych osiedli.

Dziś dowozi ona mieszkańców mniej więcej do jednej trzeciej wysokości wzgórza. Dalej, a raczej wyżej, muszą dostawać się schodami lub dobrze zorganizowanym transportem miejskim.

Dzielnica Karataş od wieków zamieszkiwana była – i wciąż jest – przez mniejszość żydowską. Izmir powstanie miejskiej windy zawdzięcza Nesimowi Leviemu Bayraklıoğlu, bogatemu żydowskiemu bankierowi, przemysłowcowi i filantropowi. Widząc, jakim problemem jest wdrapanie się do wyżej położonych zakątków dzielnicy i jak trudny jest transport towarów, Levi postanowił sfinansować budowę windy. Zanim powstała, mieszkańcy dzielnicy przeszło 40-metrową różnicę wzniesień pokonywali, wspinając się po 155 stromych schodach.

Przez pierwsze lata zaprojektowana przez włoskich i francuskich inżynierów konstrukcja służyła jedynie do transportu ludzi i towarów. W latach 30. w części wieży powstały niewielki teatr oraz cieszące się popularnością w całym mieście studio fotograficzne. W 1942 r. winda, górny pomost, teatr i studio zostały kupione przez Şerifa Remzięgo Reyenta, a po jego śmierci prawa własności odziedziczyła bratanica, która w roku 1983 podarowała windę miastu. W latach 90. winda została zmodernizowana, zachowano jednak wszystkie historyczne detale.

Wieża ma plan kwadratu i składa się z czterech kondygnacji. Dolne zbudowano z miejscowego kamienia, trzecia i czwarta wykonane są z cegły przywiezionej z Marsylii. Trzecia kondygnacja kończy się na poziomie przecinającej wzgórze ulicy. Tu wieżę otacza drewniany balkon osadzony na stalowych wspornikach. Żeliwną balustradę balkonu zdobią motywy tradycyjne dla Izmiru początku XX w. Na dole nad wejściem znajduje się okrągły medalion z napisem w języku francuskim i ladino (judeohiszpańskim): „Winda zbudowana przez Nesima Leviego Bayraklıoğlu, 1907”. Wieżę wieńczy metalowa głowica ze szpilką i ozdobnym ornamentem.

Początkowo każda z wind wieży miała inny napęd: lewa napędzana ▶



Barrakka Lift w Valetcie.

Historyczne, dziś nowoczesne

Z zewnętrznej miejskiej windy korzystają też mieszkańcy stolicy Malty, La Valletty. Barrakka Lift łącząca Wielki Port z górnymi ogrodami Barrakka powstała w tym czasie co windy w Lizbonie i Izmirze – w roku 1905, wraz z tworzoną wówczas linią tramwajową. Zabytkowa konstrukcja przetrwała do roku 1983, kiedy to zdecydowano o jej wyburzeniu.

Nowa, nowoczesna już winda, dokładnie w tym samym miejscu, została otwarta w grudniu 2012 r. Winda w stolicy Malty znacznie ułatwia pasażerom wycieczkowców dotarcie z portu do miasta pełnego zabytków, z twierdzą, muzeami, kościołami, restauracjami i kawiarniami.

Wieża windy ma 58 m. Podobnie jak w Lizbonie i Izmirze w betonowej konstrukcji znajdują się dwie kabiny mogące pomieścić po 21 pasażerów. Czas przejazdu wynosi 23 sekundy, nieco więcej niż w windach w Lizbonie i Izmirze. Zewnętrzna winda z La Valletty latem przewozi mieszkańców i turystów od godz. 7 rano do północy (w innych okresach nieco krócej). Bilet w obie strony kosztuje 1 euro.

Zewnętrzną windę, i to całkiem sporych rozmiarów, znajdziemy także w mieście, które nie kojarzy nam się ze wzgórzami i różnicami poziomów. Winda Katarina (Katarinahissen) znajduje się w Sztokholmie. Widoczna z daleka, łączy rejon Slussen z położonym na wzgórzach Södermalmem (różnica poziomów do 45 m).

Oryginalna winda powstała w tym miejscu już w roku 1881, ale obecna konstrukcja to wynik gruntownej przebudowy z roku 1936. Niestety, w 2010 r. winda została zamknięta. Władze orzekły, że korzystanie z niej nie jest w pełni bezpieczne.

Czy winda i długi pomost mogą się stać atrakcją turystyczną, trudno dziś jednoznacznie osądzić. Być może w roku 2025, w ramach tzw. Projektu Slussen (m.in. rewitalizacji dzielnicy) szwedzka winda otrzyma drugie, a w zasadzie trzecie życie.

Chrystian Ślusarczyk



Katarina w Sztokholmie.

► była silnikiem parowym, prawa silnikiem elektrycznym. Winda parowa została wymieniona na elektryczną w 1985 r. Korzystanie z czynnej całą dobę izmirskiej windy było i jest bezpłatne.

Do wejścia prowadzi romantyczna wąska uliczka (Asansör Sokağı, ulica Windowa), przy której stoją kolorowe, dwukondygnacyjne kamieniczki. Pod ogromnymi fikusami i winobluszczami rozlokowały się stylowe kawiarnie i restauracje podające różnorodne skarby tureckiej kuchni.

W latach 40., o czym przypominają liczne zdjęcia, a nawet popiersie, jednym z mieszkańców uliczki był piosenkarz Dario Moreno (1921-1968). Ten turecki Żyd i prawdziwy poliglota zyskał sławę także jako gitarzysta, kompozytor i poeta. W latach 50. i 60. mieszkał we Francji, a największy rozgłos przyniosła mu piosenka z roku 1961 „Brigitte Bardot”. Izmirczycy, a szczególnie dzielnica pod windą, dumni są z Morena, uważają go za swojego. Jedną z uliczek pod *asansör* nazwali imieniem muzyka.

Szymański vel Szyrkowski

Polscy komentatorzy rozpisują się szeroko, że Konrad Szymański, odwołany minister ds. europejskich, był wielkim fachowcem od spraw unijnych, że wobec Brukseli prowadził politykę dogadywania się i łagodzenia konfliktów. I z tego powodu musiał odejść. Oznacza to wojnę (dyplomatyczną) z Unią, którą prowadzić będzie jego następca, Szymon Szyrkowski vel Sęk.

Uporządkujmy to wszystko.

Na początek: nie jest trafne opisywanie Konrada Szymańskiego jako wielkiego fana Unii, fachowca, bez mała bezpartyjnego. Bo to człowiek partyjny. Na początku lat 90. był wiceprezesem Młodzieży Wszechpolskiej. W latach 1989-2000 należał do Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego. Działal w ruchach antyaborcyjnych, od 1998 do 2002 r. był członkiem zarządu Polskiej Federacji Ruchów Obrony Życia. W 2007 r. wstąpił do PiS. W 2004 i 2009 r. wybrany na europosła z listy PiS.

Oto więc życiorys polityka bardzo prawicowego. Skąd zatem opinia, że był umiarkowany? Może stąd, że Szymański ma umiejętność mówienia w sposób mało konkretny i nudny? Bo przecież chyba nikt nie sądzi, że prowadził wobec Unii politykę inną niż PiS.

Patrząc na zimno, Szymański kierował sprawami polityki wobec Unii przez siedem lat, najpierw jako wiceminister w MSZ podległy Witoldowi Waszczykowskiemu, potem jako minister podległy premierowi. Jak widać, samodzielności nie miał nawet formalnej. I gdyby w ciągu tych siedmiu lat zaczął prowadzić własną politykę, natychmiast zostałby odwołany. Nie został, bo widocznie to, co robił, było akceptowane.

A polityka wobec Unii polegała na kluczeniu. Na opowiadaniu w Brukseli jednego, a robieniu w Warszawie drugiego. Tak działał przecież Morawiecki, Szymański zaś był tej polityki wykonawcą.

Nie miejmy złudzeń, został odwołany nie dlatego, że prowadził samodzielną politykę wobec Unii, ale dlatego, że prowadził politykę Morawieckiego. Jego dymisja jest uderzeniem w premiera, kolejnym po dymisji Michała Dworczyka i odwołaniu prezesa KGHM Marcina Chłudzińskiego.

A teraz parę słów o jego następcy. Szymon Szyrkowski vel Sęk skończył tę samą uczelnię (UAM w Poznaniu) i ten sam wydział, co Szymański. Potem pracował w strukturach PiS, był m.in. pracownikiem biur posłów i eurodeputowanych, w tym Konrada Szymańskiego.

Obaj do MSZ przyszedli w tym samym czasie – Szymański jako wiceminister od Unii, Szyrkowski vel Sęk – od spraw europejskich. A tak naprawdę jako człowiek PiS w MSZ, który miał patrzeć na ręce Waszczykowskiemu.

Przez te siedem lat Szyrkowski vel Sęk był w MSZ postrzegany jako pisowski komisarz, bez jakiegokolwiek błysku. Jego ulubionym ambasadorem był Andrzej Przyłębski, na nim się wzorował.

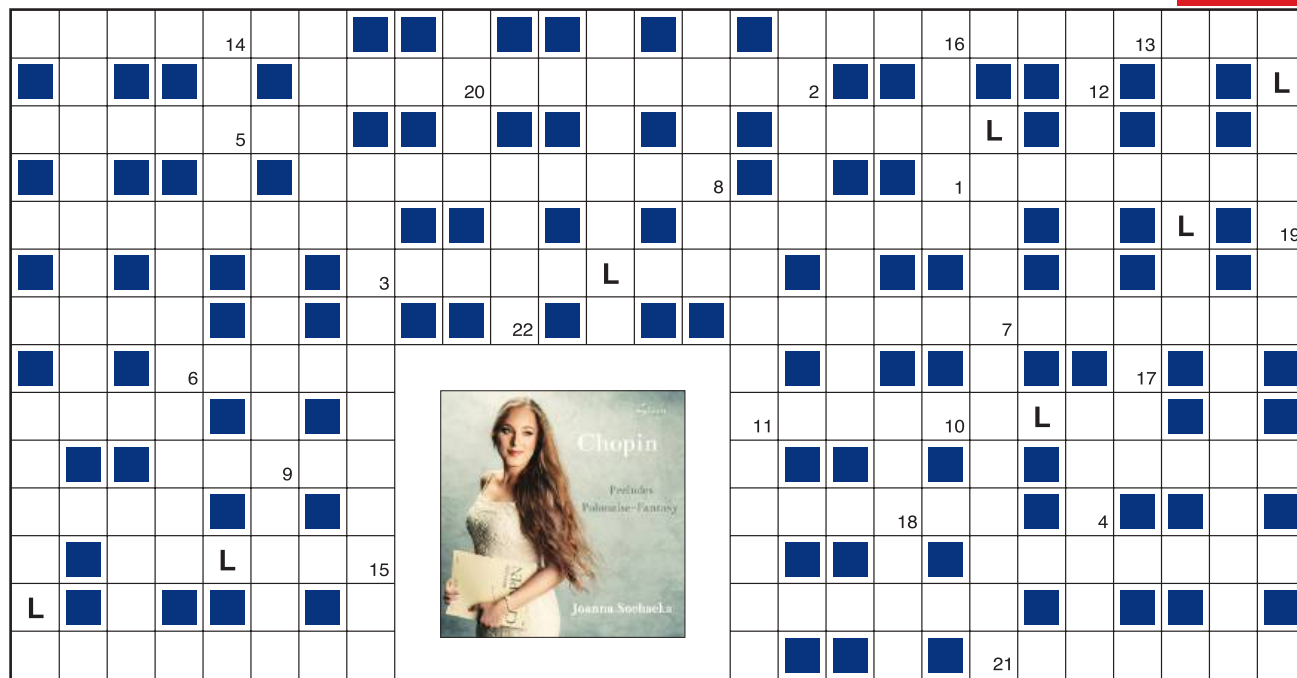
Czy jego przyjsie oznacza konflikt z Unią? A czy jego wiceministrowanie w MSZ oznaczało konflikt z Niemcami? Ten był raz mniejszy, raz większy, w zależności od tego, jak PiS to sobie kalkulowało. To nie Szyrkowski vel Sęk o tym decydował. W sprawie Unii będzie podobnie. Tylko mniej zręcznie.

I pod dyktando już nie Morawieckiego, ale głosów z jądra partii. Oto zmiana.

Attaché

Kim Dzong Un podczas obchodów 75. rocznicy założenia Rewolucyjnej Szkoły Mangyongdae w Pjongjangu, 12 października 2022 r.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery L ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- kraj z „Błota słodsze niż miód”
- nazywany też nowochrześcieniem
- odstrasza złodziei samochodów
- „chleb powszedni” Francuza
- drażek linoskoczka
- ciepły kapciuszek, paputek
- krakowski Rondel
- zakrapiana imprezka
- pamiętnikarz znany z podbojów miłosnych
- ...osobowe – personalia
- wycięcie w sukni, bluzce
- parcela, ogródek lub dziedzina
- wiełożerny (w przeciwieństwie do monofaga)
- dzieci – pediatria, seniorzy – ?
- petentka
- zamsz do czyszczenia okularów
- arywista
- ożenił się z Balladyną
- wykonawca przed publicznością
- dawniej o sukcesie w zalotach
- rozczelstana u niedbale ubranego
- dotrzymywać go to nadążać
- karoserii, frontów meblowych, włosów
- można spisać się na...
- miasto, gdzie dorastał Jezus
- rodaczka Olafa Scholza
- ile sił w nich się ucieka
- rozbijany przez himalaistów
- terytorium, strefa, obręb
- „i... się czai na zabę”, śpiewał Kaczmarek
- w doborze szkieł i oprawek pomoże
- harmonijka ustna
- wypoczynkowy lub pomocy społecznej
- niskie powodem protestów i strajków
- basior, ogier albo knur
- prezydencki – Air Force One
- jest nim Zbigniew Lew-Starowicz
- Krzysztof z zespołu Big Cyc
- opłacają mu się dobre wyniki w nauce
- strumyka, wiatru, przebiega też widownię
- król Lul wita dzieci...
- zabawność, komiczność
- stawiane karty
- wytwarza insulinę
- małpa u Fredry szust do niej
- nieprzyjaciół, przeciwnik
- kawalarz, żartowniś, hecarz
- dokuczliwy chłód na dworze

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązywania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1087”. Do rozlosowania CD „Joanna Sochacka. Chopin. Preludes, Polonaise-Fantasy” ufundowane przez wytwórnię Sheva. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ. XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 23 października 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1084” z nr. 40: *Strach roztopia wolę.*
Nagrody otrzymują: Edward Kwiecień z Krakowa, Stanisław Majda z Bydgoszczy, Ewa Masadowska z Golubia-Dobrzyń.

PENETRACJE

TYGODNIK
Sztandar

RAFAŁ WOŚ,
PUBLICYSTA

W polskiej historii z wdzięcznością wspominamy szereg „wielkich inwestorów”. Podobnie będzie z największym inwestorem XX w., czyli Edwardem Gierkiem. Nawet najtwardsi antykomuniści przyznać muszą, że rozmach „przerwanej dekady” jest imponujący. Prawie 600 zakładów przemysłowych, z czego większość – wbrew rozpowszechnionej potem propagandzie – w branżach bardzo obiecujących i technologicznie zaawansowanych: w motoryzacji, elektronice oraz energetyce. Nieprzypadkowo to one zostały po roku 1989 w pierwszej kolejności sprzedane zagranicznym inwestorom, dla których była to doskonała okazja do wyeliminowania potencjalnej konkurencji. Do tego 2,5 mln nowych mieszkań, w których do dziś żyje mniej więcej co szósty Polak lub Polka.

RES HUMANA

**PROF. MIKOŁAJ
MELANOWICZ,**
JAPONISTA

Wraz z wymuszonym przez Amerykanów otwarciem granic kraju w 1854 r. Japończycy zaczęli uczyć się języka angielskiego. Ale rezultaty tej zmiany poznaliśmy dopiero w drugiej połowie XIX w., w okresie zwanym Meiji, tzn. pełnego otwarcia Japonii na wpływ cywilizacji i kultury europejskiej. Tym razem główną

rolę w tym procesie odegrał właśnie język angielski. W latach 80. XIX w. zaczęto w Japonii dostosowywać formy gramatyczne języka do potrzeb ekspresji nastrojów i myśli twórców modernizującego się kraju. Wcześniej bowiem rozumiano, że w języku japońskim nie ma odpowiednich słów umożliwiających tłumaczenie terminów z języków europejskich. Sięgano więc do zasobów leksyki chińskiej lub tworzone nowe słownictwo.

MONDE
diplomatique

**KATARZYNA
DUDA,**
PISARKA I WYDAWCZYNI

Globalna, amerykańska korporacja kurierska podkreśla, że „łączy Europę, łączy świat, łączy ludzi i możliwości”. Robi zarazem wiele, aby dzielić pracowników i nie dopuścić do ich zjednoczenia się w ramach związku zawodowego. FedEx jest w czołówce przedsiębiorstw wydających ogromne kwoty na kampanie antyzwiązkowe w macierzystym kraju. Prawie 1 mld dol. – tyle firma przeznaczyła między rokiem 2014 a 2018 na zwalczanie organizacji pracowniczych w Stanach Zjednoczonych. Pieniądze te trafiały do firm specjalizujących się w zniechęcaniu pracowników do aktywistów związkowych. Dziennikarze dotarli do osób, które przekonywały, że zmuszano je do uczestnictwa w spotkaniach antyzwiązkowych.



Ratownicy i ich psy poszukiwawcze po akcji w Las Tejerías w Wenezueli. Podczas gigantycznego osunięcia się ziemi zginęło ponad 40 osób, ponad 50 nadal uważa się za zaginione.

FOT. AP/EAST NEWS

Aby język giętki...

MARIUSZ SZCZYGIEŁ O SAMOTNOŚCI

Od siedmiu lat w życiu osobistym jestem samotny i umościłem się w tym. Nawet jak byłem w związkach, to bardzo krótko mieszkalem z partnerami.

**PROF. MARCIN NAPIÓRKOWSKI
O FACEBOOKU**

Wylewa ścieki do studni, z której wszyscy pijemy, i mówi: jeśli wprowadzimy regulacje, zarzniecie nas.

ARTUR BALAZS O DONALDZIE TUSKU

On jest trochę podobny do Kaczyńskiego. Obaj mają pewną bezwzględność. Podporządkowują sobie ludzi i traktują ich instrumentalnie.

ALEKSANDER HALL O OPOZYCJI

W szeregach opozycji jest dużo polityków, którzy robili karierę w PiS. Czy mają przechodzić teraz weryfikację?

**KINGA DĘBSKA
O ZARÓBKACH REŻYSEROK**

Jeśli chcemy zarabiać tyle samo co koledzy, mówi się, że jesteśmy trudne i beczelne. Krzykaczki. Histeryczki.

DAWID OGRODNIK O AKTORACH

Obserwuję na planach coraz większy chaos, który powoli mnie zniechęca. Część aktorów zachowuje się, jakby przyjechała na wakacje.

MARIA PESZEK O AROGANCJI

Nie zdawałam sobie sprawy, że jest tak duża grupa ludzi, która czuje się oszukana, zaniedbana, a siłą napędową jej nienawiści jest strach, poczucie porzucenia, wykorzystania.

DARIA ABRAMOWICZ O IDZIE ŚWIĄTEK

Iga chce się rozwijać, ale wie, że musi wypracować własne zasoby. Psycholog nie będzie żył za nią.

AGNIESZKA SUCHORA O KARIERZE

W tym zawodzie nie ma żadnych reguł. Można być wrednym, nudnym, niezdolnym, brzydkim i zrobić karierę.

TATIANA OKUPNIK O DZIECIACH

Na pierwszym koncercie Tomek, cztery lata, siedział wpatrzony, a moja przyjaciółka trzymała za nogi Matyldę, która chciała wejść na scenę.



Generał specjalnej troski

Prominentny ugandyjski wojskowy oświadczył na Twitterze, że jeśli nowa premier Włoch nie przyjmie jego zalotów, których elementem była oferta 100 sztuk bydła w prezencie, będzie zmuszony zaatakować jej kraj. Poza naprzykrzaniem się Giorgii Meloni gen. Muhoozi Kainerugaba pozwolił sobie także zapowiedzieć zdobycie stolicy sąsiedniej Kenii, po czym został zdymisjonowany z funkcji dowódcy sił lądowych. Co ciekawe, prezydent i jednocześnie ojciec ambitnego wojaka, Yoweri Museveni, wkrótce po tym awansował go na pięciogwiazdkowego generała i powierzył funkcję doradcy ds. operacji specjalnych. Strach myśleć, jak specjalne są operacje planowane obecnie w gabinecie Kainerugaby...

Na złość Rosji odmrozi sobie uszy

70-letni brytyjski miliarder John Caudwell ogłosił, że w ramach wsparcia walczącej Ukrainy wyłączy grzejniki w swojej rozległej posiadłości. – Zamierzam ogrzewać tylko pokój, w którym będziemy mieszkać, a 98% domu pozostanie zimne – zapowiedział bogacz. – Wojna Putina jest finansowana przez branżę paliwową i zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pogorszyć jego sytuację chociaż o kilka dolarów – wyjaśnił Caudwell i wezwał do nasładownictwa. Pomysł nie najgorszy, tylko skąd wziąć rozległą posiadłość?

Gandhi na nowe czasy

Niejaki DarkViperAU transmitujący w internecie swoje zmagania w grach komputerowych zakończył trwający trzy lata projekt, w ramach którego próbował ukończyć „GTA 5” bez zabijania tzw. postaci niezależnych. Szybko okazało się to niewykonalne, w związku z tym streamer obniżył poprzeczkę i postawił sobie za cel zamordowanie jak najmniejszej liczby osób. Ostatecznie licznik zgonów spowodowanych przez Australijczyka zatrzymał się na 96 postaciach, przy czym śmierci na ekranie było dużo więcej – jedną z głównych taktyk gracza było chowanie się, unikanie obrażeń i czekanie, aż jego adwersarze zginą w inny sposób, np. wpadając do wody. Ponieważ dotychczasowy rekord w „pacyfistycznym” trybie gry wynosił 726 zabitych, mamy pewniaka do przyszłorocznej Pokojowej Nagrody Nobla.

Pracy, chleba i prywatności!

W Holandii sąd przyznał 75 tys. euro odszkodowania byłemu pracownikowi amerykańskiej firmy informatycznej Chetu, zwolnionemu za odmowę włączenia kamerki. Mężczyźnie, który pracował zdalnie jako telemarketer, nakazano wziąć udział w całonocnym szkoleniu i polecono, by przez cały czas miał włączone udostępnianie ekranu i kamerę internetową. Gdy się nie zgodził, otrzymał wypowiedzenie, uzasadnione odmową wykonywania pracy. Wniósł sprawę do sądu, a ten orzekł m.in., że nie udowodniono rzeczowej odmowy, wymaganej zaś, by być cały czas „na wizji”, jest sprzeczne z prawem do poszanowania życia prywatnego. Może już czas na 11. przykazanie: nie będziesz podglądał pracownika swego?

Na szynach do lepszego świata

Doktorant Royal College of Art, niegdyś pracownik parku rozrywki, zaprojektował kolejkę górską do przeprowadzania humanitarnej eutanazji. Mogłoby nią jechać, jak wyjaśniał Julijonas Urbonas, do 24 pasażerów, którzy spadaliby z prędkością 360 km/godz. przez siedem pętli, co początkowo wywoływałoby euforię, następnie utratę przytomności, a ostatecznie śmierć z powodu niedotlenienia mózgu. Zabawa „do utraty tchu” zyskałaby nowe, dość makabryczne znaczenie...



Włoszka Samantha Cristoforetti jako pierwsza w Europie kobieta jest dowódcą Międzynarodowej Stacji Kosmicznej. Wzorowana na astronautce Barbie ma inspirować dziewczynki do kariery naukowej.

Czujniku, nie panikuj!

Wynalazek Litwina pozostaje na papierze, tymczasem istniejące kolejki górskie wprowadzają w błąd przydatną funkcję wykrywania wypadków, w którą wyposażone są nowe urządzenia firmy Apple. iPhone 14 oraz Apple Watch Series 8 i Ultra dzwonią na numery alarmowe podczas wizyt właścicieli w parkach rozrywki, gdyż ich czujniki identyfikują przejażdżkę rollercoasterem jako kolizję samochodową. Zanotowano także przypadek, gdy smartfon wezwał służby ratownicze oraz wysłał wiadomości do osób z listy kontaktów alarmowych, po tym jak wypadł motocykliście w trakcie jazdy. Cóż, nikt nie jest nieomylny – nawet najnowszy iPhone.



FOT. PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ (4), BEEM/EAST NEWS



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogolkiewicz

e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejka (Kraków),

Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),

Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek,

Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków),

Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),

Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,

Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogódowski,

Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski,

Eliza Sarnaacka-Mahoney, Michał Sobczyk,

Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz),

Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz,

Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,

Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,

Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbełka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotodzytary: Magdalena Gluska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupiechowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszów, ul. Pułtusa 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Demaskarada

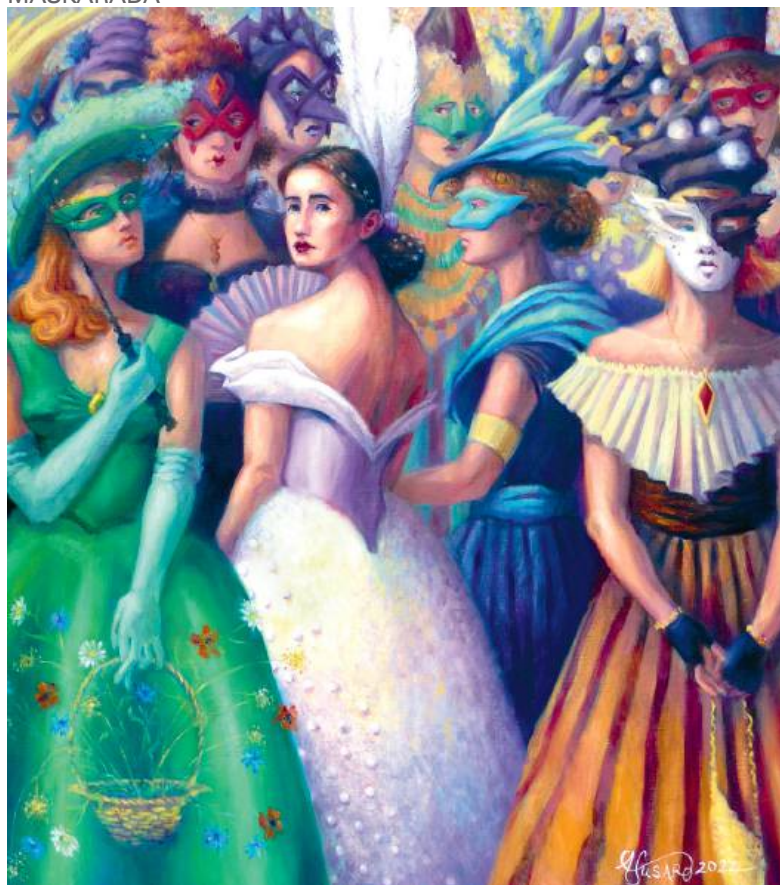
Anna Maria Fusaro, urodzona w 1988 r. w Monachium, w 2008 r. ukończyła Autorskie Licea Artystyczne we Wrocławiu, a w 2013 r. Florencką Akademię Sztuki (kierunek tradycyjnego malarstwa olejnego). Jest współautorką powieści przygodowej „Chooquatacka”, zajmuje się również sztuką filmową. Wyspecjalizowała się w malowaniu pejzaży, portretów i dzieł symbolicznych. Poprzez metafory i obrazy wyobraźni artystka zachęca odbiorcę do tworzenia nowych wizji i tym samym do odkrycia własnej prawdy o sobie i świecie.

Klub Muzyki i Literatury
Wrocław, pl. Kościuszki 10
do 30 listopada



MASKARADA

POLARIA



NAGRODZONY SREBRNYM NIEDŹWIEDZIEM REŻYSERSKI DEBIUT NATALII LÓPEZ GALLARDO

UKRYTY KLEJNOT

BŁYSZCZY JAK ZMYŚŁOWE DOZNANIE



MFF
W LONDYNIE



MFF
W JEROZOLIMIE



MOTOVUN
FILM FESTIVAL



MFF
W SAN SEBASTIAN



Srebrny Niedźwiedź

72

Internationale
Filmfestspiele
Berlin

Nagroda Jury



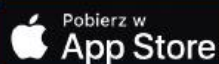
W KINACH OD 14.10.2022

AURORA

eprasa.pl/7ba33ef80f

> KOLEO

Wybieram *pociąg*, bilety kupuję w **KOLEO**



100% miłości do kolei